

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr III/229

1966



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

WYWIAD Z GEN. BÓR - KOMOROWSKIM

J. WOLICKI:

**CYNIZM, KOMPLEKSY CZY POZA
WYDARZENIA MIESIĄCA**

SPIS RZECZY

Zygmunt Haupt:	<i>Lutnia</i>	3
B. Możejew:	<i>Z życia Fiedora Kuźkina (2)</i>	18



ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Ustrój — Geopolityka — Niepodległość</i>	52
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	57
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	68



K R A J

Jan Wolicki:	<i>Cynizm, kompleksy czy poza</i>	84
Andrzej J. Chilecki:	<i>Z krajowego notatnika</i>	95



NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Janusz K. Zawodny:	<i>Wywiad z gen. Bór-Komorowskim</i>	105
Bogusław Miedziński:	<i>Wojna i pokój (IV)</i>	108



SPRAWY I TROSKI

C. D.:	<i>Młodość w kolorach</i>	123
Paryżanin:	<i>Kronika francuska</i>	125



KRONIKA KULTURALNA

Adam Czerniawski:	<i>Mama i Dada</i>	127
ww:	<i>Tadeusz Sinko</i>	132
Benedykt Heydenkorn:	<i>Literatura słowiańska w Kanadzie</i>	134



K S I A Ż K I

Wit Tarnawski:	<i>Ostatni okop Graham Greene'a</i>	137
Józef Czapski:	<i>Dom Crocego</i>	141
Czesław Dobek:	<i>Wspólna ziemia</i>	146
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	154
--------------	----------------------------	-----



G. J. Flemming, J. O. So- kołowski, Fr. Wilk, A. Za- leska:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1966

INSTYTUT



LITERACKI

WYDARZENIA MIESIĄCA

Poczynając od bieżącego numeru wprowadzamy do „Kultury” nowy dział pt. „Wydarzenia miesiąca”, w którym, w chronologicznym porządku, będą odnotowywane najważniejsze wydarzenia polityczne, społeczne, kulturalne i tzw. ciekawostki zaszłe w danym okresie czasu na całym świecie, z położeniem nacisku na wydarzenia na emigracji i w kraju.

W dzisiejszych czasach niezmiernie mało osób ma czas by czytać — poza lokalnym pismem codziennym — więcej niż jeden czy dwa periodyki — mamy więc nadzieję, że taki syntetyczny przegląd miesięczny może być dla naszych czytelników pożyteczny i interesujący.

Chcąc, aby ten dział był jak najbardziej urozmaicony i wszechstronny zapraszamy naszych wszystkich czytelników do współpracy i prosimy o nadsyłanie ciekawszych wycinków z prasy czy krótkich not o sprawach ze swego terenu, specjalności czy zainteresowań na adres redaktora tego działu:

J. Korson
12, Meadvale Road,
LONDON, W.5
Wielka Brytania.

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Ing. Witold W. Kosicki, Ogunquit, Maine (USA), po raz drugi	F. 13,50
Nina Sereda, Montreal, Que., po raz dwudziesty pierwszy	F. 49,00
Prof. Wiktor Weintraub, Cambridge, Mass. (USA), po raz drugi	F. 92,00
Dr Stanisław N. Korzeniowski, Chicago, Ill. (USA), po raz szesnasty	F. 147,00
Legion of Young Polish Women, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 2450,00
Anonimowo, Wiedeń	F. 16,00
Stefania Gross, Camarillo, Calif. (USA)	F. 9,80
Bezimiennie, St. Max. (France)	F. 36,50
Prof. Bogdan Mieczkowski, Ithaca, N.Y. (USA)	F. 31,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.

Lutnia

albo Przewodnik po Żółtkwi i jej pamiątkach
zebrał i do druku podał

Zygmunt HAUPT

O „Białokamiennej”, cóż to ja mogę napisać o „Białokamiennej”? Że tam nigdy nie byłem, że to daleko, gdzieś za światami, że nasi nie nazywali jej po imieniu, bo imię odnosiło się do całych obszarów, ale nazywali ją po prostu „Stolicą”. Stolicą, ale czego? Pogranicza tundry brzozonej i bagien, stepu i władztwa Tatarów. Toteż jeżeli już chcę ją sobie wyobrazić, to mojej wyobraźni pomoże wyobraźnia innych.

Weźmy, na przykład, taki obraz, który mógłby być produktem jakiegoś pompiera z XIX wieku z Tretiakowskiej Galerii, albo jeszcze lepiej wzięty z filmu Eisensteina. Zima rozesłana śniegiem aż po siny las na horyzoncie i przysadziste wieże i banie cerkiewne i częstokół grodu i biały dym z kominów miejskich na tle czarnego nieba. Przed broną bramy — czekają. W ciężkich tołubach i szubach, pikowanych grubych kaftanach, zbrojach ze skóry z ponaszowanymi na niej blachami, włosy przycięte, brody (nosili brody i w lata później Pan Pasek wspomina że w bitwie pod Lachowiczami aż dziwnie było najechać na takiego zaśnieżonego się ikoną brodatego wojownika, „jakby się na Panów Ojców porywać” powiada Pan Pasek). Od horyzontu odrywa się ruchliwy przecinek, rośnie, już można odróżnić jeźdźca na koniu, koń kopie się przez zasy, „zastrugi” i rozpyła piersią tuman śniegu przed sobą. Jeździec rośnie, już odróżnić można grzywę bachmata, pieniążki w nią wplecione, wysoko skurzonego na kulbace jeźdźca, w łubiu łuk, nahaj u przegubu ręki i skośnooką twarz. To posłaniec z Kazania, „baskak”.

A teraz zaczyna się ceremonia, protokół uroczysty, niczym

nie ustępujący sztywnym przepisom jakie obowiązują na dworze habsburskim w Escorialu, albo Valois w Tuilleriach. Jeździec jest tuż, i spłoszone gawrony zrywają się ze śniegu i kołują pod niebem. Bachmat łypie oczami, chrapie i ostrożnie wstępuje na rozesłane na śniegu skóry wilcze, niedźwiedzie, łosiowe, tygrysie, na mieniące się cudnymi kolorami kobierce, saruki, hamadany, karamani, bucharskie cuda. Grzęzną w nich i toną bosc kopyta konia. Jeździec siedzi na nim niewzruszony i z góry patrzy na golone karki zebranych, kiedy czołem biją o ziemię. Teraz najstarszy z obecnych dostojników podchodzi do pułsiska i podaje jeźdźcowi w obu dłoniach trzymaną czarę wypełnioną pieniącym się kumysem. Kumys ścieka z obwisłych wąsów pijącego posłańca i krople mleka spadają na kobierzec. Do tegoż ceremoniału należy by najstarszy z witających najpokorniej przypadł do ziemi i zliżał uronione krople napitku.

Jeździec z konia nie zsiada. Z łubia na łuk szybkim ruchem dobywa zwój kory brzozonej, „gramotę”, „jarłyk” z proklamacją, ukazem chana. Znow biją czołami i dotykają nimi ziemi.

Cóż mi tu opowiadać o „Białokamiennej”, o Kitajgorodzie, o Krymgorodzie, o Bramie Troickiej, o Matce Boskiej Uspeńskiej, o cerkwi Wasilija Błogosławionego i wielkiej armacie którą zwą Car-Puszka? Nigdy tych cudów nie oglądałem.

Kiedyś, gdy byłem mały, pamiętam jak ojciec wrócił z jakiejś długiej podróży końmi, wynajętym zaprzęgiem. Coś tam było, zdaje się że furman musiał zostawić w domu źrebię lejcowej klaczy, i że musiał odciągnąć jej mleko, miała wymię nabrzmiałe więc musiano zrobić taki zabieg. To mój ojciec kazał mu to mleko odciągnąć do podstawionego kubka, a potem kazał mi się tego kobylego mleka napić. Trochę to było dziwnie, trochę wstrętne, ale napiłem się i ojciec zadowolony ze swego pomysłu patrzył na mnie i uśmiechał się, jakby drwiąco, i powiedział mi: „A wiesz, teraz na górnej wardze z jednej strony wyrosną ci trzy takie włosy, i z drugiej strony trzy włosy, i oczy zrobią ci się skośne i będziesz całkiem jak Tatar”. A Tatarzy? Mówią nam dzisiaj że nie było się znowu co tak nad nich wywyższać, że to była kultura której my tylko nie rozumieliśmy ani dorównywali, że „każdy w kieszonce od kamizelki, każdy z tych Tatarów nosił zegarek na łańcuszku”. Tak, ci ze Złotej Ordy, i ci z Astrachania, i z Perekopu i Dobrudży, i Nogajcy i Biała Orda i Czarna Orda i ci co ścigali haracz od kniaziów. Aż kiedyś poselstwo Rurykowiczów z haraczem przybyło do Kazania nie miało go komu zdeponować. Przyszło Kulikowe Pole, minęło sto lat, dwieście lat, lat trzysta i straszni niegdyś Tatarzy, mówią, stali się najlepszymi kelnerami w najprzedniejszych restauracjach imperium, zawsze podobno taki *maitre-d'hôtel* czy „ober” w eleganckiej restauracji

na Kreszcziatiku czy na Mojce to był Tatar, kłaniał się i brał napiwki.

Ale „Białokamiennej” nigdy nie oglądałem ani nie dawałem napiwków Tatarom-kelnerom.

Natomiast o Żółkwi mogę powiedzieć bardzo wiele.

.....

Leży u stóp Roztocza, wzgórz, garbów zielonych od dębów, buków, grabiny, modrzewi. Kiedyś klimat tu był jeszcze słodszy, poznać to z nazwy przedmieścia Winniki, a jak wszędzie gdzie są jakieś Winniki dowodzi to zaraz że sadzono tu kiedyś winną latorośl. Zresztą Winniki były tu przedtem zanim założono Żółkiew.

Przeżyła ją rzeczulka, która nazywa się po prostu Świnia. Pytałem ojca, dlaczego Świnia? „Widzisz”, powiedział mi ojciec, „ludzie tak zawsze nazwą wodę jak im będzie robić szkody”. Bo ta niepozorna woda płynąca głębokim rowem, zarosłym zielenią łopuchów, wikliną, mętna od mułu, przeciekająca leniwie pod mostami, chłodna i spokojna, ciurkająca sobie, zamieniała się przed wiosną, na krótko zresztą, w pełną furii rozjuszoną lochę, wściekłą samurę.

U izbic mostu piętrzyły się olbrzymie kry, zielone i zbrukane i przelewała się przez nie z szumem woda i podchodziła pod podłogę mostu. Od rana słychać było głucho detonacje. Na moście stał porucznik Sobolewski, w zębach miał kółko zawleczonego granatu. U przyczółka mostu, przy otwartej skrzyni, w której przegródkach były oliwkowego koloru jajka zaczepnych granatów, klęczał wachmistrz i „ostrzył” je, wkręcając im zapalniki. Za chwilę porucznik Sobolewski, szukający oczami szczelin między lodem rzucał z zamachem granat i zginał się w pół przed brzyzgami wody i deszczem lodowym jaki po wybuchu leciał na podłogę mostu. Nie wiele to pomagało. Nie wiele pomogło gdy inżynier Sawicki z powiatowego urzędu dróg i robót wodnych wytyczył za miastem, daleko za Winnikami nowe koryto rzece, wytrasował jej nowy kanał, prosty jak strzełi, z solidnymi skarpmi, ich odarniowaniem, opleceniem materacy i fartuchów, chruszczanych ostróg. O wiosnie Świnia szalała i ryła od nowa.

Mówiło się o Żółkwi że jest jak Carcassonne, bo miasto otaczają jeszcze mury i wały i wjeżdża się do niego bramami. Gliniską, z klasycznymi hełmami, szyszakami wieńczącymi tympanon i z porzdewiałym łańcuchem brony czy zwodzonego mostu, Zwierzyniecką, z kratami tiumry nad jej sklepieniem, a na wały miejskie rzucają swój cień drzewa i biegnie ich koroną deptak do spacerów. Rynek z podcieniami, kamienicą u której w niszy rudy lew położył łapę na Ewangelii, tu rezydował kiedyś poseł We-

nej. Zamek, cerkwie, klasztory, Dominikanów i Bazylianów, ażeby było tak jak nam to opisał Książę Biskup Warmiński ... „bram cztery ułomki, dziewięć klasztorów i gdzieniedzie domki”. Owe „domki” ciągnęły się już poza murami, wzdłuż ulicy Lwowskiej, którą w uznaniu zasług burmistrza Doktora Muszkieta przemianowano na Ulicę Doktora Muszkieta. Doktor Muszket niewzruszony tym gestem wdzięczności obywateli rzeczowo powiedział o tym: „Przedtem Żydzi wylewali nocniki na Lwowską a teraz wylewają je na Doktora Muszkieta”.

Fara, olbrzymia, renesansowa, założona na krzyżu, z kopułą wysoko w górze i wieżą-dzwonnica stanowiącą basztę w murach miejskich, obmywająca swe stopy w Świni. We Farze nagrobki, płyty sławiące pochowanych w sklepiściach pod posadzką Daniłowiczów, Herburtów, Strusiów, Sobieskich, z czerwonego jak zaschła krew marmuru wysokie pomniki w murze Żółkiewskich, ojca i syna, Żółkiewskiej z Herburtów Reginy, i synowej, i u mężów Żółkiewskich należne im, wyszlizgane w czytankach szkolnych: DULCE ET DECORUM EST PRO PATRIA MORI z horacjańskiej ody i z Eneidy EXORIARE ALIXIS NOSTRIS EX OSSIBUS ULTOR, Mścicielu, powstań z kości naszych!

W nawie bocznej, po stronie Lekcji wisi olbrzymie płótno Altamontego, ale to rozmiarów tak ogromnych że zwisa u dołu fałdą jak żagiel galeony w czasie ciszy morskiej. A na nim Ultor pod Wiedniem. A z drugiej, po stronie Ewangelii, bliźniaczy tegoż Altamontego obraz ukazujący Bitwę pod Parkanami.

No to kiedy tak już po baedekerowskiemu jesteśmy pedantyczni to przypomnijmy że w tejże Farze żółkiewskiej wisi obraz, wyobrażenie jeszcze jednej bitwy. A że lubowali się wtedy w łacińskich inskrypcjach i zaopatrywali nimi obrazy tekstem, jak w amerykańskich komiksach, to i na nim u góry jest taka sentencja, którą sobie odcyfujemy: DEXTERA DOMINI FECIT VIRTUTEM. Na obrazie bitwa. Konie, nie rozbrykane, ale jak kazał to malować Ucello, zastygłe w hieratycznym skoku, kwadraty i prostokąty i czworoboki zbrojnych, pancernych ludzi, nad nimi las kopii, gąszcz „drzew”, te u pierwszego szeregu już wachlarzem są zniżane, wśród tych kopii i lanc proporce i znaki. Namioty wojenne. Chmury dymów. A bitwa? Przepiszmy o niej:

„Gdy już wojsko stanęło w sprawie, objeżdżając Pan Hetman z bufu do bufu, animował swoich, ukazując jako necessitas in loco, spes in virtute, salus in victoria, i kazał uderzyć w bębny, w trąby do spotkania.

Nieprzyjaciel też już stanął w sprawie...

Trwała bitwa długo, bo i nasi i oni, zwłaszcza cudzoziemcy poprawowali. Naszym, którzy na moskiewskie bufy przyszli, łac-

niejsza była sprawa, bo Moskwa nie strzymała zrazu, jeli uciekać, nasi gonić... Francuzowie i Anglikowie jezdni przecie z naszymi rotami w polu, co raz jedni drugich posilając, czepili; aż kiedy już nie stało onych Niemców pieszych, którzy przy płocie nam byli na przeszkodzie, skupiwszy się kilka rot naszych, uderzyli na oną jazdę cudzoziemską kopiami, kto jeszcze miał, koncerzami, oni też destituti praesidio ludzi moskiewskich i onej piechoty, niemogli się oprzeć; jeli w swój obóz uciekać, ale i tam nasi na nich wjechali, bijąc, siekąc, pędzili ich przez obóz ich własny...”

Przypatrzmy się dobrze pocztowi sztandarowemu. Podporucznik, wachmistrz, starszy strzelec konny. Szwadrony które przymaszzerowały na nabożeństwo niedzielne w Farze zachodzą z trójek w dwuszerę (tylko ostrogi dzyń, dzyń, dzyń! i komenda „Róóównaj — Szaaable — w dłoń!”) i chorąży ściągają z drzewca sztandaru pokrowiec i poczet sztandarowy schodzi tam gdzie odwalona płyta w posadzce ukazuje czeluść schodów prowadzących do krypty Fary. W czarnym lochu, przy blasku świec zapalonych u sarkofagu, widać długie szeregi trumien, otwartych, a w nich wyschnięte szkielety w zetlących żupanach, kontuszach, deliach, pasach, w tercjarskich habitach z kapturem nasuniętym na łyse czaszki, posesjonatów i urodzonych, dziesiątki ich, setki (pokapane woskiem z ogarków świec przy których dziad kościelny za grosze oprowadza nielicznych zwiedzających i przyświeca, by lepiej widać było wyszczerzone zęby i pischcele). Na sztandarze wyhaftowane: „Pułk Szósty Strzelców Konnych Imienia Hetmana Wielkiego Koronnego i Koronnego Kanclerza Stanisława Żółkiewskiego”. Przypatrzmy się dobrze pocztowi sztandarowemu, wszyscy w nim naznaczeni śmiercią.

Pan Hetman długo służył i wiernie swym królom. Przeciwno Gdańskowi pod Batorym, z Zamoyskim pod Byczyną, z Jeremiašem Mohyłą przeciw Turkom w roku 1595, w dwa lata później rusza przeciw Gospodarowi Michałowi Odważnemu, by znowuż w dwa lata później zbić Szwedów po Rewlem, a w roku 1606 Tatarów nad Udyczą, a niedługo potem rokoszan pod Guzowem. Teraz miał Stolicę.

„Tandem do tego się rzeczy przywiodły, że wojsko weszło, któremu Pan Hetman opportuna in omnes casus obrat, kupami w osobnych dworach stanęło wojsko, iżby na wszelki przypadek jedni drugim mogli być pomocni. Pułk Pana Alexandra Zborowskiego stanął w Kitajgorodzie, w kupie wszyscy jeden drugiego

blisko, pułk Pana Kazanowskiego i Pana Wajberów w Bełgorodzie także siebie blisko. Sam Pan Hetman z Panem Starostą Wieliskim stanął w głównym zamku w Krymgorodzie, dworze który niegdy był Cara Borysa...

Przestrzegając Pan Hetman z pilnością rozkazał, żeby nasi zaczępek z Moskwą nie czynili; sędzie tak z naszych jako i z Moskwy postanowił, którzy wszelkie różnice rozstrząsali, quietissime żyli tak, iż i bojarowie i pospólstwo, którzy wiadomi będąc narodu naszego swawoleństwa, dziwowali się i chwalili, że tak spokojnie bez wszelkiej krzywdy, nic nikomu nie czyniąc, żyliśmy..."

„Białokamienną”, co tu mówić, budowali Włosi, szczególnie Krymgorod. Granowitowoją Pałatę Marco Ruffo i Pietro Antonio Solari, Sobór Uspeński Aristotele Fioravanti, Sobór Archan-gielski, Mauzoleum Carów Alevino Nowi, wież-dzwonnicę Iwana Wielikiego Marco Bono. Każdy, kto jak ja tam nie był, może zajrzeć do encyklopedii i sprawdzić. Cieniowali ci mistrzowie, uczyli się u Bramante, kopiowali stare pomniki, trzymali się kanonów i modułów Vignoli, wystrzygali swe cuda w kamieniu, marmurze, granicie, drążyli kartusze, rżnęli w jaspisie i malachicie liście akantu, kanelurowali pilastry, rozpinali łuki, wydmuchiwa-li kopuły, sklepienia i nisze, lali w formy stiuki, gips, pozzuoloę, terrazzo, przyozdabiali je w sgraffitta, zawieszali na ścianach ko-bierce, gobeliny i płótna obrazów.

Opisywali nam tę „Białokamienną”. Eliasza Pielgrzymowski w swym sprawozdaniu z poselstwa Lwa Sapiehy na dwór Godu-nowa. Jan Zabczyc, nadworny poeta orszaku Laszki-Maryny i Łe-Dymitra, impostora Hryčki Otriepowa, w swym „Marsie mos-kiewskim krwawym”, Książdz Dembołęcki Wojciech w swej opo-wieści o przewagach „Elearów co ich niegdy Lisowczykami zwa-no”. Albo ludziska Pana Alexandra Gąsiewskiego z załogi pozosta-wionej przez Żółkiewskiego na Krymgorodzie. Podobni do ludzi z gatunku arkebuzjerów i pikinierów Corteza, Diaza, Balboa, Pizarrów, Orellany, w ich rozpalonych słońcem Meksyku heł-mach-morionach i pancerzach, hipocentaurów cwałujących po pe-ruwiańskich kamieniach Cuzco albo ginących od zatrutych strzał Amazonek na wodach Amazonki. Pan Starosta Wieliski trzymał swych ludzi na Krymgorodzie w ryzach. Kiedy jeden z żołnierzy upiwszy się strzelił z rusznicy do ikony Matki Boskiej na Nikolskiej Bramie to kazał mu „odrąbać ręce i nogi, kadłub zaś spalić żywcem na stosie wzniesionym u miejsca zbrodni a dłonie ska-zańca przybić bretnalami pod znieważonym wizerunkiem Bogu-rodzicy”.

.....

Ach, przepraszam, przecież miał to być przewodnik po Żółkwi!

Budowali ją Włosi. Cudowną tu renesansową synagogę Battis-ta di Quadro di Lugano, ten co i w Ostrogu stawiał. Starą bóż-nicę z jej zwieńczeniami fasad, przyporami, muszlami z kamienia, gzymosowaniami, akroteriami attyki, murem który był złoty od starości, ze sklepieniami, kasetonami, lunetami wnętrza. A Zamek, jak ten Gucciego w Baranowie, założony na prostokącie, z czte-rema kolosalnymi wieżami po rogach. Jak za jednej wojny wy-pali się skrzydło to w drugim coś się gnieździ. Jest tak przestron-ne że pomieści i Sąd Grodzki i Urząd Powiatowy Dróg i Robót Wodnych i Kataster i Gimnazjum. Potem przychodzi nowa woj-na, wypali to skrzydło, to powoli, z namysłem zabierają się do odbudowania drugiego. Kiśnie wapno w skrzyniach, sypie się pył zwożonej cegły, klecą rusztowania i stawiają formy pod sklepienia i znowu mury nabierają życia i oddychają na nowo.

Nie było już panów i wielmożów, nie sprowadzało się z Włoch architektów. Robił to Antek Łobos. O Łobosie dawno poszła wieść po salach rysunkowych, na wykładach ze statyki, repetytorium form architektury klasycznej, architektury uytylitarnej i projektowania wnętrza. Łobos i Łobos. Widzieliście co na-rysował Łobos? Spoza góry śmiecia, fasad, gabarytów, wymę-czonych projektów, profesorskiej sieczki wyzierał inny, zachwy-cający, porywający kształt brył i harmonii. Łobos, mówili, Łobos, szeptali z zazdrością i nabożeństwem, podziwem i zażenowaniem, że niby jak, czy podobna ażeby wpośród nas mógł narodzić się geniusz? A sam Łobos? Zawstydzony sobą i pewny siebie, wieczny student, z wystającymi łopatkami od wiecznego zgarbienia nad rysownicą, skromny i genialny. Po latach zrobił dyplom, ale nie czekał go świat z aplauzem, nie miał budować stolic, Hilver-sum, Brasilii, wielkich metropolii, monumentalnych pomników. Z jakiegoś zakurzonego biura konserwatorskiego jeździł do mias-teczek i tam dźwigał z gruzów i sklejał czerepy starych budowli, mury i wieże, dawne kształty splatał z tym co zrodziło się w jego głowie. We Lwowie, w Przemyślu, Rawie Ruskiej, Samborze, w Podhorcach, w Żółkwi. Wieże, fasady, podcienia, przypory, portale, balustrady, tarasy, baszty, bramy, galerie, krużganki. Wałające się po ziemi kamienie i płyty podnosił i stawiał od nowa. Odbudowywał, jak lutnik który naprawia stary instrument, skleja, pochyła się nad nim i nadśluchuje czy głos z niego wydobyty drży tak samo, prawdziwie.

Głosy:

„Powiedzcie ojczyźnie, co się-ę stało,

Mówią że Francuz, Francuz Moskwę spalił całą...”

W jesieni, kiedy przychodził nowy rocznik rekruta i dostawał

się w ręce podoficerskie, rezonowało od tych głosów, pieśni, piosenek, zaśpiewów, bo to i znakomicie wyskandowywało marsz, i jakimś sposobem, dydaktyką słowa, melodii, rytmu miało pomóc w wychowaniu, wykrzesaniu nowego gatunku. Albo: „A wtem Napoleon na Polaków skinął, skoczył Koziętulski szwadron w czwórki zwinął...” Albo: „Hej zza gó-ó-ó-ó-ry jadą Mazury. Jadą, jadą Mazureczki, wiozą, wiozą trzy wianeczki, roz-ma-ry-y-y-nowe, rozmarynowe!”. Albo, dla odprężenia po tych wzniosłościach: „A u mojej Mańki, cycki jak dwie bańki...”.

Kiedy w lata potem zdarzyło mi się nawiać z obozu internowanych na Węgrzech i przycupnąć na chwilę w Budapeszcie, to za współlokatora w hotelu miałem przez dobę jednego pana, osobistości znanej przed wojną z awanturnictwa politycznego, za które i przesiadywał w więzieniu, czekając na rozprawę. Otóż ów pan przyniósł wieczorem butelkę wina węgierskiego i przy tej butelce wspominał dawniejsze czasy, o tym jak czekał w więzieniu śledczym we Lwowie i jak w tej samej celi siedział z nim jakiś Ukrainiec, ten z tych „z czarnym podniebieniem”, z tych co to palili stogi zboża i robili zamachy, ażeby tym wywalczyć wolność swej ziemi spod jarzma Lachów, a znów ci za to robili im pacyfikację. Otóż wedle tego co mi mówił gość w hotelu, ów ukraiński terrorysta, zwierając się, jak to zawsze w więzieniu, współtowarzyszowi celi ze swego życia, wspominał lata, czas kiedy służył, odbywał powinność wojskową w pułku strzelców konnych w Żółkwi. Tę służbę wojskową w pułku polskiej kawalerii ten zaciekły wróg polskości i spiskowiec wspominał jako najszczęśliwszy okres swego czarnego, niewdzięcznego życia. Nie mógł się zwłaszcza nachwalić jakiegoś rotmistrza, dowódcy szwadronu, że ten był i ojcem i matką w jednej osobie dla swych konnych strzelców.

Z tej rozśpiewanej jesieni zapamiętam podporucznika Sterbę, młodziutkiego, wciętego w pasie, który owej jesieni, z nieszczęśliwej miłości do Nory Juffówny strzelił sobie w serce. Znałem go bardzo mało, bo chociaż był naszym lokatorem, wynajmował pokój w naszym domu, to był starszy o parę lat i ze szczeniakami się nie zadawał. Otóż jednego jesiennego wieczoru, kiedy wracałem do domu, spotkałem go po drodze w otoczeniu zgrai psów, rozmaitych pułkowych pinczerów i dobermanów, między nimi była i legawa suka porucznika Konopki (porucznik Konopka zabił się znowu na przeszkodzie i odziedziczyliśmy po nim beapańską już wtedy sukę). Podporucznik Sterba nie poznał mnie, był wesół i bawił się z psami, wesół, bo pewnie dla dodania sobie odwagi napił się przedtem. A w nocy zastukali do nas żandarmi i opieczętowali drzwi pokoju podporucznika Sterby, który zastrzelił się w koszarach. I potem, na drzwiach jego po-

koju w naszym domu pozostały różowe ślady, tam gdzie były pieczęcie z czerwonego laku i były jak ślad krwi której zmyć się nie da. I potem już w tym pokoju nikt więcej nie mieszkał.

W koszarach także, wachmistrz, który nosił się w sobie z jakąś krzywdą i zadziorem zastrzelił przed stajniami dowódcę pułku, i ten wachmistrz z tego samego pocztu sztandarowego został skazany przez doraźny sąd wojskowy i rozstrzelany.

Ten poczet sztandarowy, podporucznik, wachmistrz i starszy strzelec konny, Ukrainiec, leżą sobie koło siebie na tym samym cmentarzu gdzie wszyscy tamtejsi się spotkali. I dowódca pułku, i burmistrz Doktor Muszkiet i proboszcz u Fary Infułat Książd Izidor Kunaszowski, i mój ojciec, i moja młodziutka siostra.

To ją przypomina mi resonans głosów, młodych, szczeniakowskich tamtejszego Gimnazjum klasycznego: „Szac kobita!” „Odknaj się bo ci dam majzla do ściany!” „Co si kucasz?” „Gała ci!” „Ale ta ma nogi, łychą jeść!” i z boiska: „Spalony!” „Faul!” „Korner!” i wielka kłótnia kto ma grać na „beku”. I nazwiska: Mietek Schabowski, Kłosowski co skakał o tyczce jak olimpijczyk, i bracia Ziębowie, Adaś Obmiński, Jurko Kłymko, Łanocha, i dziewczęta z koedukacyjnych klas, Nora Juffówna, Walerka Herltówna, Olga Nowakówna („Ona Olga Nowakówna, a on MundeK, Żydek z Równa!”) i szkolne wodewile — „Waszą Maryś kocham szczerze i dlatego złość mię bierze — Tidrajda — Tidrajda — Tidrajda!” i długie godziny nudy nad „katylinarkami” albo gdy pocziwy, zatabaczony belfer piłować każe i skandować — „Quadripedante putrem sonitu quatit ungula campum” i już w drodze ze szkoły, dla odprężenia: „Galopem, galopem, galopem — w daaaal!”.

W pobok cmentarza prowadziła droga, jak mówił drogowskaz — „Na Opłytną”. Dziedzicem, a właściwie właścicielem Opłytniej nie dziedzicem był Pan Żarczewski. Ojciec mi mówił: „Żaden Żarczewski, takiego nazwiska nie ma. Nazywał się Witz, po prostu jak żart, a więc stąd Żarczewski, a jego ojciec dorobił się gdzieś w Pomorzanach z apteki”. Pan Żarczewski trzymał fason, hodował konie wyścigowe i dosiadał ich w biegach na improwizowanym polu wyścigowym pułku w którym był oficerem rezerwy, na polu przylegającym do cmentarza.

.....

Pan Hetman dobrze zasłużył się Rzeczypospolitej i Królom. Buławę Wielką i Pieczęć dostał kiedy był już starcem. Spisując swój pamiętnik, z którego ośmieliliśmy się przepisać niektóre ustępy, nie wynosi się, pisze o sobie w trzeciej osobie po cezariańsku, zdania w nim płyną jak w Commentariach, nie zniża się do subiektywnej ekspozycji:

„Gdy już miał Pan Hetman z Moskwy odjechać... Książ Mściłowski i insi przedniejsi bojarowie prowadzili dobrze za milę Pana Hetmana dobrą, a póki przez miasto jechał, mir, czerń wszystka po ulicach zabiegała mu drogę, żegnając i błogostawiając...”

O tym co zaszło kiedy go tam nie stało, wiemy z relacji innych. Czytamy w listach wydanych przez Hannę Malewską, listach z epoki Wazów, relację Pana Chorążego Mozyrskiego, Rotmistrza Józefa Budziły, już z niewoli w Niżnym Nowogrodzie, o straszliwym głodzie wpośród obleżonej na Krymgorodzie załogi polskiej. O tym jak przyszło do tego że jeść musieli padłe konie, popręgi i rzemienie siodła, żyłowania z łuków, pergaminu i świece cerkiewne, trawę siekaną, wreszcie trupy z szubienic, jeńców i siebie wzajem, bo „już tak łakomą paszczkę głodna samojeźd rozwarła, że pan sługi, sługa pana, towarzysz towarzysza nie był bezpieczem...”. A o tym co potracili, o nAGRABIONYCH bogactwach Pan Porucznik Husarski Samuel Maskiewicz napisał filozoficznie w swym pamiętniku: „... wszystko dyabeł pobrał — jedno poszarpał, a drugie pogorzało...”.

Ale Pan Hetman już dawno stamtąd odjechał, by zapisać potem tylko:

„Tym sposobem moskiewska Stolica sptonęła z wielkim krwi rozlaniem i nieoszacowaną szkodą, gdyż dostatanie to i bogate miasto było i ambitus jego wielki. Jakoż ci co bywali w cudzych ziemiach, powiadają, że ani Rzym, ani Paryż, ani Lizbona, nie porówna wielkością, jako to miasto było in sua circumferentia. Krymgród, ten we wszystkim cały został...”

Ale Pan Hetman stamtąd odjechał, bo:

„... zawarte były uszy Króla Jegomości Pana Hetmanowym perswazjom...”

Do Żółkwi miał Pan Hetman wrócić gdy wdowa wykupiła jego szczątki, zwłoki bez głowy i ramienia utraconych w bitwie, z rąk wroga. Może była to i prawda o czym wspomina on sam w swym pamiętniku jeszcze przed Kłuszynem:

„... były po wojsku rozmaite mowy przeciwko Panu Hetmanowi, że świat mu zmierzł, i wojsko chce z sobą zgubić...”

Zaprzeczy temu to co pisał w trzy tygodnie po klęsce Pan Porucznik Abraham Złotopolski o ostatnich chwilach nad Dniestrem:

„Pan Kanclerz zsiadłszy z konia przebił go szablą, przykład drugim dając, że nie myśli uciekać, i szedł piechotą przez ćwierć mili...”

.....

Miasto od wieków pobierało drogowe myto, stąd więc u jego wylotów rogatki. Szlaban rogatki dzierżawiła rodzina żydowska i jego drogą był opuszczany na noc wpoprzek jezdni i zamykany na kłódkę. Ale w pośrodku miał zawieszoną latarnię, kopcił w niej naftowy knot i przestrzegał rwące się w samochodzie dziesiątki koni mechanicznych w nocy, na głównej magistrali Warszawa-Lwów. Trzeba było długo po nocy dobijać się do żydowskiej chałupy i wreszcie, trzęsąc się w chłodzie nocnym i opatulając chustką wychodziła Żydówka by otworzyć kłódkę i podnieść ów szlaban.

Na drodze która z miasta wiodła w stronę Czeremusznej, Glińska, Woli Wysockiej był jeszcze jeden szlaban. Był tam przejazd kolejowy, nasyp kolejowy podchodził tu krzywizną do drogi i przecinał gościniec. Tam w tym miejscu miała mi objawić się wreszcie nowoczesność. Koleje wojny zawiodły mnie niespodziewanie aż po rogatki Żółkwi. Tu na przejeździe kolejowym, na zewnętrznej stronie łuku krzywizny toru ujrzałem leżącą do góry kołami nowoczesność, Torpedę, słynny, opływowy, napędzany silnikami diesla wagon, szczyt nowoczesności, luksusu, wizję przyszłości wcieloną w stal, lakier, szkło, chrom, na tej krzywiznie toru, w panice wojny, w bezwstydnym ucieczce, tu za tę właśnie ucieczkę dotknięty katastrofą bolid, symbol klęski, zaryty w ziemię, w grób-krater jaki sam sobie wyorał. A jakże, Pociąg-Widmo, Pociąg w Nieznane, raj na kółkach Brydz-Narty-Cocktail, wpośród szutru podżółkiewskiego gościńca, niewypał Pierwszej i Turystycznej Klasy.

Dziwnie było znaleźć się tu w tak niezwykłych okolicznościach, ale na dziwowanie się nie wiele było czasu. Trzeba było wyszukać dla baterii stanowiska i okopać działa.

Spać można było tylko przy baterii, to nawet do domu, w którym dawno nie byłem, zajść nie było można. Ale że było to tuż pod Zamkiem to w wolniejszej chwili wybrałem się tam, powąłęsać się trochę, śladami Łobosa.

Kiedyś, ażeby tu pochodzić, musiało się przeproszać rozmaitych radców za ich biurkami. Dzisiaj nie było tu nikogo. Na drzwiach, jak należy, powypisywane wielkimi literami, TABULA, KATASTER I, KATASTER II, pod sklepieniami, na półkach góry papierzystów, akta, całe pokłady geologiczne papieru, arkuszy powiązanych sznurkami, stosy ksiąg, fascykułów, dzienników po-

dawczych. Tamże bibularze, kałamarze, pieczętka i pieczęcie, mapy, na nich w skali katastralnej 1:444 pajęczne nici zaznaczające granice posiadłości, „realności”, mieszczkańskich ogrodów, chłopskich mórg, łąnów, włók, siateczka, kartografia drapieżnego ludzkiego uczepiania się ziemi.

Łażę tu korytarzami, odmykam urzędowe sanktuaria, wchodzę i zstępuję schodami, i wreszcie gdzieś, na jakimś półpiętrze, czy narożniku (wiem gdzie to, ale nie powiem), drzwi które z oporem i trudem obracają się na swych zawiasach, nigdy nie otwierane. I tam naszedłem na świat uśpiony.

Na półkach, wzdłuż ścian, na podłodze, pod sklepieniem piętrzą się zwały tomów, książek. Nikt tu nie zachodzi od lat, od dziesiątków lat, wszystko przysypane warstwą kurzu, dziewiczą, po której nie wodzi żaden palec. Leżą te książki uśpione jakimś snem na jawie, łuszczy się skóra na grzbietach tomów, zrudziałe oprawy, złocone, szerniałe i wklęsłe litery, antykwa, italiki, pergamin jaśnieje swą błoną aż przezroczyście, papier pożółkł ale to wciąż świetny papier owych czasów, skruszały na brzegach, ale się trzyma. Tomiska, foliały, szpargały, pracowicie pozszywane kopiariusze, teki, z których wysypuje się zawartość.

Sięgam po pierwszą z brzegu książkę. Na karcie tytułowej: „Skład albo Skarbiec Znakomitych Sekretów Oekonomii Ziemiańskiej...” dedykowany: „... Królowi Polskiemu, Wielkiemu Xięciu Litewskiemu, Ruskiemu, Pruskiemu, Mazowieckiemu, Żmudzkiemu, Kijowskiemu, Wołyńskiemu, Podolskiemu, Podlaskiemu, Inflanckiemu, Smoleńskiemu, Siewierskiemu, Czernichowskiemu Panu...”.

A w nim przeczytać można i „o świec łojowych robieniu”, o tym jak zapobiec „psi aby się nie wściekali”, jak „złoto zrobić a bez złota”, dalej „na inkaust do pisania krótki sposób”, „człowiek gdyby sechł po jakich to poznać znakach”, „na czary sposoby...”.

Tamże:

- „O Jeleniu zwierzu okazałym
- Łosiu ogromnym
- Niedźwiedzi niezgrabnym
- Dziku abo Hodyńcu okrutnym
- Łani abo o Damulach
- Liszce sztucznej
- Iżu ościstym
- Castorze abo Bobrze y iego cnotach
- Wilku szkodnym, zradnym
- Lwie, iego mężności
- Tygrysach y Lampartach, z ich przyrodzeniem
- Nosorożcu srogim y żartkim

- Wężach sprośnych
- Krokodylach jadowitych
- Papugach uciesznych
- Żórawiach misternych
- Krukach y Gawronach zmyslnych”.

Tamże:

- „○ Salamandrze ognistym
- Bazyliszku strasznym
- Bocianach bujnych, Pelikanach y Łabęciu...”

I nagle, na stosie książek — lutnia!

Zaraz, zaraz! Nic nie znam się na tym. Może to nie lutnia, może to viola da gamba albo lira da braccio, a może teorban czyli lutnia wyolbrzymiona, albo bandura. Ale chciałbym bardzo ażeby była to lutnia.

Bo wiadomo, lutnia to instrument niezwyčajny. Grał na niej Gusman, wesolek królewski, Króla Zygmunta Augusta, a czyż nie także Walenty Bakfark, po którym jako po Bekwarku wziąć lutnię nie byle kto może. A z lutnictwem, proszę państwa, wiąże się wiele rzeczy. Po pierwsze najlepsi lutniści sami sobie ten instrument budowali. I zajrzeć w cień, do wnętrza takiego pudła, a tam, wklejony karteluszek a na nim koślawymi literami wypisane, wygrzmozłone: Anno Domini Jan Dankwart MDC Varsaviae, albo Baltazar Dankwart we Wilnie Anno 1602 Fecit, albo grubo późniejsze, Fait à Krzemieniec par Ignace Klimowski Septembre 1841. A mamy także gdzieś zapisane że znowu jakieś skrzypce wykonał i zostawił swój podpis Stanisław Zwierzyński, „Chińczyk Jego Królewskiej Mości”, Chińczyk czyli błazen nadworny Stanisława Augusta, nie wstydzący się swej błazeńkości. A więc po drugie, wiąże się z tym fachem błazeństwo, to samo o którym wyklarował nam profesor Leszek Kołakowski, mądry rodzaj błazeństwa przeciwstawionego kapłaństwu!

A po trzecie, wiadome jest także że lutnia była instrumentem bardzo kapryśnym, czułym, trudno było grać na niej, bo ustawicznie się rozstrajała. Mówili i zaśmiewali się ówczesi z tego że lutnista więcej czasu spędzał na przykręcaniu kołków i strojeniu aniżeli na samą grę. I wyobrażamy sobie jak trzymał ją, dotykał palcami strun, przekrzywiał głowę i nasłuchiwał i trącał te struny i przykręcał kołki na gryfie, a tu przecież czekają, zapatrzeni, niecierpliwi, nasłuchujący z otwartymi ustami.

Lutnia! Skąd tu lutnia? Co za głupie pytanie. Przecież gdzie właśnie jak nie tu, wpośród książek, jej miejsce. Czyż nie rytują zawsze podobizn poetów, i wpośród liści bobkowych ten instrument ozdabia konterfekt pisarza w owalu?

Podchodzę do jej zjawiska na palcach. Leży, wdzięczna jej szyja, gryf i cudowne ciało, sklejone kiedyś z cieniutkich wiórów,

drzazg, deszczulek, podbiega do spodu i zbiega się w uchwycie, czerni się jej wewnątrz nabrzmiałe rezonansem. Pokrywa ją, jak wszystko tu wokół, książki, warstwa wiekowego kurzu, który zmatowił połysk jej dawnej politory i złocen, inkrustacji z perłowej macy i srebrnych drucików jej rozety. Kiedy podchodzi to płoszę pająka-kosiarza, który bokiem odbiega swymi długimi odnóżami, potrącając jej struny, które za tym pajęczym dotknięciem wydają cieniutki niedosłyszalny brzęk, i kryje się w czeluści jej pudła.

Może gładził ją kiedyś i palce kładł na jej strunach Sep-Szarzyński, stąd niedaleko urodzony. Może układał sonet. O swej nieszczęśliwej miłości do ślicznej Tarłówny, którą wydali za staro Pana Hieronima Sieniawskiego z Brzeżan, może to o niej zaczynał od słów ruskich:

„Terpyż bołowońku do szcZastnoy bodynny...”

U Sepa-Szarzyńskiego przychodziło to po prostu. Nie było w tej ruszczyźnie ani przekory Pana Starosty Kaniowskiego co to stylizował się po kozacku, ani chłopomanii Szaszkiewiczów-bałałagów, ani ukraińskiego snobizmu romantyków, lirników Ukrainy, słowików. Pisał tak jak słyszał mowę wokół siebie, w sposób naturalny brał z niej i wymieniał w sonecie i balladzie. Może ta dwupostaciowość mowy podyktowała mu:

„Co będę czynił w tak straszliwym boju
Wąty, niebacznym, rozdwojonym w sobie?”

Lutnia... Wdzięczy się ona ale brakło młodej ręki by z niej ten głos wydobyć. Śliczne drzewo, dźwięczne struny, ale jest w nim martwota, jakby nie była to lutnia, ale trumna, trumienka, pusta kołyska. Brał ją kiedyś ktoś w ręce i wykołysywał słowa, i słowa przebrzmiały i wargi zniechęcone zwiędły.

Tak jak to miasto, kiedyś rozbrzmiewające głosami, echem młodych kroków, szumem liści i zgrzytem kry lodowej po wodzie, a dzisiaj po nim pozostał tylko pusty grób, Kenotaph.

Na starych mapach posiatkowanych różami wiatrów i rumbów żeglarskich, ukazujących kontynenty, przylądki, archipelagi, żyłkowania rzek i sopki łańcuchów górskich, pełno zawsze wszelkich ozdobników, zwłaszcza wpośród weniących się fal mórza i oceanów, Trytony, Nereidy, Lewiatany i Syreny. Mniej ich tam gdzie nostalgiczne obszary białych pami, miejsc jeszcze nieodkrytych. Kartografowie dawniejsi, by je jakoś kompozycyjnie zapelnąć dawali tam zwykle objaśnienie że są to miejsca UBI LEONES.

Na nowych mapach tamte puste miejsca znikły, a w innych

znowuż dykasteriach pojawiły się nowe białe plamy. Jedną z rzadkich tam nazw chciałem rozszyfrować.

Zajrzałem nawet do Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej. Pod hasłem Niestierow jest tam że w roku 1951 Zółkiew tak przezwano, by uczcić pamięć carskiego awiatora, który jeszcze w sierpniu 1914 roku, pod tym miastem zginął, jak chce Wielka Encyklopedia Sowiecka, „w wozdusznym boju”.

Zygmunt HAUPT

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego
A. Pomorski

Rp.
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Z życia Fiedora Kuźkina (2)

IV

Ale wieczorem, już przy zapalonym świetle, Spiriak, nie pukając, wśliznął się do chałupy Żywego. Miał już dobrze po sześćdziesiątce, a ciągle jeszcze Spiriakiem go częstowano. I drugie przezwisko: Woronok. A przecież były czasy, gdy dobre stanowiska zajmował! A i teraz, chociaż pracował jako skotarz na fermie, znaczenie miał niemałe, jako że wypadwał starszym bratem prudkowskiego brygadiera. W jego obliczu było coś z borsuka: podana naprzód twarz, stępiony nos, czarne wąsy i biała bródka, niskie, ścięte czółko i zbity, jak gdyby wylizana szczecina siwych, krótkich włosów. I nawet w zachowaniu się Spiriaka było coś z borsuka — do chałupy wejdzie to jakby istnie jaźwiec do nory smyrznął. Ani usłyszysz... Stanie na progu i kręci głową, jakby obwąchiwał. Kłania się też tak, jakby pysk do przodu wyciągał, uważaj — zaraz ugryzie.

— Z dobrym wieczorem, gospodarze! Żeby na zdrowie wam wyszło!

Fomicz i Awdotia jedli kaszę z prosa; dzieciaki naćkały się na pierwszą zmianę, odeszły już od stołu i bawiły się na podłodze.

— Jaceście już weszli — powiedziała gospodyni — to chodźcie dalej. — Cóż tam na progu stać? Za postój pieniędzy nie płacą.

Fomicz nie powiedział ani słowa.

Spiriak usiadł na honorowym miejscu i bez krępacji zaglądał do misek.

— Czy nie kasza jaglana aby? Ja jej na bliny używam.

— Nam nie tylko na bliny, ale i na zwykłą kaszę jagiel nie starcza — powiedziała Awdotia.

Fomicz odłożył łyżkę, ostro popatrzył na Spiriaka.

— Ty po co kontrolera odstawiasz? Dość już i tego, że twój brat cały kołchoz obdziera.

— Mój brat puda ziarna z każdego gospodarstwa nie bierze. To u was dawniej tylko pop Wasyl tyle ściągał — jadowicie zachichotał w swoją bródkę Spiriak.

— Wy z Paszką nawet umarłych obdzieracie!

— Jakich tam znowu umarłych?

— Pomniki z grobów pościągaliście... Paszka na podwaliny, a ty piwnicę obmurowywać.

— To cerkiewne pomniki... z krzyżami. Kamień i nic więcej. A tamto — kasza. I do tego po całym pudzie.

— A wy na wozach zwozicie! — krzyknął Fomicz.

— Wi-isz go z której strony zagiął! Kogo nie złapali, ten nie złodziej. Żyjemy według prawa — Spiriak uśmiechał się w dalszym ciągu. — A jak człowiek z prawem w zgodzie, nie ma po co niepokoić się. Ty nie szuraj. No, po co z nerw wychodzisz? Jakiż tu ze mnie dla ciebie kontroler! Awdotia — powiedział Spiriak zupełnie innym tonem. — Ano, wyjdź na obejście i dzieciarnię weź ze sobą. Pogadać z twoim nam potrzeba.

Awdotia, która przez dziesięć lat przepracowała na fermie w czasie, gdy Spiriak Woronok był kierownikiem, przyzwyczała się wykonywać jego rozkazy automatycznie, tak samo jak stary kawaleryjski koń wykonuje od dawna znaną komendę. Spiriak już nie był kierownikiem i sam czarną robotę robił, Awdotia też już nie była dojarką, tylko gospodynią we własnej chałupie, i miała palce spuchnięte, wykrzywione na skutek jakiejś nieznannej choroby, a przecież rozkaz zrobił swoje: wstała od stołu i pośpiesznie zaczęła zawiązywać chustkę pod brodą.

— Dokąd? — Fomicz ponuro pokazał jej ławę. — Siadaj! Żadnych tu takich sekretnych spraw z nim nie mam.

Jednak dzieciaki wyprowadził na podwórze.

— Bawcie się! — Fomicz popychał dzieci i leciutko poklepywał po karkach — czworo ich było własnych, a prócz tego jeszcze dwoje od sąsiadów.

Kiedy dzieciaki przebiegły z hałasem przez sionkę i wyleciały na ganek, Fomicz zwrócił się do Spiriaka.

— Nie ma ani na początek dla gadki! Bezpożyteczna rozmowa!

— Któż to ciebie uprzedził? Chyba dziadek Fiłat?

— Ptaszek-kulik na bagnie!

— Widzisz, Awdotia, do czego ja całą gadkę prowadzę — Spiriak umyślnie zwracał się teraz do gospodyni. — W każdej sprawie swój rozumny pomysłu mieć trzeba. A ten nie ma żadnego zrozumienia.

— Widzę jaki ty masz pomysłuńek. Gdzie co na stronie leży, już się tobie należy — powiedział gniewnie Fomicz. — Ale tu się nie pożywisz.

— Brata wczoraj spotkałem — powiedział Spiriak, patrząc na Awdotię. — Mówi mi, że niby tę samowolną kośbę Fomiczowi zabronimy. A za to, że do pracy się nie zgłasza, sztraf mu wypiszemy.

— Boże mój, jakże to będzie, Fiedia?!

— Kto ciebie pytał? Zamknij się! — syknął Fomicz na żonę.

— Więc ja Paszce powiadam — ciągnął dalej łagodnym głosem Spiriak, — że Fomicz dzieciarni ma całą kupę, żywić się przecież musi. Na kośbę przydzielimy mu drugiego kosiarza i załatwimy to formalnie jako społeczne obarczenie pracą. I wszystko będzie według prawa.

— Ty, ździecko, matka twoja była w tę i nazad... — Fomicz kłął długo i w skomplikowany sposób.

— No, i właśnie, ja mu podpowiadam, jakie ma wyjście, a on mi matkę po kątach rozstawia! — Spiriak patrzył tylko na Awdotię, jak gdyby Fomicza w ogóle tu nie było.

— Dobra! Powiedz Paszce — powiedział Fomicz — że dziadek Fiłata biorę sobie na drugiego kosiarza.

Woronok skoczył, jakby go rąbnął elektryczny prąd, i postawił sprawę jasno.

— Kosić będziesz razem ze mną i dzielić zarobek po połowie. Zrozumiałeś? A jeżeli nie...

— Odwał się... Jużem z tobą przedtem pracował...

— A co że przedtem? Mój komitet biedoty zasłużył na pochwałę, nie?

— Iluś do łagrów wysłał? Ważkę Sałygę, na ten przykład, za co?

— Konie sprzedawał.

— Nie tyle sprzedawał, co zamieniał jak cygan. Handel był taki, że został przy jednej zdechłej kłaczy. Już ja wiem za co... — rozwścieczony Fomicz pogroził palcem. — Bałeś się, żeby cię nie wydał.

— Za co?

— W dwudziestym siódmym roku czy to nie ty konie w Brechunowie ukradłeś? Na spółkę z Łysym. Potem Strasznoj sprzedał je w Kasimowie...

— To już wy według samego siebie sądzicie — Spiriak nie dawał się wyprowadzić z równowagi i był nieodmiennie grzeczny. — A Piotr Lizunow — kto mu pozwolił wyjść z kołchozu? Ty! I chyba nie za darmo?

— A ty, jak Lizunow uciekł, dobrześ po nim skrzynie wypróżnił. Do tej pory żeś lizunowskich łachów zedrzcć nie zdą-

żył. Nie żałuję, że go uwolnił. Na człowieka wyszedł! W Gorkim przystanią zawiaduje. Synowie poszli w inżynierzy i doctory. A twój jedyny syn w więzieniu siedzi za złodziejstwo.

Spiriak Woronok wstał, ze złością nasunął czapkę aż po same brwi, twarz miał całą w szkarłatnych plamach.

— Tyś od dawna był poplecznikiem kułaków... Oszukaństwem sekretarzem wiejskiej rady zrobiłeś się. A teraz jesteś paszożyt. Jeszcze cię doprowadzimy pod artykuł. Podprowadzimy! Wyszedł bez pożegnania, ostro trzasnąwszy drzwiami.

— Fiedia, cóż teraz z nami będzie? — żałośnie spytała Awdotia.

— A nic... Pan Bóg nie opuści, świnia nie zecka.

Ale Fomicz zrozumiał, że jego krótka pomyslnosc skończyła się. „Jakby tam nie było — myślał — cofać się nie cofnę. Nie ma dokąd się cofać”.

Następnego dnia koło południa, kiedy Fomicz i dziadek Fiłat kończyli koszenie działki Mariszki Britej, na przeciwnym, wysokim brzegu jeziora ukazała się bryczuszka przewodniczącego kołchozu. Przyjechał we własnej osobie — Michał Michajłowicz Guzionkow. Przywiązał siwego jabłkowitego kłusaka do przydrożnej lipy i przez chwilę w milczeniu przyglądał się kosiarzom, jakby zobaczył ich pierwszy raz w życiu. Fomicz i dziadek Fiłat stali na brzegu i także przyglądali się przewodniczącemu; ich głosy na wychudłych żurawich szyjach sterczały nad gęstwą komyśzy niby garnki na płocie. Przewodniczący zaś rósł wysoko na lipowej górze, z szeroko rozstawionymi nogami w żółtych chromowych butach, z rękami złożonymi na krzyż na wydatnym brzuchu, obciążonym białą wyszywaną koszulą, w cyklistówce z białego żaglowego płótna. Niżej w wodzie stał taki sam potężny przewodniczący na głowie w czapce, z nogami do góry, i wydawało się, że ten z dołu jest prawdziwy — stoi na głowie i trzyma na sobie całą lipową górkę.

— Co ślepią wypatrujecie? Ano, przybliżcie się! — obydwa przewodniczący pokiwali palcami.

— Nam i tu nie najgorzej — odpowiedział dziadek Fiłat.

— Co na górze mamy do roboty? — odezwał się Fomicz.

— Chodźcie, chodźcie... Już ja wam wytłumaczę co macie do roboty — spokojnie namawiał ich Michał Michajłowicz.

— Tyś z koniem przyjechał, to się spuszcza — powiedział Fomicz.

— Akurat dla was, wałkoniów, pójdę żrebca męczyć!

— Jakaśmy wałkonie, to wal swoją drogą... A my czasu nie mamy, żeby jezorami pytlować po próżnicy. Żywy zarzucił kosę na ramię i poszedł.

Za nim ruszył dziadek Fiłat.

— Dokąd?! — ryknął Guzionkow takim głosem, że kłusak podrzucił łeb i zaczął przebierać przednimi nogami. — Stój, powiadam!

— Czegój mordę drzesz? — Fomicz zatrzymał się.

Dziadek Fiłat schował się w krzakach.

— Tyś co za jeden — kołchoznik czy anarchista? — rozpałał się Guzionkow.

— Ja jestem j a k i ś.

— Co znaczy jakiś? — zadziwił się przewodniczący.

— Pięć dni, jakem z kołchozu wyszedł. Do szajki zbójcekiej jeszcze mnie nie przyjęli... Kim że ja jestem?

— Co mi tu jakieś wygibaszy wyczyniasz? Dłaczego do pracy nie przychodzisz?

— Ile otrzymujesz? Dwa tysiące i pół? Daj mi jedną trzecią, wtedy i ja pójdę do kołchozu pracować.

— Nie udawaj durnia! Po dobremu ci mówię.

— Chcesz ze mną gadkę odstawić poważnie, to zjeżdżaj na dół. Siądziemy pod krzakiem i pogwarzymy. A pokrzykiwać na mnie z góry nie potrzeba. Ja już na górze niejednego naczelnika widziałem. I nie takich jak ty.

— Widzisz go, jaki bohater! Znaczy co, odmawiasz się od pracy?

— A niby tu co robię? Cholewki smalę albo wyleguję się?

— Komedję odstawiasz. Zawołamy cię do zarządu, zobaczymy wtedy, jakim głosem zaśpiewasz.

— Do żadnego zarządu iść nie zamierzuję! Jużem ci powiedział swoje — wyszedłem z kołchozu. Wyszedłem na zawsze!

— Nie, kochasiu! Tak zwyczajnie z kołchozu się nie wychodzi. To my ciebie wyczyścimy, pokażemy ci twardey kształt i wyrzucimy ze wsi razem z bebechami. Żeby innym dać nauczkę... Zrozumiałeś?

— Zrozumiał, jak chłop babę zażyć umiał... — roześmiał się Fomicz. — A co, moją chałupę pod urząd weźmiesz? Wypada, że będzie tak, jak gdybyście mnie rozkułaczyli...

— Ja ci się pośmieję! — Przewodniczący jednym szarpnięciem odwiązał kłusaka, wsiadł na bryczkę i, odciągawszy lejce do tyłu, pojechał wzdłuż jeziora.

Po tym, jak podrzucił łebem, zdzierany wędzidłem kłusak, jak czerwień nieruchomy, wygolony kark przewodniczącego, można było zorientować się, że odjechał niezmiernie zagniewany.

— No, Fiedka, tera trzym się — powiedział dziadek Fiłat, spod przyłożonej dłoni patrząc w ślad surowego przewodniczącego.

V

Jakoś nagle chałupa Fomicza zaczęła nawalać. Wyglądało na to, że jeszcze w ubiegłym roku była w porządku, a tu z wiosną, gdy Fomicz odrzucał wysoką, okien sięgającą przyzbę, wtem zauważył, że dolne wiązania wysadziło, jakby je ktoś od wewnątrz wypychał.

— Wybrzuszyła się chałupa — niewesoło oznajmił gospodyni. — Nic, tylko rzemieniem ją opasuj.

A znowu pod jesień przysiadł poczerniały od starości i dymu dach, i po nocach, przy wietrznej pogodzie, kiedy w kominie słychać było tęskliwe zawodzenie, dach głucho skrzypiał, jak gdyby kwękał z wysiłkiem.

— Fiedia, podeprzyj dach — skarżyła się wtedy Awdotia — przydusi nas razem z dziećmi. Nie wygrzebiesz się.

Sypiała z dziećmi na piecu, a Fomicz na drewnianym łóżku, jeżeli w ogóle można to było nazwać łóżkiem. Miało najwyżej półtora metra, chociaż zajmowało całą długość ściany aż do drzwi. Nigdzie więcej miejsca nie było! Wiadomo, dom na siedem łokci... Trudno wyciągnąć się na takim łóżku.

Na noc dostawiał do łóżka zydeł i wyciągał na nim nogi.

— Chcesz żyć — musisz umieć wykręcać się na wszystkie strony — lubił powtarzać Fomicz.

Po spotkaniu z przewodniczącym koło jeziora Fomicz został wezwany do zarządu kołchozu we wsi Swistunowie, gdzie znajdował się główny ośrodek. Ale Fomicz nie poszedł. Wtedy postanowiono zaocześnie usunąć go z kołchozu i podać ogólnemu zebraniu do zatwierdzenia. Zatwierdzili. Kołchoznikom zakazano wynajmować Kuźkina do koszenia łąk. W taki to sposób zlikwidowano niespodziewane źródło dochodów Żywego. Ale Fomicz tylko śmiał się i pokpiwał.

— Nic takiego, Dunia! Teraz ci zacznę chałupę oporządzać. Dzięki im, że to mnie od pracy oswobodzili.

Już tam życie Żywego nie pieściło. Dzieciństwo ciężkie, sieroce. We wczesnej młodości nawet zabawić się nie zdążył, a już go ożenili. Powieźli do ślubu. Jak jechali w kozuchach, tak weszli do cerkwi. Fomicz miał na sobie ojcowski kozuch, którego poły wlekły się po stopniach, a głowy nie było widać, tylko czapka sterczała. „Wyrostek, nic tylko wyrostek — wzdychała z troską matka, idąc tuż za nim — narzeczona, nawet ta bodaj od niego znaczniejsza...”

Proboszcz wyszedł na spotkanie nieśmiałego, chowającego się gdzieś w kącie weselnego orszaku i wesoło zapytał:

— Dzieci moje, a gdzież tu narzeczony?

Oprócz Fomicza był tylko jeden chłop, ojciec Duniaszy, rosty męczyzna z rozłożystą siwą brodą. Ludzie, którzy przyszli pogapić się, cichutko parskali śmiechem, osłaniając usta dłońmi, że niby żegnają się. Matka delikatnie popchnęła Fomicza w plecy.

— On, ojczu, ino tak na wyrostka wygląda, a parobek z niego zwawy, żywy, znaczy się...

Pop głośno roześmiał się.

— I tak nazywa się — Żywy?

— Żywy, ojczulku, Żywy! — przy ogólnym, niewstrzymanym już śmiechu palnęła przestraszona stara.

— Jeżeli żywy — to podrośnie — powiedział dziarsko pop.

Od tego czasu zaczęto nazywać Fomicza Ż y w y m.

I rzeczywiście po ślubie podrósł, wyciągnął się przy pracy. Przez pierwszy rok młode małżeństwo pracowało za najmitów w maślarni w Swistunowie, a potem kupili krowę i konia i założyli własne gospodarstwo. Te pierwsze lata małżeńskie stanowiły ciągiłą i radosną pogoń za dorobkiem.

— Potrójnym zaprzęgiem żeśmy wieźli — mawiał Fomicz, wspominając tamte czasy. — Łyska za dyszlowego konia, a ja i Dunia — na przyprzążkę.

Ech, Dunia! To tylko teraz stałaś się do westchnień skłonna i na łyż łatwa... A dawniej jak ta zięba, jak dzwoneczek zanosilaś się od wschodu do zachodu. Już weselszej nigdzie nie znalazła!

Zadziwiali oni wszystkich mieszkańców Prudków tym, że i w rok i w dwa lata po ślubie wciąż jeszcze z wiosną chodzili wieczorami na tańce i śpiewki. Młodzież zbierała się zazwyczaj przy cerkwi, na Czerwonej Górze. U Fomicza instrument na rzemieniu przez ramię, Dunia w złotych butkach, chusteczka w kwiaty, lekka bluzeczka bez rękawów. Żywy przysłucha się, bywało, harmoniście, miejscowemu czy obcemu, wszystko mu jedno. Zdejmie harmonię, rozciągnie, do ucha podniesie... I jak zacznie rznąć! I tak się potrafił dostroić, że nie odróżnisz. Dwie harmonie grają jakby jedna. Dunia tylko na to czeka, namawiać jej nie potrzeba. Niby to od niechcenia zdejmie chustkę, leniwie przeciągnie się w ramionach i popłynie dokoła z przytupem, jak gdyby groch obcasami łuszczyła.

*Harmonisto, harmonisto, szybciej graj i częściej,
jać zatańczę tobie zwawo — sercu na nieszczęście!*

A Żywy odzywa się z ławeczki miękkim, trochę przygaszonym barytonem:

*Zalotnico, lotna mucho,
ty harmonii mej posłuchaj...*

— Ale żywa para, żeby was diabli! — powarkiwały baby na przyzbach. — Czas by już dzieciaki niańczyć, a oni ciągle się jeszcze po zabawach zuchwala.

— Przed ślubem nie było czasu — odpowiadał Fomicz — to teraz zabawę odrabiamy. Co nasze, to nasze!

Zarówno w kołchozie, jak przez pierwsze lata przy dobrowolnej pracy w niedzielę Dunia zawsze odznaczała się. Zdarzało się, idzie brózdą za sochą ziemniaki sadzić — w tyle za sochą nie zostanie. Idzie, jakby ją przywiązali, drobnym krocikiem, koszyk na piersi, a ręce aż fruują od koszyka do brózd. Ledwie dla niej nadażano koszyki ładować. Jak sadziła ziemniaki, to aż dzieciarnia zbiegała się, żeby patrzeć. W całym kołchozie nie było ani baby ani dziewczki żeby z nią mogły w polu zawodniczyć. Nie na próżno także i ją zaczęto nazywać Żywą. Za młodu Dunia była jak i Fomicz, smągła na twarzy, oczy miała wyraziste, siwe, głębokosadzone. To dlatego matka Fomicza, znana z ostrego jęzora, przezwała ją „wydrążone oczy”. Potem zaczęły się rodzić dzieci z takimi samymi siwymi, „drążonymi” oczami. Tak też wypadło, że wszystkie obowiązki względem domowego gospodarstwa, „karmienia i pojenia”, jak mawiał Fomicz, stały się udziałem Awdotii. On sam wkrótce odszedł od kołchożnych spraw, ponieważ go przesunięto na „kierowniczą linię”, jako że był z najemnych bandosów, biedniackiego pochodzenia.

Ta przeszłość najmity nie tylko nie przyniosła Fomiczowi powodzenia, lecz całkiem na odwrót — zrobiło mu, rzec by można, kiepski kawał. Zaraz w pierwszych latach niezgorszego życia w kołchozie, gdy jeszcze wydawano na głębę po dwanaście pudów, kazano Fomiczowi sekretarzować w wiejskiej radzie. Płacili byle co — za to nawet juchtowych butów nie kupisz. Butów z kerzy jeszcze wtedy nie sprzedawali, nie nauczyli się póki co ich wyrabiać. Przyszły potem dużo gorsze czasy; wiejska rada w Prudkach została zlikwidowana i Fomicz zaczął pracować w wiejskiej radzie w Swistunowie. Wypadło biegać codziennie tam i z powrotem, rano i wieczorem, po pięć wiorst przez łąki. „Tera jestem jak ten derkacz — mówił Fomicz — któren zimować na piechty zapycha, a ja takimże sposobem na robotę. Tyle żem się jeszcze kwakać nie nauczył”. „Nie bojać się — odzywała się stara — zima nadejdzie, nauczysz się także kwakania. Co na siebie włożysz? Kurteczka słabowita, mocniej w nią dmuchnąć rozleci się jak srocze gniazdo”. „Kurteczka, matko, szczęścia nie daje”. „A co daje?” „Kto jego wie!”

I rzeczywiście Fomicz nie wiedział, co to jest szczęście. Kiedy był małym chłopcem, sądził, że szczęście to duży dom z ładnym ogrodem, jak u popa, skąd w lecie dochodzi zapach bzu i jabłek, a w zimie pieczonych blinów. Kiedy zaczął podraszać, myślał, że

szczęście to ożenek z Duniaszką. Nie zdążył nawet jak należy oddać się marzeniom, a już go ożenili. Później marzył o zarobieniu dużych pieniędzy, żeby nabyć konie i krowy, zbudować ładny dom, taki sam, jaki posiadał Lizunin. Ale pracując jako sekretarz wiejskiej rady, Fomicz zorientował się, że kołchoz podupada coraz bardziej, gdyż obowiązkowe dostawy są coraz większe. Dawniej każdy kołchoznik otrzymywał tyle zboża, że można było żyć. Na każdą gębę — przydział. A dopłacano tym, którzy lepiej pracowali. A teraz? Teraz płaci się dobrze brygadierom i różnym urzędasom, a co dostają tacy jak Fomicz? Jakże w takim kołchozie wszystkim może się dobrze powodzić?

W trzydziestym piątym roku Fomicz został wysłany, jako człowiek z awansu społecznego, na dwuroczny kurs początkujących pracowników. Ale nie minął nawet rok, i tych wszystkich niedouczonej słuchaczy skierowano do kołchozów na stanowiska przewodniczących. Fomicz dostał przydział w leśnym kołchozie, w mieszczańskim kraju. Przez całe życie Fomicz miał do czynienia z gospodarką na czarnoziemiu i na pastwiskach. Tylko ile tej ziemi miał? Świnia na pysku więcej ziemi uniesie, niż w całym gospodarstwie Fomicza. A tu cały kołchoz i do tego leśny. W owych czasach Fomicz już to i owo zaczynał rozumieć — taki przewodniczący jest dobry, co i władzę podtrzyma dostawami ponad plan i kołchozników potrafi nakarmić. Tylko że do tego wielka zręczność jest potrzebna. Najważniejsze — mocne podstawy gospodarcze: albo dobra ziemia, albo dodatkowe jakieś dochody. Wtedy można wytrzymać. Pojechał Fomicz do tego mieszczańskiego kołchozu, popatrzył: ziemia — nic, jeno mało urodzajna popielatka i bagna. Przychodzi zima — chłopci siekierki za pas i już ich nie ma. Własna ziemia nawet i dawniej nie mogła wykarmić. Cóż tu Fomicz nowego stworzy? Gdzie się tu rozwinąć? A przecież na jesieni trzeba zboże państwu dostarczyć i chłopom dać. Jakaż tu zręczność, czyjaż tu głowa poradzi? Nie, tutaj ciągnąć nie będzie. Fomicz kategorycznie wymówił się od stanowiska przewodniczącego. Wtedy usunięto go z kursu. Przyjechał do Prudków z nadwyrężoną opinią „ukrytego elementu i sabotażysty”.

Po niedługim czasie zdarzyło się nieszczęście. W trzydziestym siódmym roku, z powodu pierwszych wyborów do Najwyższego Sowietu, urządzono w rejonie wielki wiec. Przyjechał sam delegat — ludowy komisarz skarbu. Chłopi, którzy z racji targowego dnia zjechali się ze wszystkich wsi, zawalili cały plac, na którego środku, na trybunie zbitej z desek stał delegat, i wszyscy zauważyli, że wzrost miał Wani Borodina, najwyższego chłopca w Swistunowie, czapkę na głowie z bobra i palik papierosy „takie, wiesz, że aż w nosie wierciło!”

Po wiecu zapowiedziano, że w straganach będzie można dostać białe bułki. Ale było ich za mało i kiedy przyszła kolejka na Fomicza, nie było już czego sprzedawać. Fomicz przeczytał głośno napis na straganie: „Związek Użytkowy” i powiedział: „Nie, to b e z u ż y t k o w y”. Dokoła rozległ się śmiech. Do Fomicza podszedł przedstawiciel RIK-u i powiedział: „Proszę ze mną”. Na czole nie miał napisane, że jest tym przedstawicielem, więc Fomicz posłał go do wszystkich diabłów. Przedstawiciel chwycił Fomicza za kołnierza kożuszka... W bójce Żywy był gotów na wszystko. Chwycił za ramię tego przedstawiciela, rzucił się pod pachę i tak nim szurnął przez siebie, że mu nawet kalosze pospadały z chromowych butów. Rozległy się gwizdki i Fomicza zabrali.

Sądziła go trójka za „propagandę antysowiecką” i to na domiar złego „w okresie przygotowywania wyborów”. Przypomniało mu, że jest „skrytym elementem”, i sabotaż, czyli rezygnację ze stanowiska przewodniczącego. I wsadzili do więzienia na pięć lat według artykułu o „wrogach ludu”.

Ale Żywy nawet w więzieniu nie ugrzązł. W trzydziestym dziewiątym roku, kiedy wojna z Finlandią, wielu skazanych zgłaszało się jako ochotnicy. Fomicz również napisał podanie. Jego sprawa została rozpatrzona ponownie i zwolniono go. Póki jednak naradzały się komisje, zanim otrzymano odpowiedź na pytania: „Czy był pozbawiony praw wyborczych?”, „Czy występował przeciw kolektywizacji?” i tak dalej, zanim go zwolniono — skończyła się fińska wojna. Za to miał czas nawojować się do syta podczas wielkiej wojny. Przyniósł z niej order Sławy i dwa medale. A zostawił trzy palce u prawej ręki...

Przypominając dni i lata swego życia, Fomicz sortował je, jak wiklinowe pręty na koszyk: te, co większe i ważniejsze, na osnowę, a cała drobnica — na plecionkę. Odpadków tak jakby nie było — każdy dzionek rzeczowo wykorzystany.

A i teraz Fomicz przyciągnął po nocach kilka dębowych pniaków w za Łuki, wzmocnił dolne, zbutwiałe wiązania i, co najważniejsze, zrobił podpórkę pod dach — żeby chociaż gospodyni mogła sypiać spokojnie.

Razem z pierwszym chłodem zapukał do chałupy Żywego niepokój — przyszło zawiadomienie: stawić się do rejonowego komitetu wykonawczego „w sprawie wydalenia”.

VI

Dzień wypadł słotny: od rana padał mokry śnieg z deszczem. Ziemia przemarznięta poprzedniego dnia oślizgła i przylepiała się do podeszew. Fomicz obejrzał swoje stare buty ze sztucznej skóry

i postanowił przymocować do nich gumowe podeszwy rzemie-
niami z juchtu; droga do Tichanowa daleka — dziesięć kilomet-
rów. W taki czas nie trudno podeszwy na drodze pogubić. Na
sweter nałożył żołnierski pas — zawsze będzie ciepłej. A na
siebie narzucił duży worek, żeby chronił przed deszczem. To ci
dopiero płaszcz! Z kapturem nawet i do tego jak baszłyk. Zupel-
nie jak budionowska czapka!

— No, to już mnie nie ma! — Fomicz zjawił się na progu
domu.

Kiedy Awdotia ujrzała go w takim stroju, jak do pochodu,
natychmiast uderzyła w lament:

— I na jakież zły los nas porzucasz, i młodych i starych?
Karmicielu ty nasz umiłowany! Ależ zła dola nam wypadła...
Przyjdzie sierotom iść po świecie na zębry!...

— Czego durna się drzesz? Co to — czy ja już jestem za
nieboszczyka?!

— Aj, Fiedia kochany, wezmą cię i posadzą... Nieszczęsna mo-
ja głowa! I cóż ja z dziećmiakami sama pocznę, z nieletnimi? —
Awdotia siedziała za stołem, wsparłszy głowę na rękach i po-
śpiesznie zawodziła, przeraźliwie popiskując.

Młodszy syn, Szurka, wparł się w matczyne kolana i także
zaczął ryczeć.

— Całkiem, Dunia, zgłupiałaś... — siląc się na delikatność,
powiedział Fomicz. — Dzisiaj pięćdziesiąty trzeci rok, a nie
trzydzieste lata. Różnica! Teraz już tak rozrabiać nie można...
Patrz ino — samego Berię posadzili. A ty płaczesz! Śmiać się
potrzeba.

Żywy machnął ręką na swoją gospodynię i jej słabości i wy-
szedł z domu. „Co też — myślał po drodze — wykombinował
dla mnie Siemion Motiakow?”

Przewodniczący rejonowego komitetu wykonawczego, Motia-
kow, był jednolatkim Fomicza. Swego czasu wysunęli się razem
— Motiakow pracował wtedy jako przewodniczący wiejskiej rady
w Samodurowce. Potem uczyli się wspólnie na prawniczym kur-
sie. Jednocześnie ich skierowano do pracy na stanowiskach prze-
wodniczych kołchozów. Tylko że Fomicz wymówił się od tego
stanowiska, zaś Motiakow poszedł do góry...

Żywy rozumiał, że z Motiakowym nie należy żartować; daw-
niej już ostro sobie poczynał, a po wojnie skończył w okręgu
jakiś kurs i stał się postrachem całego rejonu. Brygadierzy wszyst-
kich kołchozów dobrze znali jego ulubione powiedzenie: „Rogi
wam będziemy obłamywać! Rrraz i na zawsze!”

„A cóż tam! — pokrzepiał sam siebie Fomicz. — Rogów już
dawno nie posiadam. Obłamali... I jako że jestem bezrogi, to trwo-
żyć się nie ma czemu...”

Przed komitetem wykonawczym postanowił zachować się wy-
zywająco. „Dla mnie tera im gorzej, tym lepiej. Niech by zesłali!
Też wielkie dziwo! Przejadę się państwowym kosztem. A tam
choćby nawet kiepską rybą, ale zawsze będą karmić”.

Żywy przyszedł do Tichanowa przemoczony, zmarznięty do
szpiku kości. RIK mieścił się w dwupiętrowym domu z cegły,
wznoszącym się w centrum rejonowego ośrodka.

Tak jak był, z workiem na głowie, wszedł do poczekalni.

— Kto mnie tu wzywał?

— Co wyście — rzuciła się na niego młodzieńka sekretarka.

— Do obory żeście przyszli? Natychmiast zdjąć ten worek! I nie
tu, tylko za drzwiami! Cieknie z niego strumieniem... Natych-
miast wyjść!

Żywy zdjął worek, ale nie ruszył się z miejsca.

— A jak go zostawię, to może kto zabierze? A może to
ostatni worek, jaki mi został?

— Komu on potrzebny?! Precz stąd! Czemu stoicie na progu?

Żywy zrobił ruch, żeby przejść do pokoju przewodniczącego.

— Ach, tak! Z tym workiem chcecie wejść! To by się do-
piero ucieszyli!

Sekretarka wyszła zza stołu i energicznie wyprowadziła Ży-
wego za drzwi.

— To dopiero tępy naród! Całą kałużę zostawił. Co wy
myślicie, ja tu jestem za sprzątaczkę?

Po chwili Żywy wrócił, już bez worka, ale i tak ściekała
z niego woda jak przedtem.

— Co wyście, w stawie się kąpali, czy jak?

— A właśnie, ryby łowiłem wężerem. A potem se po-
myślałem: ogrzeję się ździebko w RIK-u. Widzę — meble macie
mięciuchne.

Tym razem zanim sekretarka zdążyła wstać, Żywy bezcere-
monialnie podszedł do stołu i rzucił się na kanapę.

— O tak! To ci dopiero w sam raz!...

— Wy... Wy do kogo?

— Do Motiakowa. Do wykonawczego komitetu.

— Jesteście z Prudków! Kuźkin?

— Ano, niby ja właśnie...

— To gdzieście się włóczyli?! — wyglądało na to, że nagle
się przebudziła, rzucając się na Żywego ze zdwojoną siłą. —
Wstań! Kierownicy oczekują go od godziny, a on gdzieś tam
wariata odstawia!

Nie słuchając wyjaśnień Fomicza, szybko zniknęła za drzwia-
mi i natychmiast wyszła z powrotem.

— Jazda! Widzicie go, jak się rozsiadł!

Żywy wszedł do gabinetu. Na miejscu przewodniczącego sie-

dział sam Motiakow, koło stołu stał sekretarz rejonowego komitetu, Demin, w ubraniu z ciemno-niebieskiego bostonu. Członkowie komitetu wykonawczego, spośród których Żywy rozpoznał jedynie Guzionkowa i głównego lekarza rejonowego szpitala, Umniażkina, siedzieli pod ścianami i palili. Widać było, że posiedzenie komitetu już się skończyło — na długim stole leżały zapisane kartki papieru i ołówki.

— Oto zjawił się nareszcie, umiłowany! Proszę, jaka radość! — Motiakow połyskiwał zębami ze stali, przyglądając się spodoba Fomiczowi.

Demin wskazał gestem krzesło, ale Fomicz nie zdążył usiąść, gdy Motiakow krzyknął i powstrzymał go.

— Dokąd? Na stojąco nie można, co?! Na herbatkę nikt cię tutaj nie zapraszał. — Motiakow wstał, wyszedł zza stołu. Miał na sobie frencz ochronnego koloru i niebieskie, wojskowe spodnie. Wsadził ręce do kieszeni, obszedł Fomicza jak kogut i zauważył zjadliwie: — Mokra kura... Na buntowanie mu się zebrało.

— A co, macie tu grzędę? — odpowiedział Żywy. — Skoro już kury zwołujecie...

— Ja ci tu pogadam! — krzyknął znowu Motiakow, podszedł do Diemina i zaczął mu coś naszeptywać na ucho.

Demin był wysoki i chudy, więc Motiakow musiał wspinać się na palce i jego krótki, szeroki nos śmiesznie zadzierał się do góry.

„Jak gdyby obwąchiwał” — pomyślał Fomicz, patrząc na Motiakowa, i uśmiechnął się.

Demin skinął Motiakowowi maleńką, suchą głową, ten podszedł do stołu i zastukał kostkami palców.

— Zaczynamy! Timoszkina, zajmij swoje miejsce!

Okrągłutki, zwiny sekretarz rejonowego komitetu wykonawczego, Timoszkina, o twarzy żółtej jak rzepa, usiadł po prawej ręce Motiakowa i z gotowością wpatrzył się w niego oczkami wypukłymi jak u raka. Demin odszedł ku ścianie i przysiadł się do pozostałych członków komitetu.

— Guzionkowie, naprzód, wykładaj sprawę! — powiedział Motiakow.

Michał Michajłycz wstał, rozstawił nogi w buciorach, jak gdyby wypróbowywał deski podłogi — czy wytrzymają? — wyjął kartkę z notesu i zaczął czytać, spoglądając na Motiakowa.

— Znaczą się, po wrześniowym Plenum cały kraj, rzecz by można, wyteżają siły pod względem rozwoju rolnictwa. Każdy kołchoznik powinien swoją ofiarną pracą odpowiedzieć na historyczne postanowienia Plenum. Ale mamy tu jeszcze różne obce elementy, które w godzinach pracy chodzą po łąkach z bronią i strzelają kaczki. Mało tego, jeszcze podżegają na różne anty-

państwowe czyny chwiejne kobiety na fermie, które to kobiety z powodu swoich zajęć nie są w stanie kosić łąk, przypadających im z racji dostaw cieląt. I te elementy koszą zamiast nich, a w zamian biorą pieniądze i kaszę. Jakże się z taką sprawą pogodzić? To przecież powrót do indywidualnego ustroju... My tego nie zniesiemy, żeby niepracujący element, Kuźkin, rozkładał nasz kołchoz. Albo niech pracuje w kołchozie, albo niech idzie precz z naszego terytorium. Prosimy komitet wykonawczy o zatwierdzenie postanowienia naszego kołchoźnego zebrania względem wydalenia Fiedora Fomicza Kuźkina.

Guzionkowie usiadł, Motiakow szydlerczo popatrzył na Fomicza.

— No, co teraz powiesz? Pewnikiem usprawiedliwiać się zaczyniesz?

— A mnie po kiego się usprawiedliwiać? — odpowiedział Fomicz. — Kraść nie kradnę i na państwowym wickie nie żyję.

— Ja ci tu pogadam! — krzyknął Motiakow.

— To pociście mnie wołali? Żeby milczał? W takim razie nie ma po co mnie zapytywać. Rozstrzygajcie sami, jak umiecie.

— Już tam ciebie radzić się nie będziemy — roześmiał się Motiakow, pokazując swoje stalowe zęby. — Obłamiemy rogi rrraz i na zawsze!

— Towarzyszu Kuźkin — grzecznie zapytał Demin cichym, z lekka zachrypniętym głosem — dlaczego towarzysz nie życzysz sobie pracować w kołchozie?

Zaplótł na kolanie długie białe palce i patrzył na Żywego, lekko odchylony do tyłu.

— Towarzyszu Demin, nie uchylam się od pracy. Przepracowałem cały rok i otrzymałem z kołchozu po dwadzieścia jeden gramów hreczki dziennie na głowę. A w kołchoźniczym inkubatorze na każdego kurczęcia wydają po czterdzieści gramów czystej kaszy.

— Widzisz go, jaki mądrala! Rozprowadza tu wyższą matematykę — powiedział Motiakow. — A ja ci tu lepszą politykę na rozum przywiode: pracować trzeba było więcej. Zrozumiano?

Fomicz tak jakby w ogóle nie słyszał Motiakowa.

— Towarzyszu Demin, ja od pracy się nie uchylam. Tyle że nie chcę pracować za darmo. Mam pięcioro dzieci i sam jestem inwalidą z wojny Ojczyźnianej.

— Widzieli go! — roześmiał się znowu Motiakow. — Zarobkowej pracy żąda... Komisarz z „Czerwonego łapcia”... Najpierw dobry urodzaj daj, a potem o forszę proś. Darmozjad!

— A ty jakie urodzaje dajesz? — zapytał gniewnie Żywy. — Ani żniesz, a ni siejesz, ino kieszeń podstawiasz!

— Ja ci tu pogadam! — Motiakow wyrznął pięścią o stół.

— Towarzyszu Kużkin — odezwał się Demin — przecież nie wy jedni przebywacie w kołchozie, a jednak tylko wy uchylicie się od pracy!

— Dziwne pytanie! — odpowiedział Fomicz. — A jeżeli ja na ten przykład pomrzeć nie chcę? Czy także powiecie: nie ty pierwszy, nie ty ostatni?

— Co tam z nim gadać! — machnął ręką Guzionkow. — Wiadomy element... zaprzepadły...

— W trzydziestym roku kołchoz zakładałem, a wyście, towarzyszu Guzionkow na gotowiuście przyjechali. Jeszcze nie wiadomo, czym takim zajmowaliście się w trzydziestym roku.

— Myśmy ciebie wezwali nie po to, żeby się przed tobą tłumaczyć! — przerwał Żywemu Motiakow. — Jeno po to, żeby cię rozumu nauczyć rrraz i na zawsze! Zrozumiane? Wrócisz do pracy w kołchozie?!

— Za darmo pracować nie będę.

— A czegoż wy właściwie chcecie? — zapytał Demin.

— Dajcie mi paszport. Sam się o pracę postaram.

— My tobie nie paszport, jeno wilczy bilet wypiszemy — powiedział Motiakow. — Wyjdź do poczekalni! Jak trzeba będzie — zawołamy.

Żywy wyszedł.

— No i co z nim robić? — Demin zwrócił się do członków komitetu, którzy w milczeniu obserwowali starcie z Fomiczem.

— Dać mu ciężkie zlecenie — powiedział Motiakow. — W formie podwójnego podatku... A potem zobaczy się...

— Przecież podatki zostały zniesione — powiedział Demin.

— To jak chodzi o kołchoźników. A jako że go z kołchozu wydalili, znakiem tego on tera w rodzaju indywidualnego gospodarza...

— Mięso żeby z niego — podchwycił Timoszkina — i weinę, i jaja... wszystko podwójne dostawy!

— To jak? — Motiakow zwrócił się do członków wykonawczego komitetu.

— W takim razie można by z niego jeszcze i dwie skóry złupić — zaproponował inspektor skarbowy, Jewsiuchow, nie wiadomo na serio, czy na kpinę.

— A czemu nie! — zawołał Motiakow. — Według obowiązkowych dostaw powiedziano było, że i skórę. To z niego dwie! Timoszkina, pisz!

— I drzewo opałowe — ucieszył się Timoszkina — także podwójną normę...

— Pisz! Niech się dowiedzą, co to znaczy uciekać z kołchozu. Rrraz i na zawsze!

— Przecież — zauważył lekarz Umniazskin — to inwalida drugiej kategorii...

— Owa, raptem trzech paluchów brakuje. Nie zwracaj uwagi na jego wygląd, on tylko tak udaje zdychającego kundla, a jeszcze i nas z tobą przetrzyma — odpowiedział Motiakow lekarzowi i zadzwonił na sekretarkę: — Zawołać Kużkina!

Tym razem Żywy wszedł z workiem w rękach. Motiakow spojrział podejrzliwie na worek.

— Co, pewnieś prosięta przytaskał?...

— A właśnie... Pośpieszyłem się. Bo jak nie, tobyście wszystkim jedno odebrali.

— Ja ci tu pogadam! Wybije ci ochotę... Rrraz i na zawsze! Daj-no protokół! — Motiakow wziął od Timoszkina kartkę i zaczął czytać: „W związku z wykluczeniem z kołchozu Kużkina Fiedora Fomicza, mieszkającego we wsi Prudki, Tichanowskiego rejonu, zaliczyć go na sytuację indywidualnego sektora, i z tej racji wymierzyć mu podwójny podatek, to znaczy podatek z działki przyzagrodowej, o powierzchni 0,24 hektara, zniesiony ostatnim postanowieniem rządu, i pomnożyć go przez dwa. Mianowicie, zobowiązuje się tegoż Kużkina Fiedora Fomicza, żeby w miesięcznym terminie dostarczył tysiąc siedemset rubli, osiemdziesiąt osiem kilogramów mięsa, sto pięćdziesiąt jaj, sześć kilogramów wełny albo dwie skóry...”

— Siemionie Iwanowiczu — podsunął się do przewodniczącego Timoszkina — pozwólcie, ja mu jeszcze dopiszę czterdzieści cztery metry sześciennych drzewa opałowego. Niech dostawi.

— Ty sam dostawisz — powiedział Fomicz. — Wiiesz, jakie karczysko se wychodował. Po pijackiej zgadze jakże ci dopisywać?!

— Może byśmy się tak obeszli bez poniewierania — Timoskinowi wykrzywiła się gęba. — Bo to wypadnie jeszcze odpowiadać za obrazę na osobie.

— A właśnie... W trzydziestych latach już za ciebie odpowiadałem. A twój ojciec wtedy w sklepie kielbasą handlował.

— Są jakieś pytania? — zwrócił się do Fomicza Motiakow.

— Zainteresowanie mam takie, czy dostarczać po trochu, czy zaś aby wszystko razem? — Fomicz patrzył na Motiakowa niewinnym wzrokiem.

Ten odpowiedział wyniosłym, oficjalnym tonem:

— Jeżeli chcesz, możesz zaraz przywozić...

— Wszystko, co jest!

— Pieniądze wpłacę... Do ostatniego grosika. Spod strzechy wyjmę. Mięso też dostarczę — cielaka kupię na targu. Jajka też dostarczę... A ot tylko względem skóry, to dopraszam się łaski. Jedną skórę jużem znalazł.

— Gdzie znalazłeś jedną, tam i drugą znajdziesz — powiedział Motiakow.

— Z siebie samego mogę skórę złupić, a z żony łupić nie pozwolę. U nas teraz równouprawnienie.

Któryś z obecnych parsknął śmiechem, Umniażkin zasłonił się dłonią, tylko oczy było widać i aż mu łzami zaszczyły, nawet Demin dziobnął nosem i zastrukał po żurawiemu jakby z głębi brzucha. Motiakow ryknął, spurpurowiał i huknął pięścią o stół, że Timoszkina aż podskoczył ze strachu.

— Poszedł won! Rrraz i na zawsze!

Na ulicy po dawnemu siąpił deszcz zmieszany z mokrym śniegiem. Fomicz narzucił worek na głowę i powlókł się przez zabłoconą ulicę. Na duchu czuł się kiepsko, cały zapas energii i kpiarskiego nastroju zużył w gabinecie Motiakowa. A teraz tylko kłaść się w błocie wpoprzek drogi i ryczeć w niebogłosy. Wypić by warto, tylko że w kieszeni ani grosza...

Na skraju Tichanowa, naprzeciw dawnej cerkwi, zamienionej na śpichlerz zbożowy, stał na uboczu dom popa, kryty tarciami, niegdyś tonący w gęstym sadzie. Po wyjściu z Tichanowa, przechodnie, jeżeli dzień był upalny, zatrzymywali się tu zazwyczaj przy studni, pili do syta. Fomicz nagle poczuł znużenie i drzenie w kolanach. „Diabli, jak bym ciężkie worki tragał... To ci dopiero Komitet Wykonawczy!” Oparł się o cembrowinę, popatrzył na popi dom. „Tu ci dopiero konfesjonał. Trza zajrzeć” — zdecydował się.

W dawnym popim domu mieściło się obecnie rejonowe biuro zapasowego funduszu. W bocznym gabinecie siedział Andriusza i stukał na liczydłach. Drewniana kula sterczała spod stołu.

— Bywaj, sąsiedzie! — wesoło pozdrowił Fomicza. — Cóżżeś taki mokry i błady? Jakby diabli tobą orali?

— Iście diabły, nie inak! — Fomicz usiadł na brzeżku obitej czarną ceratą kanapy i ciężko złapał oddech, jakby to było po długim biegu. — Wspowiadać się do ciebie przychodzę. Nie na próżno w popim domu siedzisz.

Fomicz opowiedział wszystko, co zdarzyło się w komitecie wykonawczym. Andriusza długo milczał, widocznie zatroskany i przebierał palcami na liczydłach.

— Zrób ano tak — weź od nich papier z tym podwójnym wymiarem. Strzelbę schowaj, kozę sprzedaj... Tylko roweru nie ruszaj. Stary już przecie... Niech mają coś do skonfiskowania... Potem złożysz skargę. I koniecznie weź z kołchozu zaświadczenie — ile żeś za rok dniówek wyrobił.

— Któż mi takie zaświadczenie wyda?

— Na chytróść ich weź... Sprytem zadziałaj.

— A czy oni nie mogą mnie zesłać?

— Mogą... z trzydziestego piątego artykułu — bez określonej pracy, że niby jako włóczęgę...

— A co z inwalidami?

— Inwalidów nie wysyłają. Ale ty należysz do drugiej kategorii. Jeszcze musisz pracować.

— A cóż to, czy ja wymiguję się od pracy? Niechby wydali paszport — urządzę się.

Andriusza tylko ręce rozłożył.

— To już ode mnie nie zależy. A ty jedno sobie zapamiętaj — przyjdą, żeby sekwestr na majątek nakładać, ty, bracie, ciszej wody, niżej trawy. Zrozumiałeś? Choćby zaczęli zadzierać nosa, ty im się hardo nie stawiaj. Zara cię szurną. Niech zabierają, co tylko chcą. A ty zmilcz. Wbij to sobie dobrze do łba.

VII

Komisja zwała się po świętach, po pierwszym śniegu. Fomicz zdążył i kozę sprzedać i strzelbę ukryć. Fuzję okręcił natłuszczonymi gałganami i wsunął pod strzechę od strony podwórka. Stary penzeński rower, jeszcze sprzed wojny, obłupiony jak parszywa chabeta, stał w sieni, tuż koło drzwi: „Widzicie — to ja! Chcecie mnie brać — bierzcie, nie chcecie — to nie!”

Komisja składała się z pięciu osób — na czele inspektor rejonowego finansowego wydziału swistunowskiego zgrupowania, Nastia Protasowa, długonosa stara panna, przezywana Riabuchą, za nią brygadier Paszka Woronin i jeszcze trzech delegatów Rady — traktorzyści ze Swistunowa, chłopcy nie ułomki. „Ci na wypadek, gdy bym zaczął brykać” — pomyślał Fomicz. Wśliznął się do komórki i udawał, że śpi.

— Można do was? — rozległ się w drzwiach głos Nastii.

— Prosimy dalej — powiedziała Awdotia.

— Dzień dobry — zabrzmiało od progu kilka głosów. — A gdzie gospodarz?

— W komórcie na ławce.

Nastia rozsunała zasłonę.

— Ty co, słabujesz może?

— Mnie słabować nie wolno. Przecież na mnie Żywy wołają! — Fomicz podniósł się z ławy.

Za stołem rozsiedli się traktorzyści i Paszka Woronin.

— Drodzy goście, raczcie wybaczyć! Nie mam na co was prosić, ani czym ugaszczać — powiedział Fomicz. — Przed waszym przyjściem były bliny i pierogi, a zostały same paprochy pod progami... Czemu żeście nie uprzedzili, że przyjdziecie?

Traktorzyści zgodnie roześmieli się. Nastia rzuciła się na Fomicza:

— Ty mi tu przedstawienia nie odstawiaj! Lepiej powiedz, kiedy z podatku myślisz uiszczyć się!

— Mnie, Nastia, myśleć w żaden sposób niemożliwie. Władza za nas myśli. A nam tylko — zawsze naprzód! Do tyłu nie wolno... Za mnie na ten przykład Paszka Woronin rozmyśla.

Traktorzyści znowu roześmieli się a Paszka ściągnął żółte kosmate brwi i powiedział z groźbą w głosie:

— Myśmy nie po to przyszli, żeby twoich pogaduszek wysłuchiwać... Zrozumiane?

— Jak ci nie wstyd, Fiedorze Fomiczu? — przystąpiła do ataku Nastia. — Łebski chłop, a pracować nie chce! Nawet baby po całych dniach z fermy się nie ruszają. A ty wylegujesz się na ławie!

— Toż to po prostu symulant! — podniecał ją Paszka.

— Gorzej jeszcze! Darmozjad i obcy element, z tych, co dawniej za pasożytów chodzili...

Wyglądało na to, że Paszka i Nastia starają się doprowadzić Fomicza do złości. Ten od razu pomiarkował się, o co chodzi; siadł na zydelku, skrzyżował ramiona i umyślnie pokornym głosem powiedział:

— Ech, Nastia! A i ty, Paszka! Czemu po próżnicy swoją wymowność marnujecie... Ja teraz zrobiłem się człowiekiem religijnym. To tylko dawniej nie wierzyłem ani w Boga, ani w diabła, ani w miotłę zza pieca. Dawniej powiedziano mi jedno słowo, to ja dziesięć, tyś mnie zadrapał, a ja ciebie zara w łeb... A teraz przeczytałem w Ewangelii: uderz mnie w prawy policzek, to ja ci lewy podstawię. Klnijcie mnie, ile wlezie, ile chcecie, i zabierajcie, co chcecie.

— Kto ciebie uprzedził? — spytała Nastia prostodusznie.

— Czarny kruk w lesie. Chodziłem do lasu za opałem. Patrzę siedzi na dębie. „Krrra! Nastia i Paszka przyjdą do ciebie w gościnę, uważaj, żebyś ich nie ukrzywdził!”

— Co tam na jego gadaninę zważać! — powiedział rozdrażniony Paszka. — Lepiej przystąpić do sekwestru.

Nastia wyjęła z teczki książeczkę na protokoły.

— Gdzie twoja strzelba? — zapytał Paszka.

— Sprzedałem.

— Nie łzyj. Pewnie schowałeś?

— Szukajcie.

Paszka Woronin wyprostował się na cały swój wielki wzrost, spojrzął za piec, poszperał za kominem, potem wyszedł do sieni.

— Weź drabinę — powiedziała Nastia — i wyleż na strych!

— Po kiego tam drabina! Ten jego strych to jak grzęda. Ręką dostanie.

Woronin wstał na palce, wyciągając szyję niby żuraw.

— Uważaj, ty, żyrafie, chaty nie rozwal! — Powiedział Fomicz. — Bo jak rozwalisz, przyjdzie ci drzewo ciosać na nową chałupę.

— Ja bym ci wyciosał klatkę, niczym dla małpów. Do ogrodu zoologicznego bym ciebie wysłał, próżniaku.

Fomicz przypomniał sobie nagle, jak Woronok, brat Paszki, tak samo szperał w domu Lizunowa, po ucieczce gospodarza. Poprzedniego dnia Woronok kazał Fomiczowi zapisać Nesterowi Lizuninowi natychmiastową dostawę cetnaru nasienia marchwi. „I żeby rozliczył się w dwadzieścia cztery godziny!” Woronok był przewodniczącym wiejskiej rady. Polecenie przewodniczącego to żelazne prawo dla sekretarza. Fomicz zapisał. Wieczorem przyszedł do niego Nester. „Fiedor — powiada — ty wiesz, na ile starczy tego nasienia marchwi?” „Na ile?” „Na cały rejon! Skądże ja tyle wezmę?” Wtedy Fomicz dał Nesterowi Lizuninowi zwolnienie z kołchozu i ten w nocy spłynął razem z całą rodziną.

Fomicz patrzył teraz na Paszkę i przed oczami miał jego starszego brata, Woronka, z owych czasów. „I co za rodzaj taki bezczelny! Chleba im nie potrzeba, byleby do władzy się dorwać! Albo coś komuś zabrać... A na głębę całkiem niepodobni — jeden rudy, dryblas, z długim końskim pyskiem; drugi krępy, w młodości był czarny, niczym żuk-gnojak. Ale uchwyt mają jednaki. Widocznie, w ojca się wdali... Tego to pędzali przez wszystkie etapy — najpierwszy był złodziej w okolicy...”

Paszka zeskoczył na podłogę, otrzepał rękawy z kurzu.

— I coś tam znalazł? — zapytała Nastia.

— Glinę i kurz. Nawet plewy nie znajdziesz. Zeżarł wszystko, czy co?

— Domowym skrzatom oddałem. Przez cały rok na samych plewach ich trzymam.

Traktorzyści znowu roześmieli się zgodnie, jak na komendę.

— Gdzie dobytek trzymacie? — zapytała Nastia Awdotii.

— A cóż ty, nie widzisz? — odpowiedział Fomicz. — Tego dobytku u mnie aż zbywa. I na piecu i na łóżku...

— Nie udawaj durnia... Gdzie masz kufer?

— Pod łóżkiem.

Paszka wyciągnął spod łóżka zieloną, okutą płaskim żelazem skrzynię — posag Awdotii.

— Obejrzyj! — powiedział do Nasti, a sam dyskretnie odszedł ku stołowi i przysiadł się do traktorzystów.

Nastia podniosła wieko i nagle Fomicz zobaczył między starymi gałganami portmonetkę Duni z dużym zatrząskiem. „Matko rodzona! Przecież tam pieniądze za kozę — trzysta rubli! Całe ich

bogactwo". Fomicza aż zatkało, kiedy zobaczył, że Nastia chwyciła sakiewkę i otwiera zatrask. Pierwszą jego intencją było podskoczyć i wyrwać sakiewkę. A co potem? Przecież te brytany go zaduszą. Przypomniał sobie pouczenia Andriuszy: „Hardo się nie stawiaj! Niech zabierają, co tylko chcą...” Fomicz aż zębami zazgrzytał ze zmartwienia i odszedł, by znaleźć się jak najdalej od pokusy.

— Dunia! — zawołała Nastia. — Chodź no tu!

Gospodyni podeszła od pieca.

— Ty jeno popatrz! — pociągnęła ją Nastia do skrzyni. — Przecież to są obligacje... Chować między gałganami nie należy. — Nastia wsunęła sakiewkę z pieniędzmi w rękę oszołomionej Awdotii.

— Popatrzcie-no, moiściewy, — zaczęła lamentować Awdotia. — Że też dzieciaki się do nich nie dorwały! Fiedia, czyż to ty je rzucił do kufra? — A jednocześnie z pośpiechem ukryła sakiewkę za pazuchą.

— Cóż ty na mnie zwalasz, niechluj! — umyślnie surowo odwarknął Fomicz, a z serca zwałił się ciężar. „To ci Nastienka, to ci Riabucha! Ta dopiero ma sumienie! Popatrz tylko! I że to w starych pannach się ostała...”

— Nic się tu do sekwestru nie nadaje — powiedziała Nastia, pochylając się nad skrzynią. — A co z kozą?

— Jużeśmy po niej stypę odprawili — powiedział Fomicz.

— To co tu sekwestrować?

— Zabierzemy rower — powiedział Paszka.

Nastia wypisała kwit na rower i wyciągnęła do Fomicza.

— Masz, podpisz!

Fomicz podpisał. Potem już w sieni wręczył rower i zaczął deklamować:

— Hej! Czemu rzysz, mój koniu rączy? Służyłeś mi długo i wiernie. A teraz se odpocznij i ja odpocznę z tobą...

Nastia oddała Paszce obdrapany rower Fomicza i komisja wyniosła się w pełnym składzie.

— Ach, Fiedia, sprzedadzą tera twój rower — westchnęła Awdotia, odprowadzając spojrzeniem przez okno tę procesję.

— Nie bojać się, matko. Porządne ludzie nie kupią. Żli może by i wzięli, tyle, że pieniędzy pożalują. Przywykli wszystko za darmochę brać. A ten rower jeszcze mi z powrotem odprowadzą... Kto zabrał, ten przyprowadzi...

Następnego dnia Fomicz poszedł do Swistunowa, do zarządu kołchozu i powiedział księgowemu:

— Korniejcz, jakoś jedno nieszczęście za drugim na mnie się wali. Tak skręciło, że ledwie zipię.

— A cóż tam takiego?

— Ano, za waszym przykładem rejonowy urząd ubezpieczeń także się biesi. Powiadają, że niby minimuma dniówek zem nie wyrobił. I z tego względu — pedają — my ci połowę inwalidzkiej pensji wytrącimy.

— To już oni przeciw prawu idą.

— Spróbuj no im wytłumaczyć... A ty byś mi wypisał zaświadczenie, że niby ilem dniówek wyrobił...

— To można.

Korniejcz wypisał Fomiczowi zaświadczenie, że ten „razem z rodziną wyrobił za rok 840 dniówek...” Przyłożył pieczętkę.

Fomicz starannie przeczytał, złożył kartkę we czworo i powiedział z zadowoleniem:

— No, toście tera, kochasie, u mnie są zrobione... To zaświadczenie ja nie do urzędu ubezpieczeń wyślę, ino do KC...

— Oddaj-no zaraz! — Korniejcz podniósł się groźnie, ale Fomicz wsadził mu figę pod sam nos.

— A tego nie chcesz? Możesz powtórzyć Guzionkowowi.

— Powiem, żeś ode mnie wycygał zaświadczenie oszustwem...

— Czołem! — Fomicz pomachał szyderczo ręką. — Życzymy przyjemnej pogwarki z Michałem Michałyczem.

Po powrocie do domu Fomicz wyrwał z zeszytu podwójną kartkę i na całą szerokość wyrysował chemicznym atramentem koło. Na jego obwodzie wypisał wielkimi literami: „Zaczarowane koło rejonowego komitetu wykonawczego w Tichanowie”. Po czym napisał w środku: „Ja, Fiedor Fomicz Kużkin, zostałem wykluczony z kołchozu za to, że wyrobiłem 840 roboczych dniówek i otrzymałem za to na całą moją hałastwę, złożoną z siedmiu osób, 62 kilogramy hreczki pomieszanej z wróblimi gównami. Zapytujemy się: jak mamy żyć?” Do tego rysunku dołączył zaświadczenie o wyrobieniu dniówek i skargę, w której dokładnie opisał, jak go wykluczano, jak nakładano podwójny podatek, a następnie zasekwestrowano rower. Skargę swoją rozpoczął „z daleka”: „Zbliżają się wybory... Sowiecki naród cieszy się: będzie wybierać rodzony rząd. Zaś moja rodzina nawet nie pójdzie do głosowania...” Wszystkie te utwory Fomicz zakleił w kopercie, napisał adres obwodowego komitetu, na nazwisko samego pierwszego sekretarza, Ławruchina, i na piechty powędrował czterdzieści kilometrów na stację Pugasowo. Wrzucił list do skrzynki pocztowej na budynku stacyjnym — „tu nie domyślą się, żeby sprawdzić”. Zadowolony z własnej przebiegłości, wypił za powodzenie — kupił kwaterkę piwa, sto pięćdziesiąt gramów wódki, zmieszał wszystko i wypadła z tego znakomita kombinacja.

VIII

O tym, że skarga zrobiła swoje, Fomicz domyślił się, gdy któregoś dnia, ni stąd ni zowąd zajrzał do niego wieczorem Paszka Woronin i schylony we drzwiach, powiedział, nie przekraczając progu:

— Zabieraj swój rower. Jest w Swistunowie, przy wiejskiej radzie.

— Nie mam prawa — pokornie powiedział Fomicz. — Kto go zabierał niech przyprowadzi z powrotem.

— A jakże, przyprowadzi... Jak rak na sośnie świni... — Paszka trzasnął drzwiami i poszedł.

— No, matka, teraz spodziewaj się gości wyższego rzędu — orzekł Fomicz z głęboką rozważą.

Goście zwalili się popołudniu, następnego dnia. Jeden zupełnie młody, z ostro zarysowanym nosem, ubrany całkiem po prostu — w półkożuszek z garbowanej skóry, obuty w pilśniowe półcholewki i kalosze. Ten drugi miał na sobie granatowe palto z kołnierzem z siwego karakułu i takąż karakułową, pysznie sterzącą czapkę. Poważny, dość otyły, o białej, łagodnej twarzy, a i spoglądał w sposób budzący szacunek. Weszli, uprzejmie pozdrowili, zdjęli czapki, odkurzyli nogi na progu i dopiero potem zbliżyli się do stołu.

— Wyście napisali skargę? — zapytał Fomicz ten, który wyglądał na ważniejszego.

— Nie wiem. — Fomicz udał, że nie wie o co chodzi.

— A tak, to rozumiałe! — uśmiechnął się ten z ostrym nosem. — Fiedorze Iwanowiczu, proszę pokazać mu papiery.

Solidny na wygląd wyjął z bocznej kieszeni kopertę z papierami i wręczył je Fomiczowi. Żywy wziął kopertę, sprawdził papiery — wszystko, co napisał, ale znowu odpowiedział wymijająco:

— Nie wiem... Wy właściwie co za jedni jesteście?

— Widzę, towarzyszu Kuźkin — roześmiał się ten z ostrym nosem — że z was szczwany lis! Tu macie nasze papiery. — Wręczył Fomiczowi swoje upoważnienie z obwodowego komitetu, to samo uczynił ten drugi, o bardziej poważnym wyglądzie.

Nie śpiesząc się, Fomicz przeczytał zaświadczenia i dopiero potem prosił siadać do stołu.

Weszły dzieciaki — cała trójka jednocześnie — z tornistrami w rękach, i, nie patrząc, kto co i gdzie, od razu w krzyk na samym progu:

— Mamuśka, jeść!

— Możebyście zaczekały, niesamowite?! Ledwie do izby weszły... Jak te gawrony... To nie widzicie, że ludzie siedzą za stołem?...

— Ależ co znowu! Dajcie im obiad! — młody szybko poderwał się zza stołu. — Posiedzimy, poczekamy...

Fomicz przyniósł z komórki ławę i ofiarował ją gościom z obwodowego komitetu.

Awdotia wlała do miski chudą zupkę na hreczanej kaszy i postawiła aluminiowy talerz z drobnymi jak groch kartoflami. Dzieciaki bez żadnej krępacji przyjrzały się obcym i dopiero potem szły do stołu. Jadły w milczeniu, zgodnie i szybko, jak gdyby na wyścigi. Zamiast chleba jadły ziemniaki, posypując solą i wrzucając do gęby. Opróżniły aluminiowy talerz, wychłptały zupę z miski i włożyły na piec.

— Dlaczego — zwrócił się ten poważniejszy do Awdotii — nie dacie im drugiego dania?

— Było i pierwsze i drugie — odpowiedział Fomicz. — W misce, znaczy się, było pierwsze danie, a na luminium talerzu drugie.

Starszy spojrzął znacząco na młodego, a ten niedostrzegalnie mrugnął do Fomicza i powiedział z uśmiechem:

— Pokażcie nam, jakie macie zasoby. — Zwrócił się do starszego: — Chyba zaczniemy od loszku, Fiedorze Iwanowiczu.

— Naturalnie... Trza by sprawdzić. — Poważny wstał i zaczął rozpinać palto.

Fomicz wziął ciężkie okrycie i położył na łóżku.

— Może by lepiej powiesić — powiedział starszy gość, z pewną obawą oglądając łóżko i starą, złachmanioną kołdrę.

— Na wieszaku to prawie same zdarte szantrapy... — powiedział Fomicz. — Jak chcecie, to powieszę...

Gość dojrzał na wieszaku dziurawy sweter Fomicza i równie potargany przyodziewek dzieciaków, i natychmiast zreflektował się.

— No, nie... niech już tak będzie. Ja przecież nic takiego nie pomyślałem.

Młodszy poklepywał przyjaźnie gospodynię po ramieniu, rozciągając na całą szerokość ruchliwe, ironiczne usta.

— Nic takiego, nic takiego... Wszystko się ułoży. — Półkożuszek rzucił obok palta na wyrko. — To chodźmy do loszku! — Podniósł klapę w podłodze i pierwszy zeskokczył na dół. — Nie ma to czego, żeby poświecić?!

Fomicz podał mu zapaloną lampę.

— No, co, Fiedorze Iwanowiczu, zejdzicie? — zapytywał tamten z loszku.

— Już schodzę... — Fiedor Iwanowicz miał na sobie przyzwoity czarny garnitur i buciki. Oparł się ostrożnie o deski podłogi. — Ależ tu głęboko!

— Zara wam zydelek postawię... — Fomicz podał mu stołek. Fiedor Iwanowicz zeszedł do loszku i razem z młodym obejrział niewielki kopczyk drobnych ziemniaków.

— Co to u was — zapytał — użytkowe ziemniaki?

— Cały zapas — odpowiedział Fomicz.

Tamci wyleźli w milczeniu.

— Spizarnię macie?

— Nie ma.

— Spichlerz?

— Nie ma.

— No, powiedzmy, piwnica, czy jak się tam nazywa?...

— Nic nie ma.

— Jakże to? — Fiedor Iwanowicz wskazał ręką na podłogę. — To cały zapas waszej żywności?

— Jest jeszcze beczułka z kapustą, w sieni stoi.

Wyszli do sieni.

— Przynieście drabinę, żeby na strych...

Fomicz przyniósł drabinę z podwórka. Fiedor Iwanowicz osobiście wylał na strych. Zszedł wywalany pyłem.

— To jakże wy żyjecie? — pytał w zakłopotaniu.

— A ot, żyjemy — odpowiedział Fomicz.

— Przecież mówiłem wam — odezwał się młody — typowe wypaczenie. Motiakowszczyzna!

Twarz Fiedora Iwanowicza jakoś poszarzała i jak gdyby wydłużyła się. Nie powiedział ani słowa, wrócił do izby, włożył palto i, patrząc sobie pod nogi, pożegnał się z gospodynią.

Koło domu brygadiera stał mały samochodzik.

— Siadajcie! — Fiedor Iwanowicz puścił Fomicza na tylne siedzenie obok młodego i kazał szoferowi: — Zatrąb!

Na dany sygnał z domu wybiegł Paszka Woronin, Fiedor Iwanowicz skinął dłonią:

— Siadajcie...

Paszka wpełznął się na tylne siedzenie, przycisnął do Fomicza. Pojechali, skręcili na drogę prowadzącą do Swistunowa, zatrzymali się koło zarządu.

— Jazda! — Fiedor Iwanowicz poszedł na przodzie.

Guzionkowa nie było. Łysy Korniejcz wysunął się z buchalteryjnego pokoju i powiedział usłużnie:

— Proszę siadać! Skoczę po Guzionkowa... W te dyrdy wróć.

— Nie potrzeba! — powstrzymał go Fiedor Iwanowicz. — Wy co tu robicie?

— Za księgowego.

— To świetnie! Kuźkina znacie?

— Tak jest! — odpowiedział Korniejcz po wojskowemu.

— Jutro Kuźkinowi dać konia. Ma jechać do rejonowego komitetu.

Korniejcz poruszał wąsami i ze zdumieniem spojrzął na przyjezdnego naczelnika i na stojącego za nim Paszkę Woronina. Nareszcie odparł ostrożnie:

— Rozumie się, ja powtórzę Michałowi Michajłowiczowi. Tylko że to jest nicpoto, próżniak. — I dodał pośpiesznie: — Znaczą się, zarząd go do nicponiów zaliczył.

— A to co takiego? — Fiedor Iwanowicz pokazał zaświadczenie. — Kto wydał? Nie zarząd?

Korniejcz spojrzął i ryknął:

— Tak jest! Ja sam wydałem. Tylko pozwólcie, towarzyszu naczelniku, zauważyć, on te zaświadczenie wyłudził oszustwem.

— Jak to wyłudził?

— Prosił, że to dla biura funduszu...

— Nie ważne, dla kogo. Prawda, że tyle dniówek wyrobił?

— To już tak, to prawidłowo! — Korniejcz w dalszym ciągu stał na baczność, a jego ciężkie pięści o grubych sinych żyłach sięgały prawie aż do kolan.

— A więc tak, zaraz jutro dać Kuźkinowi konia. Przyjeżdżajcie do rejonowego komitetu — zwrócił się do Fomicza — na dziesiątą godzinę.

— Towarzyszu naczelniku — powiedział Fomicz — to ja już lepiej pójdę na piechty.

— Dlaczego?

— Bojam się, że zamarznę w drodze. Mróz ano siarczysty. A mój przyodziewek jakby z koronek — z przodu dmuchnie, od tyłu wyleci...

— Dobrze — powiedział Fiedor Iwanowicz. — Wydać mu kozuch razem z podwodą.

— Zrobi się! — ryknął Korniejcz.

— A wy — Fiedor Iwanowicz zwrócił się do Paszki Woronina — dziś jeszcze oddajcie Kuźkinowi jego rower. Gdzieście go zdeponowali?

— W wiejskiej radzie.

— No, więc tak — nie żegnając się, Fiedor Iwanowicz wyszedł z zarządu.

Fomicz wybiegł za nim.

— Siadajcie! — powiedział do niego Fiedor Iwanowicz. — Podwieziemy was do domu. I pamiętajcie, żebyście przyjechali jutro na czas. I koniecznie zaprzęgiem.

Późnym wieczorem Paszka Woronin przyprowadził rower, postawił go na ganku i zapukał do okna. Kiedy Fomicz wyszedł, po Paszce już i ślad zaginął.

IX

Mimo wszystko Fomicz nie wziął konia — zbyt już kłopotliwe: trza by iść do Swistunowa, włączyć na oczy w zarządzie, potem odstawić tamże i znowu odwalić pięć wiorst z powrotem. Jaki z tego zysk? Ot, żeby szkapa stała przy chałupie, a przynajmniej w Prudkach! Biegać do Swistunowa i nazad — zarówno tyleż będzie w jedną stronę do Tichanowa. Bez kozucha jechać nijak nie można — zamarznie. A z kozuchem jeszcze więcej kłopotu: do rejonowego komitetu go nie zaniesiesz, a znowu strach zostawić na saniach. A nuż kto ukradnie! Wtedy to już nigdy się nie wypłacisz.

Rankiem po mrozie Fomicz drobił lekką rysią, prawie bez odpoczynku do Tichanowa — mróz popędzał skuteczniej od bata.

„Dziwaczne u nas życie się zaczęło — rozmyślał Fomicz po drodze. — Na całe Prudki zostawili trzy konie — jeden dla Paszki Woronina, dwa, żeby wodę na fermę dowoziły. A chłopcy i baby niech się tam bronią jak potrafią. Ani autobusów, ani samochodów. Masz mus do szpitala — idź najpierw do zarządu w Swistunowie, proś o konia, a jeżeli dadzą, to pojedziesz. A gdzie indziej, czy to na stację, na targ czy do rejonu, szkoda gadać! Guzionkow ma samochód, Paszka konia i motocykl, a u kołchoźnika — jeno gicoły. W dawnych czasach własny samochód na czterech kopytach stał na podwórku — zaprzęgaj i jedź, dokąd zapragniesz. Czy w interesie, czy z wizytą. Albo zwyczajnie po wypitce przejechać się, na ten przykład, po całej wsi, bardzo pięknie wypadało. Znowu dzieciakom pobawić się ze szkapa — jedno zadowolenie. Albo w noc na pastwisko, czy do lasu. Pycha! A tera konie, jak te włóczęgi, po całych dniach na łąkach bez żadnego zatrudnienia. A toż dawnymi czasy w zimową porę tylko ostatni łapserdak chadzał do Tichanowa na piechty. Ot, taki konokrad jak Ziuzia. A i ten, jak mu poszczęściło, też, zdarzało się, zaiwaniał na cudzym...”

W rejonowym komitecie Żywego przyjęła Warwara Cypłakowa, zawiadująca inwalidzkim funduszem.

— Proszę do mnie, Fiedorze Fomiczu — powiedziała uprzejmie i popłynęła przodem, wypełniając sobą prawie całą szerokość korytarza.

Godzina była wczesna, w komitecie pusto. Fomicza zadzi-

wiło zarówno jej uprzejme zachowanie się jak i nieoczekiwane zaproszenie. Zazwyczaj, gdy emeryci zbierali się w biurze i zbyt hałaśliwie przepychali się koło okienka kasy, Cypłakowa z sąsiedniego pokoju grzmiącym głosem krzyczała do kasjera:

— Jegor, ucisz swoich podopiecznych! A jak nie, to was wszystkich wypędzę na mróz...

A teraz sama otwiera drzwi przed Fomiczem — urząd był obok komitetu — i przepuszcza go przed sobą.

— Proszę, bardzo proszę, Fiedorze Fomiczu!

Było zaledwie koło pół do dziesiątej, Fomicz nie śpieszył się. Usiadł wygodnie na ceratowej kanapie. „Już jak ty mi — pomyślał — niesłychaną uprzejmość okazujesz, to ja ciebie także ugoszczę”. Wyciągnął kapciuch, skreślił kozią nóżkę grubości kciuka i zaczął kopcić w stronę władzy dymem mocnego tytoniu.

— Ja przecież, towarzyszu Kuźkin, już dawno chciałam z wami porozmawiać... Kcha, kcha! A ty nigdy nie zaglądasz. Na drodze złapać ciebie niesposób... Kcha, kcha!... A cóż to u ciebie za tiutiun? Aż łyzy wyciska.

— A ty byś, Warwara Pietrowna, zażyła swojej tabaki — powiedział Fomicz, sypiąc do niej oko. — Zara ci przejdzie. Klin klinem się wybija. U ciebie pewnikiem mocniejsza od mojego.

Warwara Pietrowna zażywała tabaki. Ale tę słabość usiłowała ukrywać przed interesantami.

— Ach, nie, ja tylko tak... od czasu do czasu się zabawiam. No, niech już będzie! Dla towarzystwa ostatecznie zażyję... — Uśmiechając się z zażenowaniem, Warwara Pietrowna wyjęła z szuflady stołu dużą okrągłą puderniczkę, z czarnym łąbędziem na pokrywce, wysypała z niej na duży palec szczyptę tabaki i wepchnęła najpierw do jednego nozdrza, potem do drugiego. Później jakoś cichutko i cienko zapiszczała, zakryła oczy dłonią, coraz bardziej wysuwając dolną wargę i spazmatycznie łykając powietrze, aż wreszcie jak zagrzmi! Fomicz wdrygnął się, zakrtusił dymem i także zachłysnął się kaszlem.

— Aa-apsik! Apsik! Chi-chi-i! O, rety, laboga! — Warwara Pietrowna uśmiechała się i wycierała łyzy, cała zaczerwieniona, niczym poranne słońeczko.

— Kcha, kcha, kchi-i-i! A żeby to diabli — zaklął Fomicz, smarząc i wycierając łyzy za przykładem Warwary Pietrowny.

— Aleście mnie do grzechu przywieśli, Fiedorze Fomiczu! — Warwara Pietrowna schowała wreszcie puderniczkę z łąbędziem i od razu przystąpiła do rzeczy: — Po prostu zhardziałeś ostatnio, towarzyszu Kuźkin! Przecież jesteś w potrzebie?

— Jakby to powiedzieć — wykrętnie odpowiedział Fomicz — z jakiegoż to względu niby...

— Właśnie o to chodzi. Nie ma tego, żeby do mnie przyjść, pomówić, oświadczenie napisać... Wypada tak, że sama wszystko muszę za was robić. A przecież ja jedna, a was, emerytów, nie zliczyć.

— My sobie na ciebie nie szkodujemy — na wszelki wypadek wtrącił Fomicz.

— Ano, tak to i jest. Powiedziano — stukajcie, a będzie wam otworzone. A was trzeba pyszczkiem przystawiać do drzwi, niby kocięta. Sami się za nic nie zbliżycie. No, już dobrze... Co tam filować! — Warwara Pietrowna otworzyła szarą teczkę, wyjęła z wierzchu pieniądze i podała Żywemu. — Tu masz pięćset rubli. Bierz! Jednorazowy zasiłek. I tu w wykazie podpisz się.

Fomicz wziął pieniądze i zaczął powoli liczyć. W międzyczasie błyskawicznie wysłał swoje myśli: „Żebym tylko za tanio się nie sprzedał! Jeżeli ona już te pieniądze wstawiła do wykazu, to one ode mnie nigdzie nie uciekną. Pytanie, czy brać teraz. Ja jej przecież o nic nie prosiłem. Znaczą się, zwierzchność przycisnęła... Nie zdążyli jeszcze mojej sprawy rozpatrzyć, a już pieniądze wziąłem. Znaczą się, wszyscy pomyślą, że ja z powodu pieniędzy piwa nawarzyłem. E, nie! Na to nie pójdę...”

Fomicz starannie złożył banknoty, uderzył dłonią po paczce:

— Zgadza się... Pięćset rubli. — I położył je z powrotem na stole.

— To dla ciebie... Zasiłek, jak mówiłam. Bierz i podpisuj.

— Uśmiechnięta Warwara Pietrowna wyciągała wykaz.

— Jakże mi je brać? Nie pisałem, nie starałem się... A tu ni stąd ni zowąd! Bierz pieniądze! Jaki pieniądze? Skąd?

— Przecież ci mówię — pomoc... zasiłek!

— Nad sprawą zasiłku trza zastanowić się, rozważyć. Ot jeśli na posiedzeniu rejonowego komitetu przysądzą, to będzie insza sprawa. — Fomicz skierował się ku wyjściu, w progu obrócił się i powiedział: — A za wasz frasunek, Warwaro Pietrowno, pięknie dziękujemy!

Stropiona Warwara Pietrowna tyle, że w zdumieniu zamruła powiekami.

W rejonowym Komitecie, w pokoju dyżurnego już zgromadził się tłumek. Kilku przewodniczących kołchozów, między nimi Guzionkow, otoczyło wczorajszego gościa Fomicza — tego w czarnym kożuszku, z ostrym nosem.

— Towarzyszu Kryłyszkin, a czy do naszego regionu będą kierować techników z ostatnich kontyngentów? — pytano młodego.

— Biuro jeszcze się nie zebrało. Ale tak myślę, że będą.

— Do których kołchozów?

— Kogo, towarzyszu Kryłyszkin?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— A wy sami do kołchozu nie zamierzacie?

— Nie zamierować trzeba, tylko zdecydować się.

— Patrzcie go! Jak to się nosi! Chy-chy!

— Towarzyszu Kryłyszkin, a wybyście tak do mnie! Nam zootechnik potrzebny na gwałt.

— Mądrała! Toż on na twoim miejscu usiadzie... Wypchnie!

— To się posunę... Na jednym krześle zmieścimy się.

— Z tobą by się kto zmieścił! Zadek masz szerszy od krzesła!

Cha, cha, cha!

— Idzie Fiedor Iwanowicz! — krzyknął zza stołu dyżurny. Hałaśliwe koło przewodniczących natychmiast rozbiło się i uciechło.

Fiedor Iwanowicz wchodził ciężko po schodach. Czapkę trzymał w rękach i dopiero teraz Żywy zauważył, że przez rzadkie, wylizane włosy przeświecała wielka różowa łysina. Obok niego szedł Demin, a z tyłu mocno wybijał kroki Motiakow, zawsze w swoim wojskowym frenczu i w wysokich butach. Miał wyraz twarzy dowódcy warty, kiedy obchodzi posterunki: każdy, kto by mu się przyjrzał w tej chwili, pojąłby, że ci hałaśliwi przewodniczący uciszyli się na widok jego, Motiakowa, a nie jakiegoś tam Fiedora Iwanowicza.

— Dzień dobry, Fiedorze Iwanowiczu! — słyszało się ze wszystkich stron.

— Dzień dobry, towarzysze, dzień dobry! — odpowiadał wszystkim grzecznie Fiedor Iwanowicz. A zawsze z uśmiechem.

Patrząc na niego, wszyscy dokoła także uśmiechali się i Fomicz, nie zdając sobie sprawy czemu, również miał uśmiech na ustach.

— Jak się macie, towarzyszu Kużkin! — Fiedor Iwanowicz wyciągnął dłoń i Fomicz bez żadnej bojaźni ucisnął jego miękką, ciepłą rękę.

— Saniami przyjechaliście? — zapytał Fiedor Iwanowicz.

— Melduję posłusznie, że nie! — odpowiedział Żywy, stając na baczność, jak wczoraj Korniejcz.

— Dlaczego? Nie dali? — Fiedor Iwanowicz surowo popatrzył na Guzionkova.

— Zimno, Fiedorze Iwanowiczu — odpowiedział Fomicz, po raz pierwszy nazywając swego wczorajszego gościa po imieniu.

— No, a kożuch?

— Żadnym sposobem kożucha do komitetu nie wniesiesz. A zostawić w saniach — podkaraulą. Wtedy Guzionkow złupiłby ze mnie skórę po raz trzeci. Pierwsze dwie skóry już Motiakow złupił.

Fiedor Iwanowicz roześmiał się, wszyscy zgodnie zawtórowali.

— Widzisz, Motiakow — śmiejąc się, mówił Fiedor Iwanowicz — pokazali ci gdzie raki zimują... A tyś przypadkiem nie uszył swoich butów ze skóry Kuźkina?

— Jego skóra nawet na chodaki nie nadaje się — posepnie siląc się na żart, powiedział Motiakow, a sam tak popatrzył na Żywego, jakby mu zapowiadał: „Poczekaj no, bratku, ja ci pokażę takie zimujące raki, że krwawymi łzami zapłaczesz”.

Fiedor Iwanowicz wskazał na Fomicza i rzeczowym tonem rozkazał Deminowi:

— Najpierw tego załatwimy.

— Proszę wejść, towarzyszu Kuźkin!

Demin wprowadził Fomicza do swego gabinetu.

Ludzi weszło mnóstwo, wszyscy zasiedli pod ścianami. „Jakby się w szeregu ustawili” — pomyślał Żywy. Kazano mu zastrzymać się przed długim stołem, przykrytym zielonym suknem. Na przeciwległym końcu, na sekretarskim fotelu usiadł Fiedor Iwanowicz, obok niego Demin. Motiakow przycupnął tym razem na boczku; Fomicz spoglądał na niego prawie wyzywająco.

— No, więc, Guzionkow, referujcie, co tam u was z Kuźkinem — powiedział Fiedor Iwanowicz.

Michał Michajłowicz odkaszlnął hałaśliwie i, stojąc, nie ruszając się z miejsca, powiedział:

— Wykluczylismy go w charakterze obcego elementa... Przez to, że nie pracował.

— Jakto nie pracował? — zapytał Fiedor Iwanowicz. — A te osiemset czterdzieści dniówek za co mu zaliczono?

— On u nas na strącanej robocie był — odpowiedział Guzionkow.

— Co wy tam, w kołchozie w kręgle grywacie? — podniósł głos Fiedor Iwanowicz. — Cóż to znowu za strącana robota?!

— Niby w rodzaju ekspedytora... Gdzie o worki się wystarać, budulec wyładować... Albo-li znowu uprzęż, czy zapasowe części kupić — zawile odpowiadał Guzionkow. — Za to właśnie dniówki pisali. Za dużo zapisali... Nie dopatrzyłem.

— A cóż to — źle pracował? — zapytał Fiedor Iwanowicz. — Nie umiał dostaw zmobilizować?

— Na konto tego, żeby mobilizować, to on owszem, obrotny...

— Ta-ak! A wam o co chodziło, Kuźkin? — Fiedor Iwanowicz patrzył na Fomicza.

— Ponieważ nie zabezpieczyli mojej rodziny odżywianiem w kołchozie, prosiłem o paszport. Żeby poniekąd na boku się urządzić. To jest, pracować za pieniądze.

— Zrozumiałe. A co wy na to? — zapytał Fiedor Iwanowicz Guzionkowa.

— Odmówiliśmy... ponieważ nie wolno. A za to, że nie wyszedł na robotę, wykluczylismy z kołchozu.

— Potrzebny wam jest w kołchozie, czy nie?

— Jeżeli nie pracuje, po co nam taki darmożjad?

— Ależ z was przewodniczący! Takiego człowieka wyrzucać... Sami powiadacie, że o wszystko starał się dla kołchozu. I widać, że uczciwy. Inny połowę obrotu wsadziłby do własnej kieszeni. I żyłby sobie — z królem w kumoterstwie, za panbrat z ministrem. Przecież pieniędzmi obracał! A u niego chałupka, jak u Baby-Jagi, co mieszka na bagnisku — byle świnia ryjem rozrzuci. Dzieci bose i gołe. Jeść nie ma co. Kołchoz pomógł mu w czymkolwiek? Ty sam kiedykolwiek byłeś u niego w domu?

Guzionkow gęsto poczerwieniał i wreszcie zdołał wydusić:

— Nie byłem.

— Widzicie go jaki wielmożny hrabia! Pewnie czasu nie było? Czy też lękasz się, żeby autorytetu przewodniczącego nie uronić? To ja z obwodowej centrali, a znalazłem czas — odwiedziłem go. A ty nie mogłeś... Jakże taką rzecz rozumieć?

Szeroka twarz Guzionkowa stała w ogniu. On sam zachowywał przygnębiające milczenie.

— Ileż otrzymujesz — zapytał Fiedor Iwanowicz — z racji, żeś inwalida?

— Sto dwadzieścia rubli.

— Rzeczywiście — trudno wzbogacić się.

— Fundusz chciał mu dać zasiłek... pięćset rubli, to odmówił — oświadczył z grymasem Motiakow. — Za mało, widać!

— Jak to odmówił? — zapytał Fiedor Iwanowicz. — Dlaczego?

— Taka pomoc potrzebna tylko tym inwalidom, co na czworakach łążą. A ja ręce i nogi posiadam. Mnie o robotę się rozchodzi, żeby zarobek mieć... A ponadto — Fomicz zwrócił się w stronę Motiakowa — dziwnym sposobem zasiłki wydajecie. Na dwadzieścia minut przed zebraniem zwabiają mnie do biura i podsuwają pieniądze. Masz, bierz, zamknij się! Cóż to, żebrakiem jestem, czy jak?

— To takie sprawy! — przeciągle, z uśmiechem powiedział Fiedor Iwanowicz. — Z was, Motiakow, widzę, operatywny działacz! Więc tak! — stuknął ołówkiem w stół. — Tu żadne wybiegi nie pomogą... Nie potrafiliście utrzymać Kuźkina w kołchozie... Zwolnić! A wam, Guzionkow, i wam, Motiakow, udzielimy nagany. Żeby się wam na przyszłość odechciało marnotrawić kołchoźnicze kadry. A co do Kuźkina, sami decydujcie, jak go urządzić.

— Damy mu paszport — powiedział Demin — niech jedzie do miasta.

— Jechać nie mogę — odpowiedział Fomicz.

— Dlaczego?

— Z powodu braku entuzjazmu w pracy.

— A cóż to znowu — zapytał Fiedor Iwanowicz — za jakaś prudkowska ekonomia polityczna?

— To nie żadna ekonomia, jeno najczarniejsza tęsknica. Mam pięcioro dzieciaków, a oprócz tego jeszcze jeden w wojsku. A te moje bogactwa toście sami oglądali. Zapytujemy, czy jestem w stanie dać sobie rady z tylą hałastrą?

— Nastrugał tych dzieciaków prawie diabelski tuzin — wyburczał Motiakow.

— Pan Bóg stworzył człowieka, ale rogów na heblu nie osadził. No, to i strugam — żywo odpowiedział Fomicz.

Fiedor Iwanowicz wybuchnął głośnym śmiechem, za nim cała reszta.

— Pieprzny z ciebie chłop! Ty byś się nadał na ordynansa u starego generała... Kawały byś opowiadał.

— A toż u nas w Prudkach mieszka jeden pułkownik w stanie spoczynku... Ale wygląda na to, że ciągle zajęty... Guzionkow u niego siedzi i w dzień i w nocy.

I znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Dobra, starczy już! — powiedział Fiedor Iwanowicz, wyjmując chustkę i ocierając twarz. — Decydujcie, proszę! I to szybko!

— Może go — zapytał Motiakow Demina — zrobimy stróżem na punkcie hydraulicznym?

— Tam już pracuje Jelkin, z Briechowa... — odezwał się ktoś.

— Jelkina uprzętać wypadnie — pośepnie powiedział Motiakow. — Krewni w Ameryce się objawili.

— Jacy tam znowu krewni? — zapytał Demin.

— Syn... Wyszło na jaw — w Ameryce. A Jelkin już nawet stypę po nim odprawił.

— W takiej sprawie — powiedział Demin — nie należy się śpieszyć.

— Wezmę go do siebie — podniósł się chudy i niezdarly Zwonariew, przezywany Pietią Długim, przewodniczący sąsiadującego z Prudkami kołchozu, już po tamtej stronie rzeki. — Akurat potrzebuję chłopca do lasu, przygotowanego drewna i budulca pilnować. Zapłata w gotówce i zbożem.

— Pójdziecie? — zapytał Żywego Fiedor Iwanowicz.

— Pójdę... Żeby tylko Guzionkow dał mi zwolnienie, za świadczenie wypisał. I żeby paszport wydali.

— Zaczekaj. Jak posiedzenie się skończy, zrobimy — powiedział Guzionkow.

Posiedzenie przeciągnęło się do samego wieczora. Kiedy wreszcie Fomicz przyszedł z tak długo oczekiwanym zwolnieniem, Awdotia spotkała go w sieni z rozjaśnioną twarzą.

— Pójdź no, Fiedia, pójdź do izby!

Przy oślepiająco jaskrawym, jak się wydało Fomiczowi, elektrycznym świetle, leżały pokotem trzy worki z mąką i trzy worki z ziemniakami, a na tych workach dwa duże zawiniątka. Fomicz dotknął worków i po omacku stwierdził, że mąka była sucha a ziemniaki dorodne. Rozwiązał zawiniątka i po gospodarsku, starannie obejrzał: trzy swetry dla dzieci, trzy szare bluzy szkolne, trzy pary butów z gumowymi podeszwami i trzy nowiutkie szkolne kaszkiety.

— A z tego to już żaden pożytek! — wziął do ręki kaszkiety. — Z wiosną to już by się można bez nich obejść. Lepiej by już było żeby ciepłe czapki dostarczyli.

(Dokończenie nastąpi)

B. MOŻAJEW

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Archiwum polityczne

Ustrój - Geopolityka - Niepodległość

Po klęsce w roku 1863 pojawił się pozytywizm z programem pracy organicznej. Idealistów zastąpili realisci normalnym rze- czy porządkiem.

Po klęsce powstania warszawskiego Wokulscy nie pojawili się na scenie. Królował „bohater pozytywny” produkcyjniaków, na którego grobie w roku 1956 wyrosła „mowa-trawa”. Antytezą patosu powstania nie stał się pozytywizm tylko surrealizm, gro- teska i anty-bohater. Ową urzekającą atmosferę odmalował do- skonale Flemming. Na tym tle poważni młodzieńcy Kuroń i Mo- dzelewski wyglądają jak emisariusze zabłąkani z innej epoki. W jakiej mierze są reprezentatywni — czy mówią za tysiące czy tylko za setki współobywateli?

Piankowość, dowcip, poczucie groteski i wdzięk warszawskiej atmosfery nie opisują w całości „Polski mała znanej”. Trzeba jeszcze odnotować inny surrealizm i inny typ „groteski”. Krajowi fizjologowie-dietetyści ustalili cztery normy spożycia. Norma „A”, najniższa, określona jako niewystarczająca na dłuższy okres cza- su przewiduje 3.000 gr mięsa miesięcznie na osobę. (Dodam w nawiasach, że mój jamnik spożywa pół angielskiego funta mięsa codziennie tzn. około 7.000 gr. mięsa miesięcznie). Jak ustaliły badania budżetów rodzinnych, przeprowadzone przez GUZ — 20% rodzin robotniczych nie osiąga normy spożycia „A” (3.000 gr. mięsa miesięcznie na osobę). W granicach normy „A” utrzymuje się 30% rodzin robotniczych.

W roku 1957 w Warszawskiej Fabryce Motocykli 23% rodzin robotniczych jadło mięso na obiad raz w tygodniu lub rzadziej. Dane powyższe są nadal niestety aktualne, ponieważ spożycie mięsa i przetworów mięsnych w roku 1957 wynosiło w skali kra- jowej 43,9 kg. na osobę — natomiast w roku 1960 tylko 42,5 kg. na osobę. Poziom spożycia mięsa wśród uboższych rodzin robo- tniczych jest nadal katastrofalnie niski.

W chwili gdy piszę te słowa ogłoszono prowizoryczne dane

cenzusu przemysłowego Polski. W 160,000 zakładach przemysło- wych pracuje 13,5 milionów osób. 42,5 procent wszystkich za- trudnionych pracuje w przemyśle. Robotnicy przemysłowi pro- dukują 65% dochodu narodowego. I co z tego mają?

Pracownicy przemysłowi stanowią niemal połowę ludności i trudno jest pojąć, że tak potężna i liczna klasa społeczna pozwo- liła się całkowicie ubezwłasnowolnić. Ponura groteskowość sy- tuacji polega na tym, że wyzysk robotników i jawne okradanie ich z owoców pracy — odbywa się w imię... socjalizmu.

Komuniści jako organizatorzy życia społecznego i gospodar- czego są często naiwni i niewydajni. Trzeba im jednak obiektyw- nie przyznać geniusz dezorganizacyjny. Potrafiliby zatimizować i zdeorganizować masy robotnicze w stopniu nie notowanym w przeszłości. Ich negatywne osiągnięcia są zdumiewające. Zdo- łali ubezpieczyć się utrwalając w masach przekonanie, że próby oporu byłyby bez sensu, ponieważ nie ma alternatywy. Z ko- munistami jest źle lecz bez komunistów groziłaby natychmiasto- wa katastrofa. Owo unicestwienie alternatywy stanowi ich naj- większe osiągnięcie. Chciałbym podkreślić ten punkt ponieważ ta sprawa stanowi klucz do tajemnicy sukcesu dyktatury „nowej klasy”.

Panuje powszechnie przekonanie, że „nowa klasa” opiera swe panowanie na sile. To jest prawdą lecz nie całą prawdą. W okre- sie październikowym w roku 1956 — partia nie była zdolna do opanowania rewolucji siłą a mimo to nie zwyciężyli rewolucjo- niści tylko „nowa klasa”.

W momencie październikowego kryzysu — „nową klasę” ura- tował brak alternatywy. Z powszechnego wówczas frontu anty- stalinowskiego nie wyodrębniła się żadna grupa o własnym obli- czu i programie. Rewolucja nie wyłoniła partii politycznej, nie wyłoniła alternatywnej platformy.

Lewica październikowa nie odcięła się od „liberalnego” skrzyd- ła partii i wskutek tego VIII Plenum uznała za swoje własne zwycięstwo. Gomułka dążył natomiast do uspokojenia mas spo- łecznych pewnymi koncesjami i do zlikwidowania rewizjonizmu.

Angielska polityczna zasada taktyczna głosi: „jeżeli nie możesz pobić przeciwnika — połącz się z nim”. Tak postąpiło „liberalne” skrzydło partii z Gomułką na czele. Rady Robotnicze, kluby stu- denckie, „Po Prostu”, rozluźnienie cenzury — to wszystko stwa- rzało pozór, że Gomułka w pewnej mierze identyfikuje się z le- wicą październikową.

Wiosną 1957 r. na IX Plenum proklamowano już otwarcie wal- kę na „dwa fronty”. Stłumiono strajk tramwajarzy łódzkich, zamknięto „Po Prostu”, rozpędzono policją masowe demonstra- cje w Warszawie, podporządkowano Rady Robotnicze wyznaczo- nym aparatczykom i przywrócono w pełni cenzurę.

Można przyjąć, że lewica październikowa poniosłaby klęskę nawet wówczas gdyby miała wykrytaliwany program alterna- tywy. Tak jednak nie jest. Gdyby lewica październikowa zdołała wyodrębnić się jako niezależny ruch polityczny o własnym pro-

gramie — Październik byłby przegrana, lecz nie klęską. Nawet gdyby przywódcy i działacze wylądowali w więzieniach — pozostałby program jako oś krystalizacyjna opozycji. Nie byłoby wówczas triumfu „nowej klasy”, który polega nie na stłumieniu rewolty lecz na wykazaniu politycznej bezpłodności sił społecznych stojących poza ramami partii.

Rewolta nigdy nie stanowi głównego niebezpieczeństwa dla reżymu. Ci, którzy dysponują policją i pieniędzmi — demonstrantów mogą rozpuścić policją, a następnego dnia spacyfikować nastroje przyznając pewne ulgi i koncesje.

Prawdziwym zagrożeniem byłby natomiast program alternatywny — bo tylko odrębny program polityczny przemienić może strajki i demonstracje w akcję rewolucyjną. Tym różni się rewolucja od antyreżymowych demonstracji. Demonstrantów w większości wypadków można „udobruchać” przyznając pewne koncesje. Natomiast rewolucjoniści nie zadowolą się większym przydziałem mięsa czy podwyżką płac, ponieważ ich celem nie są koncesje tylko zmiana ustroju.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że najpierw trzeba obalić panowanie „nowej klasy” a dopiero później kłopotać się reformą ustroju. Najpierw trzeba odzyskać wolność a dopiero potem budować demokrację.

To są frazesy powtarzane w dobrej wierze — niemniej to są tylko frazesy. W Polsce nie było nigdy rodzimej rewolucji tylko powstania i walki o niepodległość. W rezultacie, z nawyku tradycji, Polacy myślą zawsze kategoriami nie ustrojowymi lecz niepodległościowymi. Obrona niepodległości jest istotnie programem, który niweluje wszystkie różnice społeczne i polityczne. Gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy — wszystkie stronnictwa polityczne stały solidarnie za ówczesnym rządem i za wodzem sił zbrojnych. Lecz tego schematu nie można żywcem przenosić w dziedzinę ideologii i ustroju. Ten błąd od samego początku popełniają naczelne polityczne władze emigracji, które sytuację Polski widzą wyłącznie w kategoriach niepodległościowych.

Tradycyjny program niepodległościowy nie wystarcza do rozwiązania zagadnienia polsko-rosyjskiego. Gdyby Niemcy przekroczyli zbrojnie granicę na Odrze i Nysie, program obrony zjednoczyłby 90% Polaków tak w Kraju jak i na emigracji. Zagadnienie rosyjskie jest innego rzędu i wtłaczanie go w ramy tradycyjnej polityki niepodległościowej nie prowadzi do nikąd. Polacy nienawidzą reprezentantów ustroju sowieckiego lecz w tej chwili w Polsce nie ma ani jednego ugrupowania, które byłoby programowo antyrosyjskie. Kuroń i Modzelewski są pro-rosyjscy i wszystkie swoje nadzieje wiążą z przemianami w Rosji. Polacy pomału zaczynają zdawać sobie sprawę, że ich ojczyzna nie jest wyspą na Oceanie tylko płatem otwartej płaszczyzny bez żadnych naturalnych granic. Światlejsi zaczynają również rozumieć, że w obecnej epoce geopolityka — ustrój — niepodległość stanowią *jedno zagadnienie* z którego nie można wyodrębnić poszczególnych części składowych.

Na czoło wybija się sprawa ustroju. Dlaczego? Z tej przyczyny, że niepodległość nie jest celem sama w sobie, ponieważ nie każda forma niepodległości jest pożądana. Załóżmy dla przykładu, że konflikt rosyjsko-chiński przechyla się wyraźnie na korzyść Pekinu i w Polsce Mijał i jego partia komunistyczna dochodzą do władzy. Być może Polska byłaby wówczas niepodległa zarówno w stosunku do Rosji jak i w stosunku do Niemiec. Lecz równocześnie panowałaby w kraju ustrój stalinowski. Co komu z takiej niepodległości?

W okresie pierwszej wojny światowej ruch niepodległościowy był konkretnym programem. Cytuje się przy różnych okazjach, że Piłsudski „wysiadł na przystanku niepodległość”. Natomiast jego pogrobownicy nie rozumieją, że Piłsudski nie osiągnąłby swojego celu gdyby wysiadł wcześniej. Piłsudski wiedział, że niepodległość jest tylko hasłem. Natomiast ideologia rewolucyjno-społeczna owo hasło przemienić mogła w program polityczny.

Nasi przywódcy na emigracji chcieliby wrócić na „przystanek” niepodległości zapominając, że parowóz Historii nie jest „torpedą czasu” i nie posiada biegu wstecznego.

Niepodległość jest cenną zdobyczą wówczas, gdy niepodległy jest naród a nie tylko państwo. Starłem się wykazać w poprzednich moich artykułach, że największą szansę zdobycia niepodległości państwowej w Europie wschodniej mają komuniści. Żaden rząd jugosłowiański nie byłby prawdopodobnie bardziej niepodległy w sensie państwowym niż rząd marsz. Tito. Nie wydaje mi się również by jakikolwiek inny rząd rumuński, w analogicznej sytuacji, mógł uzyskać większy stopień państwowej niezależności niż obecny rząd komunistyczny.

Hasło niepodległość w oderwaniu od programu ustrojowo-społecznego jest patriotycznym frazesem. Odnieść go bowiem można zarówno do państwa demokratycznego jak i do państwa więzienia.

Obecny ustrój w Polsce krytykowany jest powszechnie. Lecz zarówno krytyka jak i opozycja nie sumują się — ponieważ nie ma programu alternatywnego. Ów brak programu alternatywnego u rządzonych stanowi największą siłę rządzących.

Oczywiście w Polsce czy w innych krajach satelickich może dojść do przewrotu mimo braku programu alternatywnego. Lecz wówczas istnieje ryzyko, że powtórzy się Październik. Zbankrutowany przywódca partyjny i jego klika odejdą — a nowy przywódca wszystko obieca i niczego nie dotrzyma. Ludzie bez określonego programu politycznego będą skłonni uznać za swoje propozycje reform wysunięte przez nowego przywódcę partyjnego.

Gdzie leży główne niebezpieczeństwo? Główne niebezpieczeństwo polega na tym, że na skutek braku programu alternatywnego — ferment, niezadowolenie, opozycyjność społeczeństwa wygrać będzie zawsze jeden przywódca partyjny przeciwko drugiemu przywódcy partyjnemu. Nie ulega wątpliwości, że Moczarska stara się dyskontować na swoją korzyść ujemne saldo „gomułkizmu”. Podejmuje wybranych intelektualistów „obiadami czwart-

kowymi", urząda „rajdy” literatów, daje do zrozumienia, że utożyszcza się z Kościołem, bije w bęben mocarstwowo-nacjonalistyczny — jednym słowem sugeruje, że gdy on obejmie władzę będzie niepomernie lepiej niż obecnie. Ludzie, którzy sami nie mają ani władzy, ani bazy organizacyjnej, ani programu — skłonni są poprzeć każdego, który obiecuje zmianę. Ponieważ jest źle — wnioskuje się, że każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

Nie chodzi w tym wypadku o Moczar. Nie będzie Moczar — to będzie ktoś inny. Chodzi natomiast o stwierdzenie faktu, że w konsekwencji braku programu alternatywnego — potencjalny ruch reformy w Kraju jest przedmiotem rozgrywek partyjnych i w rezultacie potencjalni reformatorzy i rewolucjoniści wynoszą na swych barkach nowego z kolei przywódcę klasy rządzącej na stanowisko dyktatora.

Marksizm na Zachodzie ewoluuje lecz nie we wszystkich kierunkach. Wystarczy przestudiować „Cahiers du Communisme” (Maj-Czerwiec 1966) by się przekonać, że francuscy komuniści są zwolennikami systemu wielopartyjnego i głoszą zasadę całkowitej wolności badań naukowych i twórczości artystycznej. Fińska partia komunistyczna idzie jeszcze dalej. Komuniści fińscy odrzucili koncepcję dyktatury proletariatu stwierdzając, że „termin ten nabrał negatywnego charakteru na skutek bezprawia i pogardy dla demokracji w Związku Sowieckim i w innych krajach socjalistycznych”. („On the Marxist Theory of State and the Finnish Road to Socialism”, International Working Class Movement, Vol. IX, No. 5, 1965). Jak widzimy więc, Kuroń i Modzelewski nie są odosobnieni w stwierdzeniu, że dyktatura proletariatu jest w gruncie rzeczy dyktaturą nad proletariatem.

Francuscy i włoscy komuniści jeszcze ciągle żonglują tradycyjną formułą dyktatury proletariatu. Jednak jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że z chwilą przyjęcia pluralistycznego modelu społeczeństwa i wielopartyjnego systemu w państwie socjalistycznym — koncepcja „dyktatury proletariatu” jest logicznie nie do utrzymania.

Zachodni komuniści nie rozumieją jednak podstawowej sprawy. Nie może być mowy o renesansie myśli marksistowskiej na Zachodzie — dopóki francuska i włoska partia komunistyczna nie przeprowadzą rzetelnej krytyki europejskich ustrojów komunistycznych. „Gomułkizm” kompromituje nie tylko polski marksizm lecz i światowy ruch komunistyczny. Kuroń i Modzelewski są urodzeni, wychowani i wykształceni w ustroju komunistycznym. Żaden z włoskich czy francuskich komunistów z p. Waldeck-Rochet na czele — nie może tego o sobie powiedzieć. Komuniści zachodni powinni przeanalizować „List Otwarty do Partii” jak najdokładniej, ponieważ zakwalifikowanie tego tekstu jako „bibuły rewizjonistycznej” nie zbija ani jednego zarzutu. Nie może być mowy o renesansie marksizmu dopóki komuniści zachodni na ołtarzu fałszywie pojętej jedności „obozu socjalistycznego” — poświęcać będą prawdę.

Jak wynika z wypowiedzi Władysława Tykocińskiego, zachod-

nie partie komunistyczne przyjmują pomoc (w twardej walucie) od bratnich partii rządzących w Europie wschodniej, m.in. od PZPR. Oczywiście nie można przyjmować od Gomułki dolarów i równocześnie potępiać w czambuł „gomułkizmu”. Jeżeli istotnie tak jest, należy uznać to za złą taktykę i jeszcze gorszą politykę. Społeczeństwa zachodnie, a w szczególności klasa robotnicza nie oceniają bowiem komunizmu według deklaracji i obietnic tych komunistów, którym do władzy niezmiernie daleko — tylko mierzą komunizm „kosyginizmem” i „gomułkizmem” tzn. teorią wprowadzoną w praktykę. Nie należy oczekiwać zbawienia od marksistów zachodnich. O upadku czy odrodzeniu marksizmu zadecydują kraje wschodniej Europy. Odrodzenie musi być tak jak rewolucja — z ofiar, z więzień, z poświęceń i z odwagi. Wśród zachodnich marksistów nie brak wybitnych umysłów, lecz żaden z nich nie wywarł takiego wpływu jak Dżilas. Książek włoskich czy francuskich marksistów ludzie nie wrywają sobie z rąk tak, jak książki Kuronia i Modzelewskiego w Polsce.



Jest moim głębokim przekonaniem, że nie ma dla nas indywidualnego, czysto polskiego wyzwolenia. Totalizm, wyzysk i panowanie „nowej klasy” muszą upaść w całej Europie wschodniej z Rosją włącznie. Program alternatywny — jeżeli ma zwyciężyć — musi znaleźć poparcie inteligencji i klasy robotniczej w całym imperium sowieckim. Postulaty niepodległości, sprawiedliwości społecznej oraz racje geopolityczne tylko na tej drodze znaleźć mogą swoje rozwiązanie.

W pierwszej części niniejszego artykułu podkreśliłem, że w gruncie rzeczy niepodległość, ustrój, geopolityka — stanowią części składowe jednego zagadnienia. Komunizm nie rozwiązał *de facto* naszego problemu geopolitycznego. Z jednej strony jesteśmy uzależnieni od Moskwy — z drugiej strony mur graniczny oddzielający oba państwa i narody jest trudniejszy do przebycia niż w przeszłości. Komunizm nie tylko nie przyczynił się do wyrównania stosunków polsko-rosyjskich lecz przeciwnie, pogłębił i upowszechnił nienawiść do Rosji. A przecież znajdujemy się dosłownie w tej samej łodzi i polsko-rosyjska wspólnota losu nigdy w przeszłości nie była silniej historycznie zaakcentowana.

Komuniści — podobnie jak endecy — porozumienie polsko-rosyjskie rozpatrują wyłącznie w płaszczyźnie oficjalnej. Pakty czy konwencje zawierane pomiędzy rządami dwóch państw, których narody nienawidzą się wzajemnie — ani politycznie ani strategicznie nie przedstawiają wielkiej wartości.

Prawdziwe porozumienie polsko-rosyjskie musi narastać od dołu. Muszą znaleźć drogę porozumienia i zrozumienia społeczeństwo polskie ze społeczeństwem rosyjskim, inteligencja z inteligencją, pisarze z pisarzami, intelektualisci z intelektualistami.

Dziś, w epoce Gomułki i Kosygina, wydaje się to postulatem absurdalnym. Lecz nie zawsze tak było. Polecam czytelnikom zna-

komitą rozprawę Wacława Lednickiego pt. „Rosyjsko-Polska Entente Cordiale” ogłoszoną w X-tym Zeszytzie Historycznym. Zmienił się ludzie, lecz problem przed nami jest ten sam co na początku bieżącego stulecia. Możemy odzyskać niepodległość tylko poprzez przebudowę ustrojów Rosji i Polski — ponieważ jedynie zdemokratyzowanie i przekształcenie imperium sowieckiego umożliwić może rzetelne wyrównanie stosunków polsko-rosyjskich. W świetle doświadczeń ubiegłego półstulecia należy stwierdzić, że wszystkie inne recepty niepodległościowe są iluzją.

Chciałbym zakończyć ten artykuł wyodrębnieniem dwóch punktów.

Omawiając na łamach „Myśli Polskiej” mój artykuł pt. „ABC Polityki ‘Kultury’” p. T. P. zauważył, że wysuwanie hasła przebudowy Rosji jest „sprawą delikatną i dzisiaj zupełnie nie na czasie”.

Sprawa jest niewątpliwie delikatna — lecz czy istotnie nie jest na czasie?

Gdy przed kilku tygodniami skazano Mihajłowa na 12 miesięcy więzienia — londyński „The Guardian” napisał, że choć Jugosławia ewoluje najszybciej z wszystkich państw komunistycznych — to jednak nie nadąża za Mihajłowem, który wyprzedza swój czas.

W polityce należy rozróżnić dwie dziedziny. Instrukcje dla ministra spraw zagranicznych i ambasadorów winny być zawsze aktualne i „na czasie”. Natomiast piarstwo polityczne i publicystyka nie spełniłyby swojego zadania gdyby nie wybiegały myślą poza swój czas. Przebudowa imperium sowieckiego i porozumienie polsko-rosyjskie by stać się mogły w przyszłości problemem „na czasie” — muszą być dziś omawiane i dyskutowane.

Wojna przewencyjna przeciwko Hitlerowi była propozycją realną i miała wszelkie widoki sukcesu. Opinia publiczna Zachodu a zwłaszcza Anglii — była jednak „nie zaprogramowana”, nie przekonana i w rezultacie nie zdobyta dla tej koncepcji. Można zaryzykować pogląd, że konkretną kartę wojny przewencyjnej przegrali nie ministrowie spraw zagranicznych tylko publicyści polityczni, którzy nie przygotowali opinii do tego typu rozwiązania.

Weźmy inny przykład. Problem zjednoczenia Niemiec jest dziś całkowicie nie na czasie. Jednak prasa i agencje niemieckie nie pozwalają światu zapomnieć o tym zagadnieniu. Niemcy programują opinię Zachodu w tej sprawie stale i uporczywie. Z punktu widzenia interesów niemieckich jest to działanie mądre i celowe. Jeżeli kiedyś dojdzie do zjednoczenia obu republik — w znacznej mierze stanie się to dlatego, że Niemcy nie ustawiali ani na chwilę w propagowaniu tej koncepcji wówczas, kiedy była nie na czasie.

I punkt drugi. Problem przebudowy ustroju obcych państw nie stanowi „novum” w polityce amerykańskiej. W Japonii i w Niemczech dokonano ze znacznym sukcesem reorientacji ustrojów totalistycznych. Ową reorientację umożliwiło zwycięstwo wo-

jenne. Bez uciekania się do wojny reorientacja jest programem niewspółmiernie trudniejszym — nie oznacza to jednak, że należy z owego programu zrezygnować.

Z analizy sytuacji w Wietnamie wynika jasno, że nie wystarczy pomoc wojskowa i gospodarcza. Konieczna jest jeszcze pomoc *socjalna* — pomoc umożliwiająca unowocześnienie ustroju społecznego.

Świat nie dzieli się na demokrację i komunizm. Ani Zachód nie jest w pełni demokratyczny, ani Wschód nie jest w pełni komunistyczny. Istnieją dziesiątki odmian demokracji i kilkanaście modeli komunizmu. Świat dzieli się *de facto* na strefę rządzoną totalistycznie i na strefę rządzoną nie totalistycznie. Wszystkie inne podziały są nieistotne. Komunizm nie musi być totalistyczny. Model ustrojowy proponowany przez Kuronia i Modzelewskiego jest równie daleki od demokracji typu zachodniego jak i od totalizmu typu sowieckiego.

Koegzystencja z ustrojami totalistycznymi bez względu na ich ideologię — w praktyce oznacza tylko zawieszenie broni. Każdy naród ma prawo do ustroju jaki mu najlepiej odpowiada — żaden jednak naród nie może mieć prawa do ustroju, którego kardynalnym założeniem jest zniszczenie wszystkich innych ustrojów. Dlatego dalekofalowym celem polityki Stanów Zjednoczonych musi być reorientacja ustrojów totalistycznych.

Gdy na tych łamach mówimy o przebudowie Związku sowieckiego czy o „europeizacji Rosji” — mamy na myśli reorientację jej totalistycznego ustroju, co nie ma nic wspólnego z „myślą prometejską” dawnego stylu. Uważamy natomiast, że reorientacja ustrojów totalnych — a w szczególności Rosji sowieckiej — jest jednym z podstawowych problemów Zachodu z Ameryką na czele. Naszym zadaniem winno być dopomożenie w konkretnym opracowaniu tego zadania, które w formie pokojowej nie ma precedensu. O ile w technologii brak precedensów Amerykanów nie przeraża — o tyle w sferze politycznej przełamywanie konserwatywnego sposobu myślenia idzie bardzo wolno. Na pewno jednak nic nie jest bardziej „na czasie” jak przełamywanie owych oporów myślowych, szczególnie wśród Polaków, którzy jako naród są znacznie bardziej konserwatywni niż Amerykanie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

I

Kiedyś w starożytnym Krakowie jechałem tramwajem w towarzystwie dostojnego profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. W pewnym momencie

tramwaj stanął. Wszystkie zabiegi motorniczego nie dały rezultatów. Musieliśmy wysiąść. Wówczas, idąc Plantami z wspomnianym uczonym historykiem sztuki dokonałem zdumiewającego odkrycia. Z naszej rozmowy wynikało bezspornie, że znakomity profesor po prostu nie wie na czym polega wynalazek tramwaju elektrycznego.

Jeżeli inżynier, który zabłąkał się w intelektualne koła krakowskiej śmietanki — wyznał naiwnie, że nic nie wie o Proust'cie — był skończony. W Polsce przed wojną przez kulturę rozumiało się wyłącznie kulturę humanistyczną. Poeta, pisarz, historyk, krytyk — mógł nie znać mechanizmu dzwonka elektrycznego natomiast technolog — jeżeli chciał uchodzić za człowieka kulturalnego musiał być czytany w tzw. literaturze pięknej.

Miałem zawsze nieprzeartę słabość do motocykli, motorów i wszelkich rzeczy mechanicznych i bardzo wczesnie doszedłem do wniosku, że ów bezmiar ignorancji, który w dziedzinie technologii charakteryzuje czystych humanistów — jest nie do pogodzenia z pretensjami do prawdziwej kultury.

Jeżeli poeta czy profesor literatury w obliczu najprostszych zagadnień technicznych wykazywał naiwną bezradność dzikusa z dziewiczej puszczy — stanowiło to dodatkowy wdzięk, który czarował i rozbrajał wielbicieli. Było dobrze widziane jeżeli humanista nie umiał zmienić stopek czyli, jak w Krakowie mówiono, „korków”, gdy nagle światło zgaśło. Znałem nawet tak karykaturalnych analfabetów technicznych, którzy wzywali mechanika gdy trzeba było zmienić taśmę w maszynie do pisania.

Fundamentem powyższego układu było komiczne, choć powszechne przekonanie, że poeta, pisarz, filozof, uczony humanista — z natury rzeczy jest „wyższy ponad to wszystko”.

Ignorancja w żadnej dziedzinie nikogo nie wywyższa tylko zawsze poniża. Lecz w owych czasach żyliśmy w kręgu kultury po-szlacheckiej i patrzyliśmy na technikę jako na unowocześnione rzemiosło. Kultura i wiedza to była oczywiście humanistyka. Wielkimi byli tylko humaniści od Tarnowskiego zaczawszy a na Chrzanowskim skończywszy. Olszewski, który pierwszy skroplił tlen nie jest nawet wymieniony w Encyklopedii Popularnej PWN. Gdyby zamiast skraplać tlen napisał sążniste studium o Słowackim — figurowałby na honorowym miejscu we wszystkich encyklopediach i leksykonach.

Nie każdy w młodości musi bawić się motocyklem czy majstrować koło dzwonek elektrycznych. Lecz ów całkowity brak zainteresowania dla świata technologicznego, który przecież stanowi nasze naturalne otoczenie — u humanistów, zwłaszcza polskich, jest czymś patologicznym. Umysł prawdziwego racjonalisty jest ciekawy i dociekliwy. Współczesny oświecony człowiek w kręgu cywilizacji technicznej nie może być Alieją w Krainie Czarów. A jednak — obawiam się, że dla większości polskich poetów i pisarzy, którzy podróżują samolotami odrzutowymi — ten typ komunikacji jest równie tajemniczy jak „latające dywaniki”.

Osobiście powątpiewam w mądrość podziału kultury na humanistyczną i technologiczną. Kultura jest jedna. Jeżeli nie jest humanistyczna — nie jest w ogóle kulturą. Lecz na pewno nie jest humanistą człowiek, który wie wszystko o europejskiej literaturze dwudziestego wieku, a równocześnie nie potrafi skleić dwóch zdań o Einsteinie. Uczony tego typu jest ciasnym specjalistą a jego pretensje do humanizmu są całkowicie nieusprawiedliwione. Podstawą humanizmu nie jest specjalistyczne wykształcenie w dziedzinie

objętej mianem nauk humanistycznych tylko wykształcenie *ogólne*. To co powiedział Einstein na temat czasu-przestrzeni oraz masy i szybkości przemieniło model wszechświata a tym samym i filozoficzne podejście do tego problemu. Zadaniem filozofii jest analizowanie i komentowanie wniosków wypływających z odkryć nauk ścisłych. Filozof musi być humanistą i odwrotnie, każdy humanista musi być w pewnej mierze filozofem.

Technologia nawet w krajach średnio zaawansowanych przemysłowo, jak Polska — wywiera przemożny wpływ na człowieka, na jego psychikę i stosunek do świata i ludzi. Jednostkę ludzką można zrozumieć tylko w kontekście epoki. Jednym z głównych elementów każdej badanej epoki historycznej jest forma otoczenia, która obejmuje układ społeczny a przede wszystkim stopień rozwoju technologicznego.

Tak zwany „realizm socjalistyczny” w Polsce spalił na panewce ponieważ — po pierwsze nie było socjalizmu i po drugie nie było i nie ma zrozumienia technologii. Przeczytawszy swego czasu kilka produkcyjniaków doszedłem do wniosku, że opisywane traktory są daleko bardziej *papierowe* niż bohaterzy pozytywnej czyli ludzkiej. Sukces Hłaski w nowelach i opowiadaniach polegał na tym, że znał, rozumiał i kochał samochody. Ową galerię kierowców można było literacko odkryć tylko poprzez samochody — tylko poprzez intymną znajomość maszyn, które kształtowały psychikę, przeżycia i losy tej grupy ludzi.

Dopóki otoczeniem człowieka była nieujarzmiona przyroda — można było przyjąć pogląd, że poznanie jej nie decyduje o rozumieniu człowieka — ponieważ przyroda nie jest ludzkim dziełem. Lecz dziś, naturalnym otoczeniem człowieka Zachodu jest nie przyroda lecz cywilizacja technologiczna przez niego w całości stworzona. Należy jeszcze dodać, że owo otoczenie stworzone przez człowieka — zagraża mu potencjalnie w znacznie większej mierze niż przyroda w przyszłości.

Podjęcie próby zrozumienia współczesnego człowieka możliwe jest wyłącznie poprzez rozszyfrowanie cywilizacji, którą stworzył i którą zastąpił swoje dawne, naturalne otoczenie.

Poeta, pisarz, humanista — dla którego technologiczna cywilizacja (od gazowej zapalniczki po cybernetykę) jest dżunglą niezrozumiałych „gadzetów” — nie ma żadnej szansy poznania swych współczesnych bliźnich. Podobnie mieszczuch, który na oczy nie widział łanu żyta — kosy ani pługa — nie ma żadnej szansy zrozumienia chłopca w zapadłej wiosce odciętej od świata.

Nie ma dwóch kultur ani dwóch cywilizacji — istnieje natomiast liczna grupa pisarzy, poetów, humanistów — którzy są wyobcowani z kultury dominującej dziś w świecie Zachodu. Kto wie — czy źródłem obecnego kryzysu literatury a zwłaszcza powieści nie tutaj należy szukać.

Humanista, który jest ignorantem w odniesieniu do nauk ścisłych i technologii — nie jest człowiekiem ogólnie wykształconym i w tym sensie stanowi zaprzeczenie prawdziwej humanistycznej tradycji. Na Zachodzie, w przeciwieństwie do Polski, rodów humanistów-racjonalistów wywieść można od renesansu poprzez encyklopedystów — Wellsa, aż po Koestlera. Polska literatura posiada pisarzy o wyższej artystycznej randze niż Koestler lecz ich horyzont ogólnoludzki jest często węższy, mniej uniwersalny, mniej humanistyczny. Innymi słowy mamy pisarzy większych niż Koestler — lecz Koestlera nie mamy ani jednego. Nie mamy pisarza, który by łączył głąbo-

ką znajomość nauk ścisłych z talentem literackim i z nie-nacjonalistyczną, humanistyczną filozofią. Lecz Koestler na pewno nie wie, że polskość nie jest narodowością tylko powołaniem i dlatego łatwiej przychodzi nam produkować polskich świętych niż racjonalistów i humanistów.

II

Przeczytałem w prasie krajowej dziesiątki artykułów na temat Kongresu Kultury Polskiej, który odbył się w Warszawie w pierwszej dekadzie października br. W Polsce na polu działalności kulturalnej dokonano bardzo wiele. Lecz powyższa opinia, jeżeli nie ma być wieloznaczna, wymaga komentarza. W Polsce zdziałano wiele na polu recepcji kultury. Mam na myśli nie tylko likwidację analfabetyzmu lecz szeroko pojętą oświatę pozaszkolną. „Newsweek” omawiając wyniki badań jednego z wiedeńskich instytutów socjologicznych zauważył, że w Polsce i w innych krajach Europy wschodniej — znacznie wyższy procent ludzi dorosłych niż na Zachodzie wolny czas od pracy poświęca studiom naukowym.

Jednak odbiór kultury choćby najlepiej zorganizowany nie wyczerpuje zagadnienia. Na to by odbierać, trzeba wpierw wyprodukować. I w tym miejscu zaczyna się problem.

Za najgroźniejsze należy uznać fałszowanie rzeczywistości w naukach społecznych i w historii. Od socjologii oczekujemy rzetelnej analizy procesów społecznych. Jeżeli ze względów doktrynalnych trzeba zrezygnować z wniosków — to przynajmniej opis badanych zjawisk powinien być zgodny z prawdą. Jeden z czołowych socjologów polskich stwierdził ostatnio co następuje: „Klasa robotnicza stała się w Polsce klasą rządzącą. Jest socjalistycznym współwłaścicielem przemysłu i sprawuje rządy poprzez partię i kierowane przez nią instytucje gospodarcze, polityczne i administracyjne”.

Powyższa opinia nie wyszła spod pióra prowincjonalnego aparatczyka tylko znalazła się w pracy uczonego socjologa i profesora warszawskiego uniwersytetu. Firmuje się najwyższym autorytetem naukowym twierdzenia zgodne z doktryną, lecz jawnie fałszywe.

Inny profesor uniwersytetu warszawskiego i członek komisji programowej Kongresu Kultury w jednym z popularnych wydawnictw spokojnie stwierdza, że mord katyński jest dziełem Niemców. Jak możemy domagać się od naszych wrogów by nie fałszowali polskiej historii, jeżeli my sami ją fałszujemy? (Zwracam również uwagę Czytelników na doskonały szkic Tytusa Komarnickiego pt. „O czym i jak historykom w Kraju pisać nie wolno” — „Polemiki”, Zeszyt V).

Weźmy inny przykład. Prof. Schaff w swojej głośnej książce „Marksizm a jednostka ludzka” mówi o alienacji lecz równocześnie przemilcza jej rzeczywiste źródła. Rzeczywistym źródłem alienacji jest przede wszystkim ustroj komunistyczny w jego obecnej formie. W kraju, w którym nie istnieją niezależne związki zawodowe, w kraju, w którym każda organizacja jest *de facto* kontrolowana przez podstawową organizację partyjną — pomiędzy jednostką a totalnym państwem nie ma żadnego pośredniego ognia. Nie ma instytucji opinii społecznej, wolnej prasy, niezawisłych sądów — niczego. Tu leży źródło alienacji, która w państwie policyjno-totalnym ma charakter *strukturalny*. Wszystkie kongresowe i milenijne panoramy i widowiska nie były w stanie przesłonić faktu, że po 20 latach nie stworzono kultury

socjalistycznej, ani choćby wizji kultury socjalistycznej. Jest to tym dziwniejsze, że żyjemy w epoce kultury masowej. Partia rządząca w Polsce posiada w swych rękach wszystkie środki produkcji masowej lecz — jak słusznie zauważył prof. Żółkiewski — marksizm nie wytworzył do tej pory własnej koncepcji kultury masowej. W konsekwencji, partia musi godzić się na bardziej lub mniej oryginalne imitowanie masowej kultury zachodniej — przetykane — jeśli chodzi o radio i telewizję — wstawkami propagandowo-politycznymi.

Intelektualiści partyjni, jak Schaff czy Żółkiewski, nie rozumieją społeczeństwa w którym żyją. Nie jest rzeczą możliwą w XX wieku zrozumienie skomplikowanych i różnorodnych procesów społecznych w oparciu o „pan-ekonomizm” teorii marksistowskiej. Zgodnie z zapowiedzią proroków marksizmu — uspołecznienie środków produkcji miało zlikwidować alienację — a kultura socjalistyczna winna była powstać jako harmonijna nadbudowa uspołecznionej bazy gospodarczej. Tak się nie stało. Alienacja nie znikła — jak wyznaje prof. Schaff — a socjalistyczna kultura masowa nie powstała — jak przyznaje prof. Żółkiewski.

Kuroń i Modzelewski zauważyliby w tym miejscu, że nie ma socjalistycznej nadbudowy ponieważ baza nie jest socjalistyczna. Środki produkcji nie zostały w gruncie rzeczy uspołecznione tylko przeszły na własność „nowej klasy”, która zarządza nimi zgodnie ze swoim egoistycznym interesem. Osobiście zgadzam się z powyższą diagnozą — lecz nie wyjaśnia ona w pełni sytuacji, zwłaszcza w odniesieniu do spraw kultury.

Jest naiwnością sądzić, że wszystkie zjawiska społeczne i kulturalne są zależne od gospodarki i w całości wytłumaczalne systemem produkcji. Dla marksistów nie istnieje psychologia społeczna i wszystko w tej dziedzinie zaczyna się i kończy na Pawłowie. To samo w znacznej mierze można powiedzieć o socjologii. Według czołowego teoretyka i ideologa sowieckiego, Leonida Iljiczewa — stosunek marksizmu do socjologii jest identyczny jak stosunek nauki czystej do nauki stosowanej. Oczywiście matematyka stosowana nie może przeczyć założeniom czystej matematyki. Analogicznie, marksistowska socjologia nie może popaść w sprzeczność z założeniami teoretycznego marksizmu.

Nie jest rzeczą możliwą dopracować się modelu kultury jeżeli analiza procesów społecznych jest fałszywa. Sięgnijmy po typowy przykład. Teoretycy marksizmu głosili zgodnie, że uprzemysłowienie i urbanizacja spowodują upadek religijności. Przed wojną w Polsce mieszkańcy miast stanowili zaledwie 30% ogółu ludności. Dziś w miastach mieszka połowa narodu polskiego — dokładnie 49,2%. Niemniej, religijność nie zmalała lecz przeciwnie, wzrosła. Ów fenomen w ramach teorii marksistowskiej jest nie do wytłumaczenia. Lecz poza ramami doktrynalnego marksizmu owo zjawisko jest zrozumiałe i wytłumaczalne. Alienacja spowodowana ustrojem totalistyczno-policyjnym każe osamotnionej jednostce szukać oparcia i poczucia więzi społecznej w jednej instytucji bez podstawowej organizacji partyjnej, tzn., w kościele.

Organizatorzy Kongresu oczekiwali — jak wyraził się prof. Żółkiewski — że „stanie się on punktem zwrotnym, po którym partia będzie mogła powiedzieć, że zna trudności wobec których stoi i zaczyna im przeciwdziałać”.

Trudności wobec których stoi partia są powszechnie znane i nie trzeba zwoływać Kongresu, by się o nich dowiedzieć. W rzeczywistości sprawa jest

niezmiernie prosta. Nie ma kultury socjalistycznej bez socjalizmu. Na to by zmienić model kultury — trzeba w pierw zmienić model ustrojowy.

III

Rosja dziewiętnastowieczna poszczycić się mogła jedną z czołowych literatur świata. Do dziś, przeciętny człowiek na Zachodzie jeżeli mówi o literaturze rosyjskiej ma na myśli literaturę XIX wieku.

Dwudziesty wiek przyniósł powódź książek rosyjskich, lecz nie wszystkie są literaturą. Eksport książek sowieckich wzrósł z 27 milionów tomów w r. 1958 do 40 milionów w roku 1961. Owe 40 milionów obejmuje 1068 tytułów w 34 językach. Bardzo wiele książek Sowiety produkują zagranicą. Specjaliści amerykańscy oceniają, że Rosja sowiecka wydaje rocznie u siebie i zagranicą — około 150 milionów książek przeznaczonych dla tzw. wolnego świata.

Ryzykuję pogląd, że tomiki Terca i Arzaka wydane przez paryską „Kulturę” wywarły na Zachodzie niepomiernie większe wrażenie niż 150 milionów tomów wydanych pod auspicjami sowieckimi.

W Paryżu czy w Londynie dzięki telewizji wszyscy znają i podziwiają moskiewski balet i leningradzką orkiestrę symfoniczną. Lecz czy sztuką bezsłowną można zastąpić literaturę?

Gdyby komunizm europejski — a w szczególności rosyjski — dysponował wielką literaturą — nie byłoby rzeczą łatwą przeciwstawić się jego wpływowi. Nikt wówczas nie uwierzyłby, że to są kwiaty, które rosną w więziennym ogrodzie.

Demokracja nie ma monopolu na literaturę. Carska Rosja uchodziła za „więzienie narodów” a produkowała znakomitą literaturę. Dziewiętnastowieczna Rosja nie była demokracją. Rządzili nią biurokraci nie gardzący metodami policyjnymi. Jednak imperium carskie należało do cywilizacji chrześcijańskiej a samodziernawie nie było w nowoczesnym tego słowa znaczeniu ustrojem totalnym. Nie ma totalizmu bez totalnej ideologii. Szowinizm wielkorusyjski nie miał struktury doktryny komunistycznej czy faszystowskiej. Choć demokracja nie ma monopolu na literaturę, należy stwierdzić, że totalizm jest kulturalnie bezpłodny.

Dramat polega na tym, że w państwach rządzonych przez komunistów istnieje palące społeczne zapotrzebowanie na wolną literaturę — większe niż gdziekolwiek indziej.

Goethe zauważył, że „co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu”. To prawo poetycko-socjologiczne można w pewnej mierze odwrócić. „Życie w pieśni” zastępuje często życie realne. Literatura jest nie tylko motorem postępu lecz i mechanizmem kompensacyjnym. Łatwiej jest przetrwać okres niewoli gdy istnieje literatura niepodległościowa. Łatwiej jest znieść krzywdę i wyzysk gdy istnieją tacy pisarze jak Dickens, łatwiej jest pogodzić się z brakiem „szklanych domów” jeżeli „szklane domy” istnieją przynajmniej w literaturze.

Na całym świecie rośnie liczba problemów nierozwiązanych. W najidealniej ułożonym społeczeństwie notujemy rozdźwięk pomiędzy teorią a praktyką. Gdy wzrasta cyfra zagadnień nierozpoznanych i nierozwiązanych — proporcjonalnie wzrasta ów rozdźwięk, który w miarę nasilenia przekształca się w kryzys psycho-socjalny.

Literatura nie tylko „przywodzi” i „rozpoznaje” lecz przede wszystkim tworzy płaszczyznę rozwiązań, które umożliwiła nam współżyć z ludzką niedoskonałością. Istnieją dziesiątki problemów, których nigdy praktycznie nie rozwiążemy. Ponieważ jednak część tych zagadnień znalazła wyraz w literaturze — poczucie rozdźwięku i frustracji w odniesieniu do tych spraw zmalało.

Pisarze, którzy w ubiegłym stuleciu odmalowywali krzywdę społeczną — spełnili podwójną rolę. Przyczynili się do zdetonowania rewolucji socjalnej, która w XX wieku przyniosła *Welfare State* i umniejszyli „winę” dziewiętnastego stulecia. Gdyby owych pisarzy nie było — rzucilibyśmy gromy potępienia: jak to — dzieci pracowały w fabrykach i nikt przeciwko temu nie protestował?

Kompleks winy, zawodu, kompleks rozdźwięku pomiędzy tym co jest a tym co powinno być — w znacznej mierze rekompensuje literatura. Rosjanie nie wydobędą się ze zmyru stalinizmu — dopóki literatura nie rozświetli tych mroków. Epoka stalinowska musi odżyć w pieśni na to by mogła umrzeć w życiu.

Komuniści nie rozumieją społecznej i politycznej funkcji literatury. Gomułka stale powtarza, że „literatura nie powinna podniecać umysłów”. To nie literatura podnieca umysły — to *brak* literatury podnieca umysły.

Polska Ludowa nie wyprodukowała własnej elity kulturalnej. Ludzie należący do dawnej elity kulturalnej są na wymarcu.

W państwie komunistycznym nie ma miejsca na elitę intelektualną. Jej miejsce zajęła czołówka, która składa się częściowo z miernot z legitymacją partyjną — częściowo z uzdolnionych intelektualistów, którzy poddali się procesowi „upupienia” — jeśli wolno użyć gombrowiczowskiego terminu.

Postacią wzorcową dla pierwszej grupy jest Putrament — dla drugiej grupy Iwaszkiewicz.

Putrament w normalnych warunkach nie byłby nigdy posłem, ambasadorem, wice-prezesem Stowarzyszenia Literatów. Byłby natomiast sympatycznym kresowym gadułą i cenionym regionalnym wileńskim literatem. Ten sam Putrament przekształcony w „postać narodową” staje się miernotą.

Redaktor „Twórczości” z tytułu zajmowanego stanowiska należy do czołówki kulturalnej. W warunkach krajowych na tym stanowisku może się utrzymać tylko pisarz „upupiony” a więc gotowy popełnić salto na każde skinienie „białego domu”.

Iwaszkiewicz pozwalając, jako redaktor „Twórczości”, na pochwałę w tym piśmie książki Jerzego Kosińskiego pt. „Malowany ptak” tym samym zaaprobował nazwanie autora „pisarzem całą gębą”. Gdy jednak cała prasa krajowa otworzyła huraganowy ogień na Kosińskiego — sam Iwaszkiewicz w następnym numerze „Twórczości” nazwał dzieło „pisarza całą gębą” „zwyczajnym komercyjnym g....m!

Demokracja nie ma monopolu na literaturę, lecz system totalny jest niezgodny do wytworzenia prawdziwej elity kulturalnej. Niezależni albo stoją na uboczu albo siedzą w więzieniu.

Eksport towarowy przynosi waluty lecz nie promieniuje i nie zdobywa. W ostatecznym rozrachunku promieniuje i zdobywa tylko kultura. Komunizm zwyciężyłby wówczas gdyby wytwarzał kulturę jeżeli nie wyższą to przynajmniej bogatszą i bardziej atrakcyjną od kultury zachodniej.

FUNDACJA WANDY ROEHR

Pięć lat temu powstała w Stanach Zjednoczonych instytucja nosząca nazwę „Wanda Roehr Foundation”. Celem fundacji, jak głosi świeżo wydane sprawozdanie, jest wspomaganie głównie (choć nie wyłącznie) polskich intelektualistów i naukowców. Prezydentem Fundacji jest p. Wanda Roehr, znana ze swej działalności społecznej i filantropijnej, która przekazała do dyspozycji Fundacji w pierwszym okresie jej istnienia ćwierć miliona dolarów. Wice-prezydentem jest p. Ludwik Seidenman, dyrektorem p. Stanisław Strzetelski, a sekretarzem, p. Mieczysław Sierpiński.

Nieraz o powodzeniu czy klęsce danego projektu decyduje kilkadziesiąt dolarów. W roku 1963 wyłudowała w N. Jorku polska malarka, która choć zdobyła sobie pewne uznanie w zachodniej Europie — w Ameryce była całkowicie nieznana. Przywiozła z sobą 30 płócien i rysunków oraz dwadzieścia-kilka dolarów. Naszą malarką zainteresowała się jedna z galerii nowojorskich i zgodziła się przyjąć jej obrazy na wystawę jesienną, a nawet pokryć koszt druku katalogu. Okazja może jedyna w życiu — lecz wystawa miała być otwarta dopiero za 4 miesiące. Nawet malarzowi trudno jest przeżyć w Nowym Jorku 4 miesiące mając niepełne 30 dolarów przy duszy.

W takich i w podobnych sytuacjach działa „pogotowie ratunkowe” Fundacji Wandy Roehr. Malarce wynajęto pokój i wypłacono skromną sumę na utrzymanie. Wystawa jej obrazów była wielkim sukcesem.

„Wanda Roehr Foundation” w okresie ubiegłych 5-ciu lat pomogła w ten sposób 84-rem polskim studentom, pisarzom, i uczynom w czasie ich pobytu w Ameryce.

Kilka, dosłownie kilka, dolarów stanowi czasem większą pomoc niż poważna suma w innej sytuacji. I tak, zakup i wysyłka pewnej substancji chemicznej nieosiągalnej w Polsce — umożliwiła młodemu chemikowi ukończenie serii doświadczeń stanowiących jego pracę doktorską. Koszt owych chemikaliów w Ameryce wyniósł... 9 dolarów.

Zakup i wysyłka pewnego gatunku farby drukarskiej umożliwiła wydanie w Polsce bardzo ważnej specjalistycznej pracy, która inaczej nie mogłaby się ukazać. Koszt owej farby drukarskiej nie wyniósł nawet 100 dolarów.

Tego typu przykładów można by cytować dziesiątkami. Działalność „Wanda Roehr Foundation” charakteryzuje imaginatywność i całkowity brak biurokratyzmu. Na ogół im więcej urzędników — tym więcej biurokratyzmu i tym mniej pomysłowości. Agendy Fundacji Wandy Roehr prowadzi garstka oddanych ludzi z doskonałymi rezultatami.

W omawianym okresie Fundacja przyznała 627 stypendiów w łącznej wysokości 216.922 dolarów. Na cele artystyczne, literackie i kulturalne wydano w tym samym czasie 73.820 dolarów. Łącznie niemal 300 tysięcy dolarów.

Oczywiście nie brak w Ameryce fundacji które na podobne cele wydają więcej. Wątpię natomiast czy jakkolwiek inna fundacja 300 tysięcy dolarów wydatkowała lepiej i bardziej celowo.

„Wanda Roehr Foundation” rozpoczęła swą działalność z kapitałem 483.423 dolarów. Lwią część wpłaciła p. Wanda Roehr. Poważne kwoty zafiarowali również śp. Alfred Jurzykowski oraz G. Roehr, A. Roehr i L. Roehr.

ECHA I POLEMIKI

W londyńskim „Tygodniu Polskim” z dnia 1. października br. ukazał się obszerny artykuł Aleksandra Bregmana pt. „W Maisons Laffitte”. Reportaż-wywiad zdobią zdjęcia dokonane przez autora a całość utrzymana jest w miłym i kulturalnym tonie.

Bregman skorzystał jednak z okazji by odciąć się polemicznie od politycznych tez „Kultury”. Dyskusje a nawet starcia w wolnej polskiej prasie są niezmiernie pożądane. Jednak pierwszym warunkiem dyskusji musi być obiektywne ustalenie pozycji obu stron w sporze.

Bregman nie zgadza się „z całym programem ewolucjonizmu” „Kultury” — tak jakby ewolucjonizm był naszym prywatnym wynalazkiem. „Kultura” nie ma monopolu na ewolucjonizm. Klasycznym ewolucjonistą jest również — powiedzmy przykładowo — Victor Zorza, bezsprzecznie jeden z najwybitniejszych brytyjskich sowietologów. Wystarczy zacytować jego artykuły z Jugosławii a przede wszystkim esej pod charakterystycznym tytułem: „The End of Totalitarianism?” („The Guardian” 7. 10. 66).

W „Kulturze” żadnej teorii nie traktujemy dogmatycznie. Gotowi jesteśmy poprzeć każdą koncepcję ewolucyjną, rewolucyjną czy jakkolwiek inną — zmierzającą do obalenia totalizmu w Polsce.

Bregman fałszywie interpretuje również naszą politykę w stosunku do Rosji. Koła oficjalno-generalskie, których Bregman jest porte-parole — dopatrują się zbawienia w rozbiću Związku Sowieckiego. Rozbić Związku Sowieckiego, dezorganizacja i chaos — w naszej opinii nie leżą w polskim interesie, ponieważ wówczas niepomierne więcej utracilibyśmy na Zachodzie, niż zyskali na Wschodzie. Potencjał przemysłowy Polski uległby katastrofalnej redukcji — natomiast Niemcy w konsekwencji rozbięcia Sowieców stałyby się pierwszym mocarstwem Europy i drugim mocarstwem świata. Tego typu perspektywy odpowiadają pewnym kołom emigracyjnym — lecz nie nam.

Doceniamy w pełni narastającą falę nacjonalizmu i solidaryzujemy się z ruchami wolnościowymi tak w imperium sowieckim jak i wszędzie indziej. Przebudowa Rosji Sowieckiej w federacyjny związek niepodległych państw uchroniłaby euro-azjatycki wschód od bałkanizacji, która leży wyłącznie w interesie Niemiec i Chin. Przekształcenie imperium sowieckiego w nowoczesny związek federacyjny umożliwiłoby również realizację rzetelnego porozumienia polsko-rosyjskiego, które jest niezbędnym warunkiem zdobycia poparcia rosyjskiego dla Polski na Odrze i Nysie — nie za cenę satelictwa.

Związek Sowiecki w jego obecnej postaci jest anachronizmem, podobnie jak monarchia austriacko-węgierska była anachronizmem. Koncepcja federacji — być może — byłaby uchroniła Austro-Węgry przed całkowitym rozpadem.

Lekarstwo może pomóc choremu lecz nie konającemu. Podobnie idea federacji podjęta na czas może Rosję uchronić od katastrofy. Ta sama inicjatywa wysunięta na pięć minut przed dwunastą — nie spełni już swego zadania.

DATA

POLITYKA

15 wrzesień 1966

Pod naciskiem krajów afrykańskich W. Brytania stawia ultimatum Rodezji — powrót do rządów konstytucyjnych lub sankcje międzynarodowe.

Arcybiskup Wiednia, Kardynał Koenig, przybył do Czechosłowacji.

Francja podpisuje umowę z Rumunią w sprawie budowy fabryki samochodów Renault. Produkcja: 50.000 rocznie (7. 9. 66).

Młodzież chińska z „Czerwonej Gwardii” otrzymała rozkaz powstrzymania „rewolucji kulturalnej” na wsi na okres żniw. Zwraca uwagę fakt, że jedynym krajem, w którym nie mówi się o działalności „Czerwonej Gwardii” jest Albania.

16 wrzesień 1966

Pierwsze półrocze przyniosło zwiększenie obrotów Francji z Europą Wschodnią. Największe obroty zanotowano z NRD i Polską.

Moskiewska *Prawda* określa „rewolucję kulturalną” w Chinach jako przejaw trockizmu.

W Bonn zapowiedziano dymisję 6 generałów armii, 2 generałów lotnictwa i 2 admirałów z dniem 1 października.

Radio moskiewskie krytykuje kierownictwo PZPR za uchylenie się od wspólnej walki ideologicznej z Chinami.

17 wrzesień 1966

Rząd francuski zatwierdził preliminarz budżetu na 1967 r. Przewiduje się zwiększenie wydatków na badania naukowe o 52% a na obronę 7%.

Rude Prawo wypowiada się za swobodą ruchu kapitałów i zaciąganiem pożyczek zagranicznych.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

Ceny i Finanse w Europie Wschodniej — międzynarodowe Seminarium we Florencji z udziałem 15 krajów. Wśród uczonych polskich: prof. Zieliński z Warszawy i prof. Zauberman z Londynu.

W Londynie ukazuje się nowe emigracyjne pismo socjalistyczne, *Lewy Nurt*, związane z grupą A. Ciołkosza.

Nowa seria Polskiej Fundacji Kulturalnej, m.in. Hłasko i Wit Tarnawski.

*Best-seller*em w Czechosłowacji staje się „Rok amerykański” Ireny Dubskiej. Autorka odkrywa m.in. intelektualną atmosferę San Francisco.

Min. Oświaty w Warszawie zatwierdziło śpiewnik dla klasy IV. Typowy tekst piosenki:

*Na zielonym drzewku
w jasnym blasku świeczek
usiadł wśród gałązek
mały gołąbeczek.*

*Siedzi ptaszek na gałązce
i spogląda wokół
grucha grucha nam wesoło
pokój, pokój, pokój.*

Nawet „*Życie Warszawy*” pisze: „pokój odfajkowany”.

Brazylia. Ukazuje się nowe pismo literackie — *Skarpa*.

Co przekazać młodzieży z przeszłości Polski? Większość ludzi z wyższym wykształceniem odpowiada: wkład Polski do kultury światowej. Ludzie z niższym wykształceniem: bohaterstwo i potęgę narodu. (Instytut Badania Opinii przy Polskim Radio).

500 jubileuszowy numer miesięcznika *Nowy Mir* zamieszcza satyrę F. Iskandera pt. „Konstelacja Kozłotura”, która jest parodią na sowieckie teorie pseudo-naukowe. W tym samym numerze Czernichenko pisze po raz pierwszy otwarcie o bezrobociu.

Na morzu Północnym tonie okręt podwodny NRF — Hai.

Po osiągnięciu rekordowej wysokości 1400 km. Gemini 11 z dwoma astronautami na pokładzie wodował na Pacyfiku.

Francja będzie miała wkrótce bombę wodorową — oświadczył prez. de Gaulle.

Brytyjskie MSW powołuje do życia Stałą Komisję Doradcą do spraw systemu karnego. W skład Komisji wchodzi m.in. dyrektor Instytutu Kryminologii w Cambridge prof. L. Radzinowicz.

Sowiecki min. Handlu, Strujew, odwiedził warszawski Supersam wyrażając podziw, że pod jednym dachem można kupić tak wiele wiktuałów.

Ze Szwecji wydalono 2 polskich dyplomatów — attaché wojskowego i członka misji handlowej. Jednocześnie aresztowano obywatela szwajcarskiego polskiego pochodzenia pod zarzutem szpiegostwa.

Przysłowie „czekaj cierpliwie jak Cetekka na Tassa” nie jest już aktualne — pisze tygodnik „Kulturni Tvorba”.

DATA

POLITYKA

18 wrzesień 1966

Po 20 latach rozłamu włoska partia socjalistyczna Nenniego ma się połączyć z partią socjal-demokratyczną Saragata.

N. A. Szczełochow mianowany ministrem Porządku Publicznego w Sowietach. Po raz pierwszy od wielu lat na czele służby bezpieczeństwa stanął człowiek, który nie był ani zawodowym policjantem, ani szefem Komsomołu.

Wydz. Prop. KC PZPR. Zagadnienia i materiały. Artykuł: Dlaczego popieramy inicjatywę wzniesienia pomnika Jana XXIII.

19 wrzesień 1966

W Czechosłowacji rozpoczęły się „największe w historii” manewry państw Układu Warszawskiego. Polska, Rumunia i Bułgaria nie biorą w nich udziału.

Papież wzywa w Encyklice przywódców świata do rozbrojenia i ogłasza październik miesiącem pokoju.

20 wrzesień 1966

Firma Renault podpisuje kontrakt z Bułgarią na budowę fabryki samochodów.

Sekr. Gen. ONZ U Thant krytykuje Stany Zjednoczone za „świętą wojnę” w Wietnamie a W. Brytanię za tolerowanie białych buntowników w Rodezji.

Izwiestia oskarża kierownictwo chińskie o bezprzekładne dyskredytowanie idei marksizmu-leninizmu i wyraża przekonanie, że „obecne przywództwo jest tylko tymczasowe”.

KULTURA I NAUKA

W pierwszej połowie 1966 r. w Czechosłowacji ukazały się 4 nowe pisma literackie: *Sesity pro Mladou Literaturu*, *Impuls*, *Orientace* i *Universum* — to ostatnie w języku niemieckim. Jednocześnie zamknięto pisma *Tvar* i *Knizni Kultura*. *Tvar* znane było z tendencji liberalnych.

Praxis (Zagreb) zamieszcza sprawozdanie z wizyty filozofów jugosłowiańskich w Sowietach. Jugosłowianie żądają szerszego tłumaczenia ich prac, nie tylko na użytek instytutów.

Po raz pierwszy uczony polski, prof. J. Szczepański, wybrany został przewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego.

Min. Obrony wydaje książkę pod redakcją M. Turlejskiej pt. „Z walk przeciwko zbrojnemu podziemi 1944-47”.

Londyński Hampstead Theatre Club wystawia „Listy z frontu wschodniego” w ramach serii „Teatru Żywego”, do muzyki Pendereckiego.

Prawda zapowiada zwołanie zjazdu pisarzy sowieckich na koniec roku.

Życie i Myśl publikuje obszerny artykuł o AK: „Błyskawica” i „Służba filmowa i fotograficzna AK”.

O wystawie polskich tkanin artystycznych w londyńskiej Galerii Grabowskiego zamieszcza pochlebne recenzje *The Guardian* i *NY Herald Tribune*.

Wraz z chorobą Johnny Hallyday i pojawieniem się na scenie 19-letniej Mireille Mathieu *Le Monde* przepowiada koniec epoki „yeah, yeah”.

RÓŻNE

W. Rodziński, b. ambasador PRL w Londynie, mianowany ambasadorem w Chinach. Był on przed wojną obywatelem amerykańskim.

25 rocznica utworzenia 5 Dywizji Kresowej. W uroczystościach w Londynie liczny udział weteranów i harcerzy.

W Sopocie zakończyła się 16 Konferencja „Pugwash”. Sekretarz Generalny prof. J. Rotblat (Londyn) oświadczył, że głównym przedmiotem obrad było bezpieczeństwo Europy.

Kurier Szczeciński zamieszcza obszerny sprawozdanie z procesu Tadeusza Lipskiego, obywatela szwedzkiego, oskarżonego o rozpowszechnianie „wrogich wydawnictw” i przemyt.

Prymas Wyszyński oświadczył w kazaniu we Włochach że rządowe koncepcje państwa świeckiego odseparowanego od Kościoła są absurdem. Nasze kierownictwo, miał powiedzieć Kardynał, składa się z nieokrzestanych brutalni.

W prasie czechosłowackiej odżyła dyskusja na temat powstania w Słowacji. Mówi się o pomocy sowieckiej i anglo-amerykańskiej.

Kardynał Angel Herrera y Oria, biskup Malagi przeszedł na emeryturę. Jest to pierwszy precedens.

Otwarcie pierwszej regularnej linii lotniczej między Europą Zachodnią a Chinami — przez Air France, na trasie Paryż Szanghaj.

Narodowy Instytut Statystyczny w Paryżu i Ośrodek Badań Społecznych w Wiedniu ogłosiły wyniki badań jak spędzają czas mieszkańcy 10 krajów świata, m.in. Polski. Badania wykazały, że Francuzi pracują więcej ale czytają mniej niż Amerykanie.

DATA

POLITYKA

21 wrzesień 1966

Zapadła decyzja przeniesienia dowództwa sił środkowo-europejskich NATO z Paryża do Brunssum w Holandii.

81 „republikanów” aresztowano w Hadze po rzuceniu 3 bomb dymnych na orszak Królowej, która jechała by dokonać otwarcia parlamentu.

Rząd francuski zapowiada przeprowadzenie plebiscytu w Somali, gdzie niedawno odbyły się demonstracje.

Zmiany w Dep. Stanu: zastępcą Ruska zostaje dotychczasowy min. sprawiedliwości N. Katzenbach (44). G. Ball odchodzi na emeryturę. Wyższe stanowiska zajmują prof. E. Rostow i amb. F. Kohler.

22 wrzesień 1966

Stany Zjednoczone wysunęły w ONZ program pokojowy dla Wietnamu zawierający szereg zaleceń U Thanta. Amerykanie nie wykluczają udziału Wietkongu w rozmowach pokojowych.

Delegacje Polski, Czechosłowacji i NRD na obrady Międzynarodowej Agencji Atomowej w Wiedniu wyraziły zgodę poddania urządzeń atomowych swych krajów pod kontrolę Agencji pod warunkiem, że NRF zrobi to samo.

Luksemburg. Obrady nad problemem nadprodukcji węgla i stali w krajach „Szóstki”.

23 wrzesień 1966

Gromyko odrzuca amerykańskie propozycje w sprawie Wietnamu.

Stany Zjednoczone mają w Europie 7.000 głowic atomowych. Oznacza to wzrost o 100% od 1961 r. — oświadczył Mc Namara.

Japońskie ministerstwo Spraw Zagranicznych wyraziło przekonanie, że Mao Tse-tung stracił absolutną kontrolę nad wydarzeniami w Chinach.

24 wrzesień 1966

Główny doradca naukowy rządu brytyjskiego Sir Solly Zuckerman prowadził w Moskwie 4-dniowe rozmowy z przedstawicielami sowieckiego Instytutu Energii Atomowej. Wiadomość ogłoszono po powrocie Zuckermana do Londynu.

Przywódcą brytyjskiej partii Liberalnej J. Grimond zamierza odwiedzić Polskę, Węgry, Rumunię i Szwajcarię jako specjalny wysłannik dziennika *Guardian*.

KULTURA I NAUKA

Zamknięcie pisma *Oblicze Tygodnia* K. Lewkowicza w Londynie. Pismo występowało przeciw emigracji politycznej.

Międzynarodowe Towarzystwo Muzyki Współczesnej urządziło w Sztokholmie szereg koncertów; m.in. odegrano kompozycje *Les Sons* Witolda Szalonka.

Rosjanie odwołują wymianę wizyt między orkiestrą moskiewską a filharmonią Izraela.

Obchody Tysiąclecia w Londynie: Koncert Panufnika w kościele francuskim i wystawa obrazów A. Dzierżyńskiego.

RÓŻNE

Zmarł Paul Reynaud (87) b. premier francuski w okresie inwazji niemieckiej.

Podróż Surveyora 2 na księżyc nie udała się.

Autor dziennika podróży „Moskiewskie Lato 1964”, Mihajlov, stanął przed sądem w Zadarze oskarżony o rozpowszechnianie zagranicą kłamstw o Jugosławii.

W prasie zachodniej odżywa dyskusja na temat zamachu na prez. Kennedy'ego.

Mihajlo Mihajlov skazany został na rok więzienia za nazwanie Jugosławii państwem totalitarnym. Zwolniono go od odpowiedzialności za udzielenie *Kulturze* pozwolenia na publikację „Moskiewskiego Lata 1964”.

Brytyjski minister Obrony ogłosił, że armia brytyjska w przyszłości wyśle oficjalnego przedstawiciela na nabożeństwo żałobne za gen. Bora Komorowskiego.

Ambasada NRF w Londynie ogłosiła wydany w Bonn zbiór dokumentów stwierdzający, że ruch Niemców na Wschód miał charakter pokojowy. Londyński *The Guardian* zamieścił tę wiadomość pod ironicznym tytułem „Herrenvolksy”.

DATA

POLITYKA

25 wrzesień 1966

Po wyjeździe Breżniewa z Belgradu przybył tam Ulbrycht.

W Budapeszcie rozeszły się pogłoski, że Kadar zamierza zrezygnować.

Proces w sprawie Ben Barki wszedł w czwarty tydzień. Niektóre dzienniki komentują: równie daleko jest do zakończenia procesu, jak do odnalezienia prawdy.

Prezydent republiki Niger Diouri i szef rządu Senegalu Senghor wezwali prez. de Gaulle do zwołania konferencji „Francuskiej Wspólnoty Narodów”.

26 wrzesień 1966

Francja zaniepokojona jest zbrojeniami Algierii. Broni dostarcza Związek Sowiecki.

Redaktor *Problemów Pokoju i Socjalizmu* dr J. Franccew, porównał na łamach *Izwestii* chińską rewolucję kulturalną do polityki Goebbelsa.

Rząd francuski podniósł minimalne stawki płacy z 2,05 frs do 2,10 frs. Jest to druga podwyżka w ciągu 6 miesięcy.

„Czerwona Gwardia” ogłosiła się ruchem międzynarodowym z siedzibą w Pekinie.

27 wrzesień 1966

Po zakończeniu rozmów z Johnsonem Erhard przestrzegł w przemówieniu publicznym Amerykę przed zawieraniem porozumienia z Sowietami „kosztem wolności”. Erhard i Johnson zapowiedzieli rewizję poglądów co do ilości wojsk stacjonowanych w Europie.

Rozruchy murzyńskie w San Francisco.

Sydsvenska Dagbladet, największy dziennik w Południowej Szwecji, zamieścił szereg artykułów na temat konieczności uznania granicy na Odrze i Nysie.

28 wrzesień 1966

Ameryka proponuje sojusznikom Paktu Atlantycznego utworzenie i finansowanie wspólnego systemu łączności wojskowej przy pomocy satelitów. Francja wyraziła swe zainteresowanie.

29 wrzesień 1966

Unia Zachodnio-Europejska obraduje w Paryżu nad możliwością poprawy stosunków z Europą Wschodnią.

Rząd francuski przewiduje zwiększenie produkcji przynajmniej o 5% w okresie br.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

Czy Oswald był jedynym zabójcą prez. Kennedy? Książka J. Epsteina *Inquest: The Warren Commission and The Establishment of Truth* staje się best-sellerem.

Międzynarodowe Targi Księgarskie we Frankfurcie nad Menem. Na otwarciu przemawia po raz pierwszy przedstawiciel państwa komunistycznego Czech J. Grohmann z Pragi. *Frank Allg. Zeitung* nazywa imprezę „targami politycznymi”.

Prokuratura sowiecka zapowiedziała zastrzeżenie kar za nielegalne nadawanie audycji radiowych. Tygodnik *Niedziela* stwierdza, że w wielu częściach kraju działają stacje pirackie, nadające koncerty życzeń. Aresztowano dwóch speakerów: J. Czernowa lat 26 i K. Malcewa lat 19.

Na wyspie Merritt (Floryda) oddano do użytku pierwszą przystań lotów międzyplanetarnych.

Jerzy Kazimierz Zbrożek, lat 53, zmarł nagle na lotnisku nowojorskim. Prasa brytyjska określa go jako czołowego specjalistę w zakresie technologii lotnictwa.

Izwestia podają, że do miasta Togliatti nad Wołgą przybędzie 8 tys. młodych robotników sowieckich i 2 tys. specjalistów włoskich, by uruchomić produkcję samochodów na licencji Fiata.

Jubileuszowy numer miesięcznika amerykańskiego wydawanego w języku rosyjskim i sprzedawanego w Rosji — *Ameryka* — został rozbity w ciągu godziny. Zawierał m.in. wypowiedź prez. Johnsona uzasadniającą politykę amerykańską.

„Sprawa Pułkownika Pietrowa” w telewizji BBC wg. książki Michała Białoguskiego, lekarza polskiego z Australii.

W Paryżu zmarł 70-letni André Breton, poeta, autor „Manifestu Surrealistycznego”.

Zdaniem ekspertów amerykańskich głównym powodem trudności rolnych Sowietów jest katastrofalne zachwaszczenie pól.

Brytyjskie min. Skarbu uchyliło restrykcje ograniczające wydatki turystów brytyjskich zagranicą do £50 dla turystów wybierających się na 37 dniową podróż Batorym po Atlantyku. Koszty podróży na osobę dochodzą do £1200 na osobę.

Przez 4 miesiące NRD otrzymywała wiele informacji o NATO. Były one fałszowane przez kontrwywiad francuski.

DATA

POLITYKA

30 wrzesień 1966

Zaburzenia szczepowe w Nigerii.

Inicjatywa KC PZPR pogodzenia Moskwy z Pekinem nie przyniosła rezultatów. Pisząc o tym *Trybuna Ludu* oskarża (po raz pierwszy) Chiny o spiskowanie z Ameryką.

Wysłannicy Watykanu przybyli do Południowego Wietnamu.

Sekretarz Stanu we francuskim min. Spraw Zagranicznych, M. de Broglie, wezwał W. Brytanię do przedstawienia konkretnych warunków przystąpienia do EWG.

150.000 komunistów zostało zabitych w Indonezji w okresie tymczasowych rządów wojskowych — min. Malik.

W Sowietach zapowiedziano podniesienie cen hurtowych na towary przemysłowe. Ma to zapobiec deficytowej produkcji a zdaniem wielu ekspertów jest krokiem w kierunku rozluźnienia kontroli cen.

1 października 1966

Delegacje Sowietów, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii i Mongolii opuściły trybunę honorową podczas defilady w Pekinie gdy chiński min. Obrony oskarżył Sowiety o spiskowanie z Ameryką.

2 października 1966

Z Moskwy nadchodzą wiadomości o rosnącym napięciu na granicy z Chinami. Skierowano tam 6 dyw. sowieckich.

Prawda stwierdza, że państwa komunistyczne Europy Wschodniej rozpatrują możliwość zbiorowego potępienia Chin.

Rude Prawo podaje szczegóły dotyczące kredytów czechosłowackich na rozbudowę kopalń rud i szybów naftowych w Sowietach.

3 października 1966

Min. Couve de Murville w Waszyngtonie. Rozmowy toczą się w chłodnej atmosferze.

Otwarcie dorocznej konferencji Partii Pracy w Brighton w atmosferze demonstracji antyrządowych.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

W Londynie ukazuje się nowa powieść eksperymentalna J. Peterkiewicza *Inner Circle* (McMillan).

A Strong Man Armed — *Cardinal Wyszynski* — zbiór wypowiedzi Kardynała po raz pierwszy w języku angielskim (Geoffrey Chapman).

Scroll of Agony. Dziennik warszawski Chaima Kaplana (Hamilton).

The Janowska Road. Leon Wells opisuje swe przeżycia w żydowskiej „brygadzie śmierci”.

Koncern prasowy lorda Thompsona wykupuje większość akcji dziennika *The Times*.

Jeden z największych pisarzy chińskich, niegdyś przyjaciel Mao Tse-tunga, Lao She popełnił samobójstwo, po publicznym znieważeniu przez Czerwoną Gwardię.

Niezależna telewizja brytyjska „Granada Television” rozpocznie w końcu tyg. nadawanie stałego programu nocnego dla Niemiec, w porozumieniu z Norddeutscher Rundfunk.

T. Hołuj proponuje utworzenie stałej Rady Kulturalnej, która byłaby łącznikiem między władzami, a środowiskiem twórczym.

„Lost Peace” — Stracony Pokój. Początek serii dokumentarnej w telewizji BBC o latach międzywojennych, z udziałem m.in. amb. E. Raczyńskiego.

Po 20 latach von Schirach i Speer opuszczają więzienie w Spandau. Pozostaje tam tylko 72-letni Hess. Koszt jego utrzymania DM 400 tys. rocznie. Rosjanie nie godzą się na likwidację Spandau, bo tylko dzięki temu utrzymują mały garnizon w Berlinie Zachodnim.

Poczta brytyjska wprowadza po raz pierwszy rysunki dzieci na znaczkach.

Robotnicy i technicy jugosłowiańscy będą mogli podejmować tymczasową pracę zagranicą bez żadnych ograniczeń. Obecnie 200 tys. Jugosłowian przebywa na emigracji zarobkowej.

Instytut Studiów Strategicznych zakończył obrady w Wiedniu z udziałem Sowietów, Polski i Czechosłowacji.

5 młodych Rosjan skazano na śmierć w Północnej Rosji, za zabicie policjanta.

DATA	POLITYKA
4 października 1966	<p>Posiedzenie KC w Jugosławii poświęcone demokracji partii i reorganizacji służby bezpieczeństwa.</p> <p><i>Prawda</i> zamieszcza wezwanie sudańskiej partii komunistycznej zwołania międzynarodowej konferencji partii komunistycznych celem potępienia Chin.</p> <p>Izrael rozpoczął formalne starania o stowarzyszenie ze Wspólnym Rynkiem.</p> <p>Klub parlamentarny Chrześcijańskich Demokratów w Bonn wezwał Kanclerza do poprawy stosunków z Francją.</p>
5 października 1966	<p>Min. Spraw Zagranicznych Chin oświadczył, że nie ma mowy o rozmowach w sprawie Wietnamu dopóki Ameryka nie wycofa wojsk z Wietnamu.</p> <p>W Jugosławii, na Plenum KC, skasowano Politbiuro tworząc niezależne Prezydium i Komitet Wykonawczy. Wprowadzono zasadę rozdziału władz partyjnych od władz państwowych.</p> <p>W Moskwie obraduje RWPG. Na porządku obrad m.in. sprawa cen surowców i półfabrykatów.</p>
6 października 1966	<p>Sąd Apelacyjny w Teksas skasował wyrok śmierci dla Jacka Ruby, zabójcy Oswalda, za morderstwo z premedytacją. Ruby ma stanąć ponownie przed sądem.</p> <p>Min. Rusk podejmuje obiadem rumuńskiego min. spraw zagranicznych Manescu. Dziennikarze zwracają uwagę na niezależne wystąpienia Rumunii w ONZ.</p>
7 października 1966	<p>Min. Brown wzywa Gromykę do wspólnego zwołania konferencji genewskiej w sprawie Wietnamu.</p> <p>Sekretarz Stanu Rusk konferował ze wszystkimi ministrami spraw zagranicznych krajów Europy Wschodniej, którzy obecni byli w Nowym Jorku.</p> <p>Przewodniczący Klubu Parlamentarnego Partii Pracy, Shinwell, ostrzegł na konferencji w Brighton przed potencjalnym niebezpieczeństwem agresji Niemiec na Polskę.</p> <p>W. Brytania zapowiada skierowanie sporu z Hiszpanią o Gibraltar do Międzynarodowego Trybunału w Hadze.</p> <p>Min. Messmer oświadczył, że Francja gotowa jest do rozpoczęcia produkcji serii 200 taktycznych broni atomowych.</p>

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
<p>10 jubileusz „Warszawskiej Jesieni”. Obecny po raz pierwszy sekretarz gen. Zw. Kompozytorów Sowieckich Chrennikow — wybrany na to stanowisko w 1948 r. Młodzi kompozytorzy Sergiej Słonimski i E. Denisow nie otrzymali paszportów na wyjazd do Polski, ale ich kompozycje były odegrane, S. Słonimskiego do słów A. Słonimskiego. Krytycy zachodni z największym uznaniem piszą o Pendereckim. Wpływ polskiej muzyki nowoczesnej na kraje Bloku (poza Albanią i NRD) jest widoczny.</p> <p>Królewskie Towarzystwo Filharmonii w Londynie przyznało złoty medal Szostakowiczowi.</p> <p>Nowy katalog biblioteki British Museum. 263 tomy po 500 stron każdy. Obejmuje pozycje od 1485 r. do 1955.</p> <p>Kongres Kultury Polskiej rozpoczyna się w Warszawie w Teatrze Wielkim z udziałem 2 tys. delegatów. Na porządku dziennym m.in. „Kształtowanie człowieka socjalistycznego w nadchodzącej erze”.</p> <p>Londyński <i>Guardian</i> uznaje za najlepszą powieść miesiąca książkę węgierskiego pisarza S. Vizinczey „In praise of older women”. Na drugim miejscu książka emigranta rumuńskiego P. Dimitriu: „Westward Lies Heaven”.</p>	<p>7 osobowa delegacja brytyjskiego przemysłu stalowego udała się z 10 dniową wizytą do Polski.</p> <p>Armia francuska wprowadza nowy regulamin służby. Żołnierze będą karani za wykonywanie rozkazów znęcania się nad jeńcami. Mogą oskarżać dowódców o wydawanie rozkazów sprzecznych z prawem.</p> <p>Szwedzka flota wojenna zbombardowała nieznaną łódź podwodną, która naruszyła szwedzkie wody terytorialne w czasie manewrów szwedzkich.</p> <p>Nowa ustawa w ZSSR przewiduje 3 lata więzienia za „szepczankę”, podburzające pisma lub kierowanie „skrajną grupą religijną”.</p> <p>Sowieckie ministerstwo Rolnictwa zapowiada rekordowe zbiory w tym roku — 160 do 165 mil. ton ziarna, o 40 mil. ton więcej niż w roku ubiegłym.</p>

DATA	POLITYKA
8 październik 1966	„Naszym celem jest złagodzenie stosunków ze Wschodem” — powiedział prez. Johnson. Stany Zjednoczone znoszą szereg ograniczeń w handlu z Europą Wschodnią, zapowiadają wprowadzenie Klauzuli Najwyższego Uprzywilejowania, rozszerzenie kredytów i ułatwienia w spłacaniu długów przez Polskę.
9 październik 1966	Gomułka przybył do Moskwy, by przeprowadzić rozmowy na temat sporu z Chinami. Min. Brown domaga się przyjęcia Chin Komunistycznych do ONZ. Wg. doniesień z Hongkongu „Czerwona Gwardia” skrytykowała min. Obrony Lin Piao, uchodzącego za następcę Mao Tse-tunga. Odpowiadając na wezwanie Straussa domagającego się poprawy stosunków z Francją, Erhard wystąpił z gorącą obroną polityki „atlantyckiej”. Poparł on politykę Johnsona poprawy stosunków z Europą Wschodnią, ale „nie kosztem utrwalenia podziału Niemiec”.
10 październik 1966	Nowe propozycje PRL w ONZ-cie. Wice-minister Winniewicz proponuje zastąpienie Paktów Warszawskiego i Atlantyckiego systemem zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Wypowiadając się za złagodzeniem stosunków między Wschodem a Zachodem nie wspomina słowem o propozycjach Johnsona. Polska i Sowiety przeprowadzają rewizję cen surowców i towarów przemysłowych we wzajemnych obrotach handlowych, celem dostosowania ich do poziomu światowego.
11 październik 1966	Lord Errol, przewodniczący londyńskiej Izby Handlowej, oświadczył po powrocie z Czechosłowacji, że decentralizacja i przyznanie dyrektorom przedsiębiorstw większych uprawnień przyczyni się do usprawnienia handlu brytyjsko-czechosłowackiego. Doroczna konferencja partii konserwatywnej w Blackpoolu. Młodzi konserwatyści domagają się przyjęcia przez partię programu europejskiego, z uznaniem władz ponad-narodowych. Min. Brown na zaproszenie Gromyki odwiedzi Moskwę.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Wystawa nowoczesnego malarstwa rumuńskiego w londyńskiej Royal College of Art — w ramach wymiany kulturalnej. 3 dniowe obrady Kongresu Kultury Polskiej zakończyły się ogłoszeniem komunikatu i apelu o pokój w Wietnamie. Komunikat nie porusza żadnych zagadnień kontrowersyjnych. Światowa premiera opery „Ameryka”, opartej na noweli Kafki, wywołała w Berlinie Zachodnim burzliwe reakcje entuzjastów i krytyków.	Władze sowieckie wydały nakaz wszystkim studentom chińskim studiującym w Rosji, natychmiastowego opuszczenia ZSSR. Kilka dni przedtem podobny nakaz otrzymali studenci sowieccy studiujący w Chinach. Kongres amerykański zmniejsza projektowane przez rząd wydatki na pomoc dla zagranicy o 443 milionów dolarów. Kongres Międzynarodowej Federacji Astronautycznej w Madrycie, z udziałem uczonych amerykańskich i sowieckich. Jednym z tematów obrad jest niedopuszczenie do zbrojeń w przestrzeni międzyplanetarnej.
Jeden z czołowych kompozytorów sowieckich i przewodniczący moskiewskiego Związku Kompozytorów, W. Muradeli, wypowiedział się na łamach <i>Komsomolskiej Prawdy</i> za kształceniem muzyków jazzowych.	Zanotowano spadek ilości bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych. B. premier Francji A. Pinay ogłosił iż wycofuje się z życia politycznego. Pozostanie jednak burmistrzem St. Chamond.. Telewizja BBC zapowiada ukazanie fotografii i filmów z powstania Węgierskiego w dniu 20 października, z okazji 10 rocznicy Powstania.

DATA

POLITYKA

12 październik 1966

Premier Południowego Wietnamu Ky wezwał min. McNamara do przestania większej ilości wojsk amerykańskich do Wietnamu.

Północna Korea zmienia plany gospodarcze by zwiększyć swój potencjał obronny. Wice-premier Kim Il oświadczył, że Stany Zjednoczone chcą złagodzić stosunki w Europie, by skoncentrować wysiłki na agresji w Azji i likwidacji mniejszych państw komunistycznych.

13 październik 1966

Stany Zjednoczone złagodziły restrykcje na wywóz 400 towarów o znaczeniu nie-strategicznym do europejskich państw komunistycznych z wyjątkiem Niemiec Wschodnich.

Zastępca przywódcy partii socjalistycznej NRF, H. Wehner, wystąpił z propozycją utworzenia unii gospodarczej Wschodnich i Zachodnich Niemiec z zachowaniem różnych systemów politycznych i bez formalnego uznawania reżymu Ulbrichta.

14 październik 1966

Prezydent Johnson powitałby z zadowoleniem wizytę przywódców sowieckich w Waszyngtonie. Prezydent wyraził nadzieję, że możliwe jest zawarcie porozumienia o nierozprzestrzenianiu się zbrojeń atomowych.

Kosygin towarzyszący delegacji polskiej w Swierdłowsku oświadczył, że Chiny ponoszą winę za niepowodzenie powstrzymania agresji amerykańskiej w Wietnamie.

Północno-Wietnamska partia komunistyczna ogłosiła deklarację podkreślającą niezależność od Chin.

15 październik 1966

Węgierska Partia Komunistyczna zwróciła się do rządu z wnioskiem o zmianę ordynacji wyborczej. Jedna lista ma być zastąpiona głosowaniem na poszczególne osoby. Posłowie mogą być pozbawiani mandatów w czasie kadencji.

Konferencje sprawozdawczo-wyborcze, które rozpoczęły się w woj. poznańskim i koszalińskim są, zdaniem wielu korespondentów zachodnich przygotowaniem do czystki w PZPR.

KULTURA I NAUKA

RÓŻNE

Na festiwalu muzycznym „Sarga Musicale Umbria” występy muzyków słowackich z Bratysławy spotkały się z najlepszym przyjęciem krytyków.

Uczni francuscy i sowieccy pracować będą wspólnie w dziedzinie badań atomowych. Francuski satelita może być wystrzelony w orbitę księżyca w 1970 roku przy pomocy rakiety sowieckiej — min. Peyrefitte i Tass.

37% fizyków, którzy uzyskali doktorty w Anglii w latach 1958-1963 pracuje obecnie w Ameryce. Rząd brytyjski rozważa środki zaradcze.

Zakonnica belgijska Luch Gabrielle, która zdobyła rozgłos światowy jako popularna pieśniarka „Sœur Sourire”, wystąpiła z zakonu.

W ostatnich dwóch latach jedynie Czechosłowacji udało się rozwinąć żywą i wysocą indywidualną sztukę filmową — pisze znany krytyk angielski Robinson na marginesie wyświetlanego w Londynie filmu „The cry” Jaromila Jiresa.

Do Londynu przybyła delegacja uczonych sowieckich z wice-premierem, W. Kirillinem, na czele celem przestudiowania metod zarządzania przemysłem i usługami publicznymi.

Rumuńska *Gazeta Literara* zamieściła nowelę Ion Lancranjan'a, której bohaterami są: inżynier i b. kułak, a czarnymi charakterami funkcjonariusze partyjni.

12 turystów polskich ze statku „Partyzant” zgłosiło się o azyl polityczny w Wenecji.

Kraj

Cynizm, kompleksy czy poza

„Nie było dotąd przykładu w dziejach aby synowie byli tak zasadniczo odmienni od ojców, jak to się widzi we Francji, jeśli chodzi o nową generację”.

(Stendhal 1824 r.)

Autorzy *science fiction* roztaczając przed czytelnikiem oszałamiające wizje przyszłości, stosunkowo mało uwagi poświęcają ludziom. Biały czy czerwony guzik ważniejszy jest palca, który go naciska, od mózgu który impuls do ręki przesyła.

W „Alphaville” Jean Luc Godard ostrzega przed absurdalną sytuacją dominacji automatów nad człowiekiem. Nie ufajmy automatom, ufajmy człowiekowi.

Podobny okres dehumanizacji w znacznie prymitywniejszym stadium mają już za sobą kraje socjalistyczne. „Serce maszyny”, „Mirków ruszył” i tym podobne *socialist fiction* zapewniały, że młody chłopak bez szlifierki, a młoda dziewczyna bez traktora byłiby niczym.

Traktor i szlifierka poszły na złom ze starości, a chłopak i dziewczyna entuzjazmując się wyczynami Tiereszkowej czy Glenn’a śnią o karierze kosmonauty. Wezuwiusz ustąpił miejsca kraterom księżycowym.

Jako, że po pewnym czasie trzeba zejść z kosmosu na ziemię i pomyśleć o przyszłości bardziej serio, przed młodymi staje nie lada problem: wybór przyszłej kariery. W niektórych wypadkach jest to problem niemalże narodowy, jak w przypadku wyżu demograficznego w Polsce. Ale o tym za chwilę.

W krajach Europy Zachodniej i w Ameryce sytuację można scharakteryzować krótkim zdaniem: „Powiedz mi kim jest twój ojciec, a powiem ci kim będziesz”. Z prawdopodobieństwem niewielkiego błędu synowie Anglików od *upper middle class* w górę

będą studentami Cambridge i Oxfordu, może jeszcze Sussex University. Synowie *privileged classes* we Francji będą zdobywać wiedzę w L’Institut de Sciences Politiques lub w Ecole Polytechnique, a synowie amerykańskich *businessman’ów* pchać się będą do Harvard czy Yale.

Zdolności młodego człowieka, plus pieniądze rodziców, plus, *last but not least*, element snobizmu wytyczają przyszłe kariery młodzieży zachodniej.

A jak jest w Polsce?

Zdolności? Niewątpliwie.

Pieniądze? I tak i nie. Tak, jeśli w grę wchodzi umieszczenie kogoś z prowincji w szkole średniej w dużym mieście, co ze względu na wyższy poziom nauczania zwiększa szanse dostania się na uniwersytet. Wydatki na utrzymanie i mieszkanie są bardzo duże. Analogiczna sytuacja w czasie studiów o ile brak podstaw do przyznania stypendium w formie mieszkania w domu akademickim.

Nie, w przypadku opłat za naukę, co na Zachodzie stanowi dość duży problem dla rodzin średniozamożnych, nie mówiąc o biedniejszych.

Snobizm? Wszystkie uniwersytety są państwowe. Wszystkie o podobnym poziomie, jako-że dobrej kadry naukowej w Polsce nie brak. Moda na Warszawę, bo wiadomo stolica, i na Kraków bo 600-lecie UJ. Trudno to nazwać snobizmem. Ukończenie Uniwersytetu Jagiellońskiego czy uniwersytetu w Lublinie daje takie same prawa i możliwości, czego nie da się powiedzieć o Cambridge i Manchester czy Leeds.

Istnieje pewne zjawisko, które nazwałbym „snobizm chwałebny”. Rodzice pochodzący z niskiej klasy społecznej uparli się, żeby syn skończył uniwersytet. „Jestem robotnikiem, ale niech mam syna doktora, którym będę mógł się chwalić wobec znajomych” — oto główny motyw.

Dodatkowy problem, który z podobną ostrością nie występuje na Zachodzie, to sprawa wolnych miejsc na wyższych uczelniach. Polska wkracza w okres, w którym planiści od zatrudnienia dostają białej gorączki i nerwowych tików. Słowa „wyż demograficzny” brzmią jak groźne memento. A jest się czym martwić.

Okolo 5 milionów młodzieży wkroczy wkrótce na rynek pracy. Bezrobocie staje się problemem już obecnie. A co będzie za parę lat?

Założmy, że 40% owych 5 milionów kończy szkoły średnie. Jak wiadomo, co najmniej 80% maturzystów nosi się z zamiarem podjęcia studiów wyższych. To znaczy, w ciągu najbliższych paru lat milion 600 tys. młodzieży ubiegać się będzie o przyjęcie na wyższe uczelnie. Liczba kandydatów przyjętych na pierwszy rok studiów sięga 80 tys. rocznie. Czyli w ciągu pięciu lat studia rozpocznie 400 tys. młodych ludzi. A pozostałe milion 200 tysięcy? A próbujący zdawać egzamin wstępny po dwa i więcej razy? Jeśli dodamy do tego pozostałe 3 miliony absolwentów szkół podstawowych, zawodowych i techników, którym już trzeba zagwa-

rantować pracę, sytuacja wydaje się bez wyjścia. Problemu nie rozwiążą kursy pomaturalne — widmo nadprodukcji siły roboczej odsunie się tylko na rok czy dwa. Obniżenie granicy wieku emerytalnego i usunięcie doświadczonych w pełni sił twórczych i produkcyjnych kadry pracowników, a postawienie na ich miejsce młodych, świeżo upieczonych absolwentów szkół i uczelni nie odbije się korzystnie na mocy produkcyjnej.

Rozszerzenie inwestycji przemysłowych celem stworzenia nowych stanowisk pracy zwiększy tylko dysproporcje między produkcją dóbr przemysłowych, a produkcją dóbr konsumpcyjnych, która i tak jest dość duża.

Sytuacja z 1955 roku, kiedy doktor filozofii pełnił funkcje prezesa spółdzielni kominarskiej, rozszerzy się i na inne specjalności (myślę o specjalnościach doktorów, a nie prezesów, bo to i tak nie ma znaczenia).

Jedyne, chociaż częściowe, wybrnięcie z impasu to umożliwienie emigracji zarobkowej. Obawa przed „dywersją ideologiczną” dawno przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie dla obu stron. Niedobór ludzi określonych zawodów w Niemczech Zach., Francji czy Ameryce nie mówiąc o krajach słabo rozwiniętych, jest sprawą ogólnie wiadomą. Dobra opinia jaką cieszą się fachowcy polscy różnych specjalności za granicą również nie stanowi dla nikogo tajemnicy. Dlaczego więc polski architekt, nagrodzony na konkursach międzynarodowych i o międzynarodowej sławie, ma siedzieć w Biurze Projektów nikomu tam nie potrzebny za 1800 zł miesięcznie, a polski inżynier nadzorujący budowy wielkich obiektów przemysłowych za granicą ma po powrocie wysiadywać krzesła w Zjednoczeniu Przemysłowym z pensją niewiele wyższą? Ci sami ludzie pracując za granicą mogą przysporzyć sławy polskiej myśli naukowej i technicznej i wrócić do kraju z kapitałem, który starczy im na dostatnie życie, od czasu do czasu służąc radą i doświadczeniem swoim pracującym w kraju kolegom.

Oczywiście istnieje ryzyko, że ci ludzie zasmakowawszy w rozkoszach nowego życia nie zechcą powrócić po wygaśnięciu kontraktu. Biorąc jednak pod uwagę ilość ludzi wyjeżdżających ostatnio na Zachód w odwiedziny, na praktykę czy na stypendium i znikomy procent, jaki tam zostaje na stałe, ryzyko nie jest zbyt duże. Jeśli do tego dodać zastrzyk dewiz, wpływający do skarbu państwa na pomoc rodzinom, zakup mieszkania i tym podobne, warta skórka na wyprawkę.

Pofantazjowaliśmy trochę na temat przyszłości owych 5 milionów młodych ludzi. Spróbujmy cofnąć się trochę w czasie i odpowiedzieć na pytanie: Jacy byli, jacy są i dlaczego?

Sądząc z dotychczasowych publikacji, które ukazały się na Zachodzie na ten temat młodzież w Polsce dzieli się na „zgniłą” i „złotą”. „Zgniła” to ta, która pije wódkę z „czerwoną kartką”, gwałci dziewczyny w gruzach, rozbija latarnie i budki telefoniczne. „Złota” natomiast pije winiak i whisky, urządza orgie seksualne w wytwornych mieszkaniach, rozbija własne lub kradzione samochody. Każdy według możliwości, a efekt ten sam.

Gdyby to była cała młodzież problem zatrudnienia zostałyby rozwiązane przy pomocy niewielkich inwestycji na budowę i rozbudowę więzień. Uprzedzając podobną propozycję podkreślam z naciskiem, że grupa młodzieży rozwyrzonej to zaledwie 3-5% ogółu.

Każdy lubi czytać kolumny sądowe w dziennikach, ale dochodzenie do uogólniających wniosków na podstawie tej lektury prowadzi na manowce. Czasami zawodzi również skierowana na fałszywe tory dedukcja. Żeby nie być posądzonym o atak bez pokrycia mowa o książce George J. Flemminga „Polska mało znana”. Autor poszedł trochę za daleko w pasji odbrązowiania. Chodzi o konkretny fragment dotyczący młodzieży, jako że w pozostałych przypadkach trudno spostrzeżeniom i informacjom odmówić trafności. Cytuję: „Czy takiej młodzieży jest dużo? Sądząc po rozmiarach zniszczeń należałoby wnosić, że dużo, jeśli można przejść całą Marszałkowską i nie znaleźć czynnego automatu telefonicznego”. Ktoś nie orientujący się w sytuacji mógłby sądzić, że w centrum miasta grasują bandy wyrostków, operujące w określonym rejonie z zadaniem niszczenia automatów. Tymczasem wiadomo, że dwóch zawianych facetów może przejść całą Marszałkowską wzdłuż rozbijając wszystko co się trafi po drodze. Faktem jest, że przeważnie nikt ich nie niepokoi. Faktem również jest, że czasami przyłapani wandalami okazują się panami w wieku co najmniej średnim, a dobrotliwego powiedzenia przedstawiciela władzy — „Jak te dzieci”, nie należy brać dosłownie. Niby nic, ale w ten sposób powstają fałszywe mity o młodzieży.

Gdybyśmy z grubsza podzielili młodzież w Polsce na pozytywną i negatywną to stosunek między dwoma grupami miałby się jak 20:1. Stosunek ten ulega odwróceniu gdy podzielimy publikacje naukowe poświęcone młodzieży pozytywnej i negatywnej. Młodzieży trudnej, przestępczej, chuligańskiej, cynicznej poświęcono w ciągu dwudziestolecia powojennego znacznie więcej miejsca niż młodzieży „dobrej”. Można to tłumaczyć dwojako. Po pierwsze w ramach „troski o młodzież” łatwiej krytykować niż chwalić. Po drugie niepokojący wzrost przestępczości wśród młodocianych stworzył konieczność dotarcia do podstaw tego zjawiska, konieczność analizy przyczyn i skutków i szukania naukowo uzasadnionych dróg na wyjście z impasu.

Spośród zagadnień ogólnych dotyczących przestępczości wśród młodzieży w Polsce, do najważniejszych zaliczam: 1) Zagadnienie nasilenia tego zjawiska, 2) Zagadnienie rodzaju popełnianych przestępstw, 3) Zagadnienie struktury grup przestępczych¹.

Nasilenie przestępczości wśród młodzieży w latach 1954-61 obrazuje poniższa tabela:

1. Dane dotyczące przestępczości zaczerpnięte z artykułu B. Maroszka — „Ważniejsze wyniki badań psychologów, pedagogów i socjologów nad przestępczością wśród młodzieży w Polsce”. Artykuł z książki „Młodzież epoki przemian”, Nasza Księgarnia, Warszawa, 1965.

NIELETNI I MŁODOCIANI PRZESTĘPCY SKAZANI PRAWOMOCNIE PRZEZ SĄDY W LATACH 1954-1961

(dane z roczników statystycznych 1955-1962)

Rok	Ilość skazanych w wieku			Razem
	do 17 lat	17 do 20 lat	21-24 lata	
1954	17.936	59.097		77.033
1955	15.893	33.713	29.819	79.426
1956	13.201	20.809	16.856	52.866
1957	15.019	26.053	25.561	66.633
1959	16.821	34.591	36.008	87.420
1960	19.730	38.703	40.119	98.452
1961	20.520	42.073	43.940	106.533
1958	25.602	42.535	47.185	115.322
Razem	144.722	238.378	241.488	683.695

Godną uwagi jest najmniejsza ilość przestępstw dokonana przez młodocianych w roku 1956 — roku października i największa w roku 1958, w którym wiadome się stało, że zdobycze października demokratyzacja i liberalizacja stały się fikcją.

Wśród rodzajów przestępstw najczęściej popełnianych przez młodzież, na pierwszym miejscu znajdujemy przestępstwa przeciwko mieniu indywidualnemu, a następnie przestępstwa przeciwko zdrowiu i życiu. Te drugie wykazują tendencje wzrostowe we wszystkich grupach wieku młodocianych.

Przestępczość wśród młodzieży w Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich i w Stanach Zjednoczonych, jest prawie wyłącznie domeną mężczyźn. Przestępcy wywodzą się z najróżniejszych środowisk, począwszy od inteligencji i typowych mieszczańskich rodzin, aż do lumpenproletariatu. Zasadniczą przyczyną przestępczości tkwi w dużych i szybkich przeobrażeniach w sferze politycznej, społecznej i moralnej, kiedy zachwiały się struktury tradycyjne, a na ich miejsce nie zdołały powstać nowe odpowiadające nowym potrzebom.

Weźmy choćby przykład Nowej Huty. Nie dlatego była siedzibą bandytyzmu i chuligaństwa, że ciągnęli do niej kryminaliści z całej Polski. Ludzie tam pracujący rzadko popadali w konflikt z prawem przed przybyciem. Było to typowe środowisko podlegające szybkim przeobrażeniom społecznym w związku z intensywnym procesem uprzemysławiania, a zatem miejsce różnego rodzaju konfliktów znajdujących niejednokrotnie ujście na drodze przestępczej.

Jak długo istnieć będą w społeczeństwach nowoczesnych konflikty, czy to moralne, społeczne, ideowe, czy wreszcie polityczne, tak długo istnieć będzie przestępczość. Ponieważ utopią jest my-

ślenie o zlikwidowaniu wszelkich konfliktów, utopią jest myślenie o zlikwidowaniu przestępczości. Przestępczość można tylko ograniczyć, zmniejszyć do niezbędnego minimum. Jak? Nie czuje się kompetentny żeby na to pytanie odpowiedzieć.

Starajmy się zachować rozsądne proporcje i poświęćmy więcej uwagi młodzieży zdrowej, bez obciążeń, uczniom ostatnich klas szkół średnich i studentom pierwszych lat wyższych uczelni. Ludziom, którzy za kilkanaście lat zaczną tworzyć nową elitę kulturalną i rządzącą kraju.

O młodzieży się mówi, na młodzież się stawia, przed młodzieżą się broni. Mówią o młodzieży socjologowie, psychologowie i paniusie z magla. Mówią o pokoleniu urodzonym w czasie wojny i o pokoleniu powojennym. Analizują środowisko w jakim młodzież wyrasta i stawiają prognozy na przyszłość. Mówią „dzisiejsza młodzież” i machają z rezygnacją ręką i mówią „młodzież epoki atomowej” z dumą w głosie.

Na młodzież stawiają producenci samochodów i mebli, projektanci wnętrz mieszkalnych i mody. Mary Quant zbiera tytuły godności i pieniądze, a młode dziewczyny całego świata pokazują uda w spódnicach przez nią zaprojektowanych. Sukces jakim nie może się poszczycić ani Dior ani Cardin. Disc Jockey jest niejednokrotnie popularniejszy od znanego aktora. Ukazują się dziesiątki magazynów i pism przeznaczonych wyłącznie dla młodzieży.

Nie należy brać poważnie pretensji publicystów, że młodym wszystko za łatwo przychodzi, że się koło nich skacze i dogadza. *Business is business* moi panowie. A wy, o czym pisalibyście gdyby zabrakło wam tematu, dającego takie możliwości wypisania się?

Znacznie cenniejszym przyczynkiem do charakterystyki młodzieży są badania naukowe socjologów, pedagogów czy psychologów. Teorie i opinie wyssane z palca ustępują miejsca wnioskom i spostrzeżeniom podbudowanym dużą wiedzą praktyczną.

W oparciu o serię badań socjologicznych łatwiej odpowiedzieć na pytanie jaki jest młody Polak — obywatel Polski Ludowej, a raczej jak siebie samego widzi?

Bezideowy?

„Młodzież jest odbiciem starszego pokolenia, jest taka jaką go ono uczyniło. Zarzucając młodzieży bezideowość starsi dają pewne świadectwo sobie”. — oto wypowiedź 18-letniej dziewczyny. Jakże dojrzała i oskarżycielska.

„Większość młodzieży jest bezideowa” — utrzymuje jedna piąta wypowiedzi. Na czym ta bezideowość polega? „Myślą tylko o pieniądzach”. „Lubią się wygłupiać”. „Nic ich nie interesuje” — te i podobne uzasadnienia dominują w wypowiedziach.

Trudno dziwić się młodym, iż mają trudności w ustaleniu co

2. Ryszard Dyonizak — *Młodzieżowa „podkultura”*, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1965.

Praca zbiorowa pod red. R. Dyonizaka — *Młodzież epoki przemian*, wyd. Nasza Księgarnia, Warszawa 1965.

to znaczy być „ideowym”, skoro również wśród ludzi dorosłych można się spotkać z powierzchownymi i naiwnymi określeniami. Dla nich być ideowym to należeć do Partii, chodzić na zebrania i pochody 1-Majowe, uczestniczyć w życiu politycznym, a nawet... słuchać starszych.

Jak dalece bezideowość jest pozorna i polegająca na niezrozumieniu znaczenia terminu, widać na przykładzie zainteresowań, dążeń i planów na przyszłość tych, którzy siebie i innych nazywają bezideowymi. Będę o tym mówić w dalszej części rozważań.

Nic tak nie przeczy twierdzeniom o bezideowości młodzieży, jak pasja z jaką większość z nich potępia obłudę, zakłamanie, liżusostwo, giętkość, niesprawiedliwość i inne negatywne zjawiska, z którymi styka się na codzień lub dowiaduje się od innych, a nawet z prasy czy radia.

Często nazywa się młodzież generacją sceptyczną, niechętną do angażowania się w działalność polityczną, niechętną do przyjmowania systemów ideologicznych do ulegania demagogom. Sceptycyzm jest tu formą obrony własnej osobowości.

„Sceptycyzm jest potrzebny. Sceptycyzi jesteśmy w stosunku do dnia dzisiejszego, ale to chyba dobrze, gdyż to dopinguje nas do pracy, opartej na ideach naszych” — twierdzi 17-letni chłopak.

„Ten sceptycyzm to jest maska pod którą kryją się prawdziwe, nie odkryte przez nikogo innego uczucia” — mówi osiemnastolatek.

Istotnie sceptycyzm jest „maską”. Jest wyrazem niechęci do przyjmowania i aprobowania czegokolwiek wbrew swojemu przekonaniu, wyrazem dystansu wobec wielkich słów bez pokrycia, protestem przeciwko hurra- optymizmowi.

Skończyły się czasy przyjmowania idei na wiarę, czasy optymistycznych ZMP-owców. Dewaluacja pojęć wywarła nieodwracalny wpływ na współczesną młodzież.

Obserwując życie i zachowanie młodzieży dorośli często bawą zaskoczeni cynizmem młodych. I znów problem. Cynizm czy poza?

„Dorośli oceniają młodzież na podstawie jednego wybryku czy epizodu. Nie starają się zgłębić naszych trudności i niepowodzenia. Młodzież ma w gruncie rzeczy pewne ideały ale zniechęcana i nie rozumiana przez dorosłych buntuje się przeciw temu, udając cyniczną i bezideową. Nasze pokolenie to pokolenie buntu i rytmu. Najbardziej, a może najlepiej, cechy te i wszystkie cechy młodzieży wyraził James Dean. Kocham go bo widzę w nim siebie, wyraził nasze tęsknoty i rozterki”.

„Młodzież w większych grupach nakłada jak gdyby maski, pozuje”.

Ten dwugłós chłopca i dziewczyną reprezentuje opinię ponad połowy młodych, którzy uważają, że pod pozorami cynizmu kryje się osobowość romantyczna i wrażliwa. Nie darmo kilka lat temu tomiki młodzieńczej poetki Małgorzaty Hillar zniknęły w ciągu paru godzin z półek księgarskich. Pamiętam (być może niedokładnie) fragmenty jednego z wierszy:

*My młodzi dwudziestego wieku
rozbijający atomy,
nie umiemy się śmiać,
nie umiemy kochać,
nie umiemy całować...
A gdy przychodzi noc
i jesteśmy sami,
płaczymy cicho w poduszkę.*

Pełne uroku liryczne strofy pomagały młodym zrozumieć samych siebie, przemawiały w ich imieniu, wydobywały to, co zostało zduszone pod skorupą cynizmu.

Oczywiście istnieje młodzież cyniczna, u której cynizm jest czymś naturalnym, przyswojonym w sposób trwały. Jest to właśnie ta młodzież, która gwałci, niszczy i przepija. Młodzież, której przedstawiciel na pytanie „Co ci się kojarzy z pojęciem szczęścia osobistego?” — odpowiada: „Stosunek z Sophią Loren”. Jednak i tego znikomego procentu młodzieży „wyzutej” nie należy uważać za stracony. To są -nastolatki, licealiści.

Na jednym z uniwersytetów angielskich przeprowadzono badania na temat postaw studentów pierwszego roku. Prawie wszystkie wypowiedzi zaczynają się od słów: „Niewątpliwie zmieniłem się od czasu ukończenia szkoły...” A oto fragment jednej z prac: „Będąc w szkole myślałem o otrzymaniu jak największej ilości doznań seksualnych od jak największej ilości dziewcząt. Zasmakowawszy w „eliksirze życia” sądziłem, że uniwersytet jest wymarzone miejsce do tego typu praktyk. W tej chwili widzę jak byłem niepoważny. W czasach szkolnych chciałem i próbowałem być niemoralny. Nie będę próbował nigdy więcej”.

Tak kończy się inna: „Najbardziej fundamentalnym wpływem uniwersytetu na moją osobowość było wyrobienie we mnie postawy krytycznej w stosunku do samego siebie”.

Powyżej cytowane przypadki zaliczyć możemy do skrajnie pozytywnych. Bywają również przypadki skrajnie negatywne. Dziecko hołubione przez rodziców aż do matury nagle na pierwszym roku studiów czuje się samodzielne. Wszyscy mówią per „pan”, można palić papierosy i siedzieć w kawiarni, a więc używajmy życia. I tak z maminsynka wyrasta „złoty” młodzieniec.

Jako że prawa równowagi obowiązują nawet w życiu wydaje się, że proporcje między „złymi” i „dobrymi” dwudziestolatkami pozostaną mniej więcej takie same jak między -nastolatkami przed maturą.

Wracając do naszych 95% bohaterów pozytywnych (przypominam: mowa o konkretnym badaniu, którego wyniki można jednak uznać za reprezentatywne) należy stwierdzić zadziwiająco dojrzałość postaw jakie badana młodzież zajmuje wobec życia. Ponad cztery piąte odpowiadających uważa, że życie należy planować, należy mieć cele, do których się dąży. Życie z dnia

na dzień nie znajduje uznania. Chłopców zależy przede wszystkim na zdobyciu dobrego zawodu, dziewczęta zaś marzą o szczęściu w małżeństwie. Zarówno chłopcy, jak i dziewczęta pragną być niezależni. Dlatego chłopcy chcą zdobyć zawód dobrze płatny, a dziewczęta marzą o zabezpieczeniu materialnym.

Podobne postawy zaobserwowano w innym badaniu zrealizowanym na terenie Warszawy⁴. Badanie dotyczyło wzorów sukcesu życiowego młodzieży. Przedstawiono najbardziej charakterystyczne typy ideałów życiowych.

Typ żywiący pogardę dla uznanych wartości i norm ludzkiego działania, nie znoszący żadnych skrupowań i obowiązków znalazł minimalną ilość zwolenników, a maksymalną liczbę przeciwników.

Typ bardziej umiarkowany, przykładający wagę do pozycji społecznej, ale zarazem goniący za pieniądzem, który według niego ma największe znaczenie w życiu, znalazł ok. 25% zwolenników. Rekrutują się oni głównie z synów robotniczych i chłopskich w większości robotników niewykwalifikowanych. Reprezentują dość wyświechtany pogląd, że pozycję społeczną można kupić za pieniądze.

Typ realisty wybierający cele które można osiągnąć bez szalonych wysiłków, ale zarazem cele, które uznaje środowisko w jakim się żyje. „Nasza mała stabilizacja” to sytuacja idealna dla tego typu ludzi. Mimo dbałości o uznanie środowiska konformistyczny realista znalazł tylko 20% zwolenników.

Niemal połowa odpowiadających wybiera typ czwarty i ostatni, wyróżniający się tym, że przedkłada inne wartości nad chęć użycia i nad konsumpcję zarówno tę w maksymalistycznym, jak i w minimalistycznym wydaniu. Typ krytycznie zaangażowany, ustabilizowany, ale odmawiający przystosowania. Typ, w którym „rewolucyjne społeczeństwo potrafiło wzbudzić tęsknotę; zaniebało jednak nadania tym tęsknotom rewolucyjnych treści niekonformistycznych”⁵.

W kraju, w którym ma miejsce intensywna industrializacja, problem wyboru zawodu przez młodzież jest doniosłym zagadnieniem społecznym. Jeśli dodamy do tego omawianą wyżej groźbę nadprodukcji siły roboczej, sprawa staje się bardziej skomplikowana. Badania kierunków i motywów wyboru zawodu nie pozwalają stawiać prognoz odnośnie specjalizacji przyszłej kadry fachowej. Są to tylko pobożne życzenia młodych, tym niemniej warte uwagi.

Największa grupa chłopców wybiera nauki techniczne i ścisłe, gdyż z nimi kojarzą się największe odkrycia naukowe naszego stulecia. Dziewczęta w dalszym ciągu pozostają wierne kierunkom humanistycznym i artystycznym. Małe jest w dalszym ciągu zainteresowanie naukami ekonomicznymi i rolniczymi.

4. Zygmunt Bauman — *Wzory sukcesu życiowego młodzieży warszawskiej*, (z) Młodzież epoki przemian, Nasza Księgarnia, Warszawa 1965.

5. Op. cit. str. 53.

Wśród motywacji wyboru takiego, a nie innego kierunku studiów na pierwszym miejscu stoi zainteresowanie, a na drugim co jest charakterystyczne, łatwość uzyskania pracy po skończeniu studiów, która zajęła miejsce stawiane zwykle na drugiej pozycji w hierarchii dochodowości. Powstaje paradoksalna sytuacja. Młodzież pod groźbą bezrobocia rezygnować musi z zawodu zgodnego z powołaniem, na rzecz zawodu, gwarantującego zatrudnienie w przyszłości.

Czy niezbyt zachęcające perspektywy na przyszłość rzutują w jakiś sposób na generalną ocenę epoki współczesnej?

Znaczna większość młodzieży (ponad 67%) ocenia pozytywnie epokę, w której żyje. W uzasadnieniu wypowiedzi część z nich ma jednak pewne zastrzeżenia, które budzą wątpliwości⁶.

„Epoka ciekawa, dużo nowego się dzieje, duże udogodnienia” ale „przeraża groźba wojny atomowej, niektóre zdobycze techniki są niedostępne zwykłym ludziom, nie zadowala sytuacja polityczna w Polsce (nie ustrój, a brak samostanowienia i demokracji)” te i tym podobne zastrzeżenia rzucają cień na pozytywną ocenę.

Wśród jednej piątej młodzieży, która ocenia epokę negatywnie dominują tęsknoty za życiem w przeszłości lub przyszłości. „Wolałbym żyć w czasach, w których walczyło się o byt siłą, a nie rozumem (dziki Zachód)” — chłopiec. „Obecny okres jest za mało romantyczny, czasami odpowiadałyby mi tajemnicze zamki, długie suknie i td.” — dziewczyna.

„Wolałbym żyć później o 50, 100, 300, nawet 500 lat — być świadkiem zdobycia planet, kolonizować inne układy planetarne i może byłoby już po wszystkich wojnach” — marzy połowa niezadowolonych ze współczesności.

W motywacjach zarówno pozytywnego, jak i negatywnego stosunku do epoki możemy wyodrębnić trzy zasadnicze nurty:

nurt dynamiczny wraz z kosmiczno-technicznym,

nurt psychologiczny — tęsknota za uczuciami, brak ideałów czysto romantycznych w sferze spraw ludzkich,

nurt społeczno-ustrojowy — podkreślanie możliwości stojących przed młodzieżą, zniesienia barier majątkowych i tp., ale także ujemnych stron systemu panującego w Polsce.

Abstrahując od zróżnicowania ocen należy stwierdzić, że młodzież wykazuje zupełnie dobre rozeznanie w szerokim zakresie nowości i problemów, jakie przynoszą obecne czasy — technicznych, bytowych, społeczno-ustrojowych, moralnych i psychologicznych.

Wiemy, że tego typu zdolności nie wynosi się ze szkoły średniej. A więc młodzież jest odczytana, zorientowana we wszystkich przejawach życia zarówno teraźniejszego jak i przeszłego.

Badania nad czytelnictwem potwierdzają to w całej rozciąg-

6. Barbara Olszewska-Dyonizak — *Epoka współczesna w oczach młodzieży licealnej*. (z) Młodzież epoki przemian, Nasza Księgarnia, Warszawa 1965.

łości⁷. Okazuje się, że nawet osoby dorosłe posiadające wyższe wykształcenie nie dorównują maturzystom w czytelnictwie dzienników. Ponadto badana młodzież wyraźnie preferuje typ dziennika, który ukazuje się rano, przynosi mniej informacji sensacyjnych, a więcej artykułów poruszających poważne problemy. Partyjne organy prasowe, zarówno centralny, jak i wojewódzkie czytane są w małym stopniu.

Wśród czytanych tygodników na pierwszym miejscu znajdują się magazyny ilustrowane typu „Przekrój” i „Świat”, na drugim pisma przeznaczone specjalnie dla młodzieży jak „Dookoła świata” czy „Radar”. Jednak tygodniki społeczno-kulturalne, artystyczne i popularno-naukowe czytane są również przez zdecydowaną większość.

Ilość i jakość przeczytanych książek wskazuje, że młodych interesuje przede wszystkim lektura wyróżniająca się dużymi walorami poznawczymi. Książki obyczajowe, psychologiczne, moralno-filozoficzne autorów takich jak Steinbeck, Hemingway, Irving Shaw, Hugo, Camus, Andrzejewski, Sartre, Faulkner czy Feuchtwanger cieszą się największą popularnością.

Podobnie z filmami, które się najbardziej podobały. Większość z nich należy do najwyższej klasy wśród wyświetlanych w Polsce w ostatnich latach. Bergman, Fellini, Clair i Richardson to nazwiska doskonale znane młodym kinomanom.

Alarmujące głosy socjologów zachodnich (Friederike Munch w NRF, D. Reissman w USA i inni) zarzucające młodzieży niechęć do samokształcenia i przerażającą ignorancję, potwierdzające to wyniki wielu ankiet i konkursów, upoważniają mnie do twierdzenia, że młodzież w Polsce należy do najinteligentniejszej i najbardziej czytanej na świecie.

Dla porównania wypowiedź studenta angielskiego dotycząca jego stosunku do politycznej teraźniejszości⁸:

„W czasie kiedy zaczynałem studia byłem konserwatystą i czymś w rodzaju imperialnego lojalisty (*Empire Loyalist*). Po sześciu miesiącach na uniwersytecie stałem się zwolennikiem *Labour Party*. W tej chwili uważam, że istnieją nadzieje na stworzenie nowej światowej społeczności rządzonej przez jedną rasę”. Niestety ów młody człowiek nie precyzuje co rozumie pod pojęciem rasa. Z dalszej części wypowiedzi możemy wnioskować, że „rasa” stworzona do rządzenia to *Anglo-Saxons*.

Jeśli zestawimy cytowaną wypowiedź z wypowiedziami młodszych od niego uczniów szkół licealnych w Polsce na temat epoki współczesnej, rzecz nie wymaga komentarzy.

Sceptyków zapewniam, że ani wypowiedzi studentów angielskich ani cytowane wypowiedzi uczniów polskich nie zostały specjalnie dobrane, zarówno w aspekcie negatywnym, jak i pozytywnym.

7. Ryszard Dyoniziak — *Młodzieżowa „podkultura”*. Wiedza Powszechna, Warszawa 1965, str. 127 i następne.

8. Praca niepublikowana.

Spróbujmy na zakończenie, na podstawie dotychczasowych rozważań, stworzyć względnie jednolitą sylwetkę młodego 18-letniego Polaka.

Pozornie cyniczny, pozbawiony ideałów okazuje się w rzeczywistości wrażliwy, głęboko przeżywa każde niepowodzenie, marzy o wzniosłych i szlachetnych celach w życiu. Sceptycznie odnosi się do nowych idei, do uznanych wartości, do zdevaluowanych pojęć, ale jednocześnie chłonie wszystko co nowe i po wewnętrznej selekcji pozostawia elementy jego zdaniem najwartościowsze, składające się na jego osobowość, odrzucając plewy. Marzy o życiu ustabilizowanym, o pracy dającej satysfakcję i zgodnej z zainteresowaniami, o poważaniu społecznym.

Jeśli chociaż czterdzieści procent osiemnastolatków w Polsce pokrywa się z „modelem idealnym” to już dobrze. Jest to młodzież, która szuka szansy w życiu i której tę szansę trzeba dać. Jest to pokolenie dużych potencjalnych możliwości i głównym zadaniem jest te możliwości rozwinąć, stwarzając ku temu społeczne i psychologiczne warunki. Wtedy na pokolenie to społeczeństwo może liczyć.

Jan WOLICKI

Z krajowego notatnika

W życiu politycznym kraju panuje immobilizm. Jest on wynikiem słabości partii, znużenia jej ekipy kierowniczej i panicznego strachu przed podjęciem jakiejś śmiałej, nowej polityki à la Rumunia. Partia wysila się, by wywołać wrażenie na zewnątrz, że wszystko funkcjonuje należycie. Faktycznie nikt w nic nie wierzy. Ludzie nie widzą żadnej alternatywy, czują, swoją bezradność, nie przewidują żadnych zasadniczych zmian. W łonie partii wzrasta oportunizm, można zauważyć coraz więcej objawów cynizmu i równocześnie uświadamiania sobie beznadziejności sytuacji. Winę za doprowadzenie do obecnego stanu rzeczy wszyscy przypisują Gomułce. Obciąża się I sekretarza, a także Zenona Kliszkę, uważanego przez wielu za złego ducha Gomułki, odpowiedzialnością za coraz mocniejsze wiązanie się Polski z Rosją Sowiecką, na skutek czego ponosimy straty natury politycznej i gospodarczej oraz za sprzeniewierzenie się ideałom, które sam głosił na przełomie lat 1956/1957. Nawet młodzież partyjna uważa, że skostniałe poglądy Gomułki i jego aparatczykowski nawyki udaremniają wyjście z impasu. W społeczeństwie nastroje są

coraz bardziej obojętne na to co się dzieje w partii. Bieda do kucza i wpływa na oziępienie zainteresowań dla polityki.

Sytuacja ekonomiczna Polski jest naprawdę fatalna. Występuje przy tym oburzający paradoks: przez wiele lat społeczeństwo oczekiwało na jakieś takie zaopatrzenie rynku. Ciągłe uganianie się za podstawowymi artykułami, wieczne oczekiwanie w kolejkach — mogło doprowadzić do szału każdego obywatela, nawet lojalnego członka partii. Obecnie wprawdzie jest nieco lepiej z zaopatrzeniem, jednakże zrodził się nowy, jeszcze bardziej dotkliwy kłopot: ludzie nie mają pieniędzy, stopa życiowa uległa więc dalszemu obniżeniu. Jednym słowem dwudziestoletni kontredans gospodarczy trwa... Nic nie ulega poprawie w tym względzie. Wprost przeciwnie — ceny skaczą do góry. Stosuje się przy tym przedziwne metody — pewne kategorie pracowników otrzymują minimalne dopłaty do pensji, które mają im wyrównać straty związane, na przykład, z podwyżką czynszów, ceny węgla i światła elektrycznego. Dodatek wypłacany jest pod warunkiem, że nie nastąpi żadna podwyżka zarobków. Przez pewien czas wszystko jest w porządku. Jednakże po kilku miesiącach pracownik otrzymuje podwyżkę, przez co automatycznie następuje zawieszenie dodatków pieniężnych. Oczywiście, że gazety robią wiele szumu wokół rzekomej podwyżki płac, pomijając milczeniem faktyczny stan rzeczy. Każdy zdaje sobie sprawę, że władze robią jakieś tajemnicze wysiłki, aby wybrnąć z tego zastoj, ale każda nowa decyzja w tym względzie tylko zaostrza sytuację. Nic dziwnego, iż rozgoryczenie i apatia — to najbardziej popularne nastroje w Polsce. Klęska ekonomiczna daje się odczuć nawet tym ludziom, którzy przez wiele lat zarabiali dobrze. Można zrozumieć powód zamrożenia zarobków pracowników kultury, wszelkiego rodzaju środowisk twórczych, gdyż ponoszą oni skutki popaździernikowych konfliktów z Gomułką. Ale czym, na przykład, narazili się partii lekarze, adwokaci, architekci, inżynierowie, a nawet górnicy. Jeden z moich znajomych, sztygar dołowy, z którym rozmawiałem niedawno w Wiedniu, twierdzi, że jego zarobki w ciągu 5 lat spadły o 40 procent! — I to przy bardzo ulgowych obliczeniach. Trudno powiedzieć jakie są przyczyny takiego stanu rzeczy. W zasadzie panuje pogląd, że tow. Wiesław nie jest autorytetem w sprawach ekonomicznych. W dalszym ciągu uchodzi on za człowieka dość uczciwego i skromnego, ale te cechy charakteru nie mogą rozwiązać problemów gospodarczych. Natomiast Gomułka jest nadzwyczaj apodyktyczny i wiele decyzji, w szeregu dziedzin, podejmuje samodzielnie, zbyt pochopnie, bez większej znajomości przedmiotu. Wszystko to wywołuje niechęć do partii. Bardzo znamienne są dane o przyroście członków i kandydatów PZPR z ostatnich lat. Są to zupełnie kompromitujące liczby — najniższe w okresie powojennym. Z całą pewnością jest to jakaś funkcja sytuacji ekonomicznej. Próby reform i zastosowania bardziej giętkiej polityki, wychodzące z kół gospodarczych, załamują się o brak decyzji lub strach przed wszelką innowacją, która mogłaby zagrozić

obecnemu systemowi politycznemu. Warto podkreślić, iż władze — jak nigdy dotąd — prowadzą wobec obywateli politykę gwałtownego drenażu pieniędzy. Papierosy — średnia podwyżka o 40 procent, głupi papierek, jakim jest paszport — w niektórych sytuacjach — kosztuje niekiedy do 7.000 złotych. Wycieczki zagraniczne (dotychczas były mniej więcej dostępne) kosztują nawet 20.000 — 35.000 złotych (fantastyczna kwota, obliczona chyba na milionerów: od dwudziestu do trzydziestu pięciu tysięcy od osoby!). Co prawda, nie są to — być może — sprawy zasadnicze, niemniej świadczą one o bardzo określonym, oburzającym stosunku państwa, tzw. socjalistycznego do człowieka pracy. Te ceny — to kpina! — Bez tych luksusów można żyć, ale kogo to wszystko drażni i oburza? Tych, którzy muszą żyć wraz z rodziną, za 1.500-2.000 złotych miesięcznie. Lub tych, którym podniesiono ostatnio płace (tzw. minimalne) z 750 na 850 złotych.

Z relacji osób przyjeżdżających z kraju wynika, że w strukturze władzy i mechanizmie rządzenia zachodzą charakterystyczne zmiany. Dziś nie można już mówić o scentralizowanym i jednolitym ośrodku władzy w PRL.

Komitet Centralny staje się dziś faktycznym parlamentem, który odbija różne tendencje i wpływy, a w jego łonie ścierają się partykularne interesy, frakcyjne i klikowe. Ulega również zmianom mechanizm sprawowania władzy. Fakt, że różne ministerstwa czy instytucje centralne stanowią domenę zwalczających się frakcji i grup, powoduje zwiększenie ich zakresu władzy — wzrasta ich samodzielność. Inna zmiana zanotowana w ostatnim czasie: walka frakcyjna nie toczy się wyłącznie jak dawniej w płaszczyźnie poziomej, na samym szczycie hierarchii partyjnej, lecz rozgrywa się także pionowo, przechodząc w dół drabiny aż do najniższego szczebla organizacji partyjnej.

W kołach żydowskich w Warszawie wzmaga się ostatnio popłoch. Szereg dziennikarzy, pracowników naukowych, funkcjonariuszy sektora kulturalnego i wysokich urzędników pochodzenia żydowskiego, ostrzega w rozmowach przed niebezpieczeństwem coraz bardziej rosnącego nacjonalizmu w Polsce. Trzeba stwierdzić, że dygnitarze pochodzenia żydowskiego systematycznie tracą grunt pod nogami. Niewątpliwie liczne ucieczki z Polski dygnitarzy partyjnych i rządowych wyżej wymienionego pochodzenia, przyspieszyły rozprawę polityczną z tymi ludźmi, gdyż ich lojalność wobec reżymu została postawiona pod wielkim znakiem zapytania. Dał zresztą jasno temu wyraz Władysław Machejek w jednym z artykułów opublikowanych w krakowskim „Życiu Literackim”.

Nawiasem mówiąc, ucieczka płk. W. Tykocińskiego nie wywołała takiej sensacji jak poprzednie ucieczki na Zachód. Po prostu ludzie, w pewnym stopniu, zdążyli przyzwyczaić się do tego, że skłonni do opuszczenia kraju w pierwszym rządzie są Żydzi. Poza tym Tykociński nie podaje żadnych rewelacji, gdyż to co on relacjonuje wywołało sensacje i było aktualne przed dziesięciu laty, ale nie obecnie; ponadto — trzeba wziąć pod uwagę

jeszcze fakt, że aparat propagandowy w Polsce nie próżnował i mimo wszystko potrafił wśród sporej ilości ludzi wyrobić do tej pory jakiś odruch niechęci do Tykocińskiego, jako do człowieka, który „rzuca oszczerstwa na PRL za walutę zachodnią”. W ten mniej więcej sposób większość przybyszów z kraju komentuje sprawę płk. Tykocińskiego.

Przybysze z kraju zgodnie twierdzą, że w ciągu ubiegłego roku wzrosło niewątpliwie zainteresowanie dla programu Radia „Wolna Europa”, przede wszystkim wśród środowisk twórczych i inteligencji. Zwiększyła się liczba słuchaczy zwłaszcza w dużych miastach. Przyczyniła się do tego *publicity* tego radia, niechęć uprawiana przez partię. Uwaga krajowych słuchaczy skupia się głównie na stronie informacyjnej, dotyczącej nie tylko Zachodu ale i kraju.

Sowiety za pośrednictwem swojej ambasady w Warszawie stale naciskają domagając się przeprowadzenia czystki i uwolnienia aparatu rządowego i partyjnego od elementów żydowskich. Ucieczki pułkowników — Światły, Monata i Tykocińskiego utwierdziły Moskwę w przekonaniu, do czego skrupulatnie przyczynił się aparat Moczara, że bez radykalnej czystki nie da się zapobiec stałemu przenikaniu na Zachód informacji, stanowiących mniej czy bardziej strzeżone tajemnice Bloku Wschodniego. Każda ciekawsza informacja jaka się przedostanie z Polski do prasy zachodniej, doprowadza do wściekłości odpowiedzialnych pracowników w ambasadzie sowieckiej w Warszawie. A więc sytuacja w jakiej się znaleźli b. „puławianie” jest nie do pozazdroszczenia — mimo, że jeszcze w okresie przed ucieczką Tykocińskiego Artur Starewicz był najpoważniejszym kandydatem na następcę ministra Rapackiego. Kandydaturze sprzeciwili się ostro Rosjanie — argumentując przebiegle, że ministrem spraw zagranicznych nie może być Żyd, zwłaszcza w momencie kiedy Związkowi Sowieckiemu i satelitom zależy na utrzymywaniu dobrych stosunków z Egiptem i innymi krajami arabskimi.

Trzeba przyznać otwarcie, że wszelkie represje i odsuwanie Żydów z wysokich stanowisk znajdują akceptację społeczeństwa. Tutaj komuniści mają niemalże całkowite poparcie z racji — niestety już tradycyjnego — polskiego antysemityzmu. Piszę niestety, ponieważ zawsze wykazujemy jakąś absurdalną niechęć do ułożenia poprawnych stosunków z mniejszościami, zamieszkującymi nasz kraj. Najnowsza nagonka antyżydowska rozgrywa się w kierownictwie rządu i partii. Jak wiadomo, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, czyli służba bezpieczeństwa, całkowicie rozprawiło się z Żydami. Te sprawy są znane i nie będę poświęcał im więcej czasu. Natomiast azylem żydowskim jest w tej chwili Ministerstwo Spraw Zagranicznych, gdzie urzędników pochodzenia żydowskiego z uporem broni min. Adam Rapacki. Prawdziwa panika zapanowała wśród nich, gdy szef resortu zachorował. Już wtedy mówiło się o zasadniczych zmianach personalnych w resorcie MSZ. Zagrożeni byli między innymi Milnikiel, Szymanowski, Lachs i inni. Rozpoczęła się cicha walka

o schedę po Rapackim. Do akcji przystąpił wiceminister Marian Naszkowski. Aby zwrócić uwagę społeczeństwa, że nie jest rzekomo Żydem — w opublikowanej przez siebie książce (wspomnienia, których nie czytałem) kazał zamieścić fotokopię przedwojennego dowodu osobistego, z którego ma podobno wynikać jego aryjskie pochodzenie. Anegdota na ten temat krąży wśród ludzi do tej pory. Po ograniczeniu pozycji żydowskich publicystów na terenie Radia i Telewizji i pewnego osłabienia ich wpływów w sektorze kulturalnym, przyszła kolej na resort handlu zagranicznego i spraw zagranicznych. Wprawdzie poprzysuwano wielu dygnitarzy pochodzenia żydowskiego w MSZ na niższe stanowiska, czystka w całym tego słowa znaczeniu, dzięki kurateli Rapackiego i częściowo Cyrankiewicza, jeszcze się nie rozpoczęła.

Odnosi się jednak wrażenie, że Żydzi orientują się w charakterze nadchodzących zmian, przewidując, że okres ich uprzywilejowanej pozycji z okresu bierutowskiego i ery Gomułki dobiega końca.

Przesunięcie Mieczysława Łobodycza, dotychczasowego dyrektora departamentu niemieckiego w MSZ, na stanowisko ambasadora w Oslo, jest na pewno obniżeniem rangi w hierarchii emezetowskiej. W związku z tym co przezorniejsi — korzystając ze stosunków — lokują się na intratnych posadach, które poza tym zawsze dają szansę odżegłowania z kraju (jak Tykociński). Robią to mimo istnienia szeregu instrukcji w tym względzie, np. dyrektywa, by nie wydawać nowych nominacji Żydom na stanowiska radców handlowych.

Funkcja ambasadora — to oczekiwanie na bieg wydarzeń przy dobrze zastawionym stole. Sądzę, iż nominacja Łobodycza nastąpiła po cichutku z jego własnej inicjatywy. Chodzą słuchy o służbowym przeniesieniu ponownie na placówkę zagraniczną Milnikiela, byłego ambasadora PRL w Londynie. Jest w tym jakaś metoda...

Znane są np. fakty podstępnych kroków Moczara skierowanych przeciwko Cyrankiewiczowi i tym wszystkim, którzy ośmielają się bronić Żydów.

Do Warszawy przybył Kazimierz Sidor, b. ambasador PRL w Kairze. Znajduje się on w rezerwie, ale lada moment może wyskoczyć bardzo wysoko! W każdym bądź razie zajmie jakieś eksponowane stanowisko w resorsie służby zagranicznej. Bardzo niepokoi to podopiecznych Rapackiego. Nawiasem mówiąc, niektórzy twierdzą, iż między Moczarem i Rapackim doszło do poważnej kontrowersji na tle odwołania Sidora. Rapacki chciał go zostawić jeszcze w Egipcie, bądź też od ręki zmienić mu posadę na inną, ale peryferyjną placówkę. Moczar wygrał! Ma swojego pupilka pod ręką! Nie wiadomo tylko, jak go ostatecznie wykorzysta. W każdym bądź razie Moczar ma coraz więcej do powiedzenia w kraju. To nie jest tylko szef służby bezpieczeństwa, ale również aktywny polityk w innych dziedzinach.

Do spraw nie zasadniczych ale ważnych należy odwołanie z Pragi dotychczasowego ambasadora, Franciszka Mazura. A więc

skończyła się dziesięcioletnia kadencja jednego z najbardziej nieprzejednanych stalinistów. Na jego miejsce mianowano b. redaktora naczelnego „Trybuny Robotniczej”, posła na Sejm, Włodzimierza Janiurka. Jest to wybijający się aktywista partyjny należący do średniego pokolenia. Urodzony na Śląsku, w roku 1961 przebywał w USA na zaproszenie Departamentu Stanu. Amerykanie nazwali go „praktycznym komunistą”. W lipcu 1964 roku, razem z rektorem Turskim z Uniwersytetu Warszawskiego wziął udział w konferencji „Okrągłego Stołu” we Florencji, poświęconej sprawie rozbrojenia i odprężenia międzynarodowego. Pomimo szeregu afer, w które Janiurek był zamieszany — ostatecznie wyładował na dość eksponowanym stanowisku. Prawdopodobnie dzięki poparciu Edwarda Gierka. „Praktyczny komunistą” był zamieszany — między innymi — w tzw. aferę samochodową R.S.W. „PRASA”. Janiurek, po złożeniu podania z odręcną akceptacją Artura Starewicza, otrzymał auto (chyba „Simcę”) z parku samochodowego „PRASY”. Za lekko używany samochód zapłacił kilkanaście tysięcy złotych, natychmiast „odstępując” go dalej za... 100.000 złotych. Afera wyszła na jaw. Okazało się, że wielu innych magnatów prasowych, między innymi b. szefowa „Walki Młodych” — Felicja Rappaport, zrobiła na tym fortunę. Z tego też powodu odszedł dyrektor naczelny R.S.W. „PRASA”, Zawadka. Afera przycichła, gdyż wzięło w niej udział zbyt wielu dygnitarzy. Z opisanych faktów wynika, że szef katowickiej gazety odszedł z prasy raczej z dyplomatycznej konieczności. Obecnie redaktorem naczelnym „Trybuny Robotniczej” został mianowany dotychczasowy kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR w Katowicach, Maciej Szczepański.

Odwolanie z Pekinu ambasadora Jerzego Knothe wiąże się z ogólną tendencją redukcji korpusu dyplomatycznego, utrzymywanego przez kraje wschodnio-europejskie w Chinach. Poza tym Knothe był prawie weteranem wśród tamtejszego korpusu dyplomatycznego. Podobno aktywizują się ostatnio ludzie dawnej grupy Romana Zambrowskiego (zwłaszcza z aparatu kultury, służby zagranicznej i nauki) pochodzenia żydowskiego, jak np. Leon Kasman, prof. Karol Lapter, Emanuel Planner, Juliusz Burgin, Gustaw Gottesmann, Juliusz Katz-Suchy, Stefan Arski, Maria Wierna, Jerzy Michałowski, Henryk Birecki, Jan Milnikiel, Wilhelm Billing, prof. Adam Schaff, prof. Manfred Lachs, Przemysław Ogrodziński, Henryk Landesberg, Adam Daniel Rotfeld i inni.

Jest to odpowiedź na nacjonalistyczną politykę prowadzoną przez „partyzantów” oraz sprzyjających im kół z czołówki b. grupy „natolińskiej” (Zenon Nowak, Franciszek Mazur, gen. Kazimierz Witaszewski, Bolesław Rumiński, Władysław Kruczek, Jan Ptasieński i szereg innych).

Jakie jest stanowisko Gomułki? Czy Gomułka jest antysemitą? Na pewno nie w sensie rasowym czy programowym. Natomiast niewątpliwie zgadza się w konkretnych wypadkach z podsuwanymi mu argumentami lub wprost z zarzutami formułowanymi

przez b. „natolińczyków” względnie przez „partyzantów”, że „liberałom” pochodzenia żydowskiego w aparacie partyjnym i państwowym nie można zbyt ufać. Nie można na nich polegać, skoro w okresie stalinowskim spełniali nadgorliwie wyznaczone im zadania, a po Październiku przeskoczyli skwapliwie i z podejrzaną żarliwością na orientację koegzystencjalną, ulegając kokietowaniu ich przez zachodnich progresistów, polityków i intelektualistów, reprezentujących często koła trockistowskie lub socjal-demokratyczne i reformistyczne. Znana jest niechęć Gomułki do przybyłych po wojnie z Zachodu Żydów: prof. Manfreda Lachsa, Juliusza Katza-Suchego, Gustawa Gottesmanna, prof. Karola Laptera czy Miry Michałowskiej i Stefana Arskiego. Gomułka stara się nie uderzać w Żydów bezpośrednio, ale jego otoczenie i środowisko związane z propagandą, kulturą, prasą i służbą zagraniczną rozszyfrowuje niektóre jego wypowiedzi na naradach wewnętrznych KC jako pośrednie atakowanie postawy żydowskich „liberałów”.

Na wiosnę 1962 roku, kiedy wyłoniła się grupa „partyzantów”, mówiono w kołach dziennikarzy, że dzieje się to za wiedzą i zgodą Gomułki. W okresie październikowym, Moczar i Korczyński wchodzili w skład ekipy najbliższych oddanych mu ludzi, obok Kliszki, Spychalskiego i Logi-Sowińskiego. Gomułka ma do „partyzantów” zaufanie, przede wszystkim jako do ludzi związanych z „narodem i partią”, którzy nie będą mu w żadnej konstelacji psuć szyków. Potrzebuje ich dziś jako nieodzowny czynnik dla realizacji swej koncepcji skonsolidowania partii w oparciu o silne centrum. Gomułka nie jest mściwy ale pamiętliwy i skoro sytuacja tego wymaga (jego zdaniem!) wyzyskuje obecność „partyzantów” jako przydatnego partnera dla szachowania „prawicowego” (ex-puławianie, inteligencja partyjna) skrzydła partii. Zresztą główne rysy charakteru Gomułki, jakie występowały w okresie powojennym w jego działalności politycznej, pozostały te same: podejrzliwość, skrytość, nieufność do liberalizujących intelektualistów i fachowców, aparatczykowski fanatyzm, skłonność do wglądania samemu w szczegółowe, nieraz zupełnie drobne, kwestie życia partyjnego oraz te natury ogólnopaństwowej, które dotyczą produkcji (wydajność, płace, zatrudnienie) i polityki ekonomicznej. Jego najbliżsi współpracownicy dawniej skarżyli się na utrudniony tryb pracy — obecnie przywykli do tego, do jego złych humorów i czekania nieraz tygodniami na decyzje. Stan zdrowia Gomułki jest raczej niezadawalający, aczkolwiek żadna nagła zmiana na gorsze nie nastąpiła. Podobno ma organizm bardzo wyczerpany i cierpi na niewydolność serca. Chociaż od dłuższego czasu krąży spekulacje na temat ewentualnego odejścia Gomułki, jego pozycja jest jeszcze — mimo znikomej popularności w społeczeństwie — na tyle mocna wśród partyjnych funkcjonariuszy, że nikt specjalnie nie wierzy w jego odejście. W każdym razie nie nastąpi to na skutek oddolnych, masowych nacisków; ludzie są apatyczni, przestraszeni, nie wierzą w skuteczność nowej, politycznej karuzeli. Gomułka był w okresie Października

wyrocznią — i nic dobrego później nie zrobił. Kto będzie lepszy? Społeczeństwo ma już za sobą 21 lat smutnych doświadczeń...

Przy wymienianiu następców Gomułki stale powtarza się nazwisko Edwarda Gierka, Osobiście nie wydaje mi się jednak możliwe żeby miał on szanse objęcia funkcji I sekretarza KC PZPR. Uchodzi wprawdzie za dobrego organizatora, ale spośród całej plejady potencjonalnych kandydatów, wyróżnia się chyba jedynie... znajomością języka francuskiego, poza tym jest to indywidualność bardzo przeciętna. Natomiast krajowi rozmówcy twierdzą, że Gierek jest najmniej kontrowersyjny spośród wszystkich kandydatów. Przemawia za nim długi staż partyjny, działalność wśród robotników, kierowanie najsilniejszą organizacją partyjną (na Śląsku) oraz nieangażowanie się w rozgrywkę frakcyjne. Wśród ludzi zainteresowanych w partyjnych rozgrywkach panuje przekonanie, że Gomułce udało się przy pomocy Zenona Kliszki, Józefa Cyrankiewicza, Edwarda Ochaba, Bolesława Jaszczuka i oddanych mu ludzi w aparacie centralnym i terenowym, doprowadzić do funkcjonującej dość sprawnie równowagi sił. Poświęcając jednym i ofiarowując możliwości oddziaływania drugim, rugując krańcowości i premiując postawy pojedyncze, oraz wygrywając umiejętnie nacjonalistyczne i antysemickie nastroje, Gomułka zdołał osiągnąć stan, który można określić jako pozorny konsonans w obecnym składzie KC w zasadniczych sprawach polityki zagranicznej i wewnętrznej. Ostatnio spotkałem się z kilkoma ciekawymi wypowiedziami na temat postawy „partyzantów”, którą przyrównuje się nieraz do polityki legionowej po I Wojnie Światowej. Rewindykacje „partyzantów” w zakresie uznania ich przeszłych „zasług” przez należyte, zwiększony udział w aparacie władzy, przypominają żywo roszczenia b. uczestników I Brygady Legionowej. Analogie widoczne są również w postępowaniu się przez obecny kierowniczy zespół „partyzantów” (podobnie jak ongiś przywódcy legionowi) charakterystyczną frazeologią patriotyczną oraz stawką w rozgrywce politycznej na przyciągnięcie sojuszników z młodzieżowych kręgów nacjonalistycznych. Po ostatnim zjeździe Z.B.oW.iD-u nowy zarząd wydał instrukcję dla oddziałów terenowych, która kładzie nacisk na wzmoczenie akcji werbunkowej, odrobienie zaległości nie tylko w stosunku do b. uczestników formacji komunistycznych czy lewicowych, ale także do b. członków „Batalionów Chłopskich” i A.K.

W instrukcji jest mowa o tym, że zgodnie z nowo przyjętym programem działania Z.B.oW.iD-u, należy możliwie szeroko otworzyć ramy organizacji dla wszystkich dawnych bojowników i działaczy ruchu oporu, niezależnie od formacji w jakich uczestniczyli (wyłącza się jedynie b. członków N.S.Z.-tu i innych „faszyzujących” oddziałów. Oczywiście działacze Stowarzyszenia „PAX”, należący do b. formacji wojskowych „Konfederacji Narodu” zostali zweryfikowani jako pierwsi, mimo że podporządkowali się Komendzie Głównej A.K. dopiero na wiosnę 1944 roku). Instrukcja nakazuje dalej zapoznać nowych członków ze statutem i za-

łożeniami programowymi Związku, który jest organizacją mającą za zadanie „włączyć do aktywnego udziału w budownictwie socjalistycznym wszystkie patriotyczne elementy, zasłużone w walkach o niepodległość kraju”. Jedną z głównych transmisji społecznych Z.B.oW.iD-u stanowi Liga Obrony Kraju (L.O.K.), która pod protektoratem Związku i Ministerstwa Obrony Narodowej tworzy obecnie tzw. „Oddziały Samoobrony” w rozmaitych stowarzyszeniach i zakładach pracy. Jedne z pierwszych takich oddziałów powstały przy „PAX-ie” oraz jego centralach wytwórczych podlegających tzw. Zjednoczonym Zespołom Gospodarczym. Z ramienia Ligi Obrony Kraju w zebraniach konstytuujących owe „Oddziały Samoobrony” przy „PAX-ie” wystąpiło trzech wyższych wojskowych: gen. Czesław Książarczyk, płk. Kazimierz Łukaszewski i ppłk. Jan Szymański. Dwaj ostatni wyszli z partyzantki alowskiej i zostali odkomenderowani do „akcji społecznej” w L.O.K. z Głównego Zarządu Wychowania Politycznego W.P.

Sprawa ucieczki Kazimierza Mijala jest w dalszym ciągu przedmiotem zainteresowania ze strony środowisk intelektualnych. Jeden z krajowych dziennikarzy powiedział mi, że casus Mijala jest niepokojącym sygnałem świadczącym, że „zamordyści” mają jednak wpływy. Ten stan rzeczy wzmacnia pośrednio wszelkie odcięcia byłej grupy „natolińskiej”. Wydaje się, że podstawowy schemat przedstawiony przez Witolda Jedlickiego w głośnym artykule pt. „Chamy i Żydy” („Kultura”, Paryż Nr 12/1962), dotyczący ugrupowań i walk frakcyjnych, jest po części nadal aktualny.

Na łamach prasy nazwisko Mijala nie jest wymieniane. Są zresztą w tym względzie wyraźne instrukcje. W społeczeństwie sprawa ta jest raczej przedmiotem dociekań i plotek. Mówi się, że Mijal otrzymał intratną posesję w Albanii, nie ma kłopotów materialnych i jednocześnie rozwija ożywioną działalność polityczną.

Centralny sztab polityczny i wydawniczy europejskich zwolenników linii chińskiej, mieści się w Belgii. Szereg doniesień z kraju potwierdza istnienie frakcji pro-chińskiej. Często wymienia się nazwisko gen. Józwiaka-Witolda, jako gospodarza sinologicznych spotkań. Józwiaka jednak nikt w Polsce poważnie nie traktuje, — „wstrętny starzec, nieuk wychowany na rewolucyjnym chlebie” — taką ma mniej więcej opinię.

Niedawno z płaczem — dosłownie! — żalił się jednemu ze znajomych, że po tylu latach pracy dla komunizmu odebrano mu służbowe auto, którym do niedawna dysponował. Polskim „chińczykom” nie przynosi laurów takie towarzystwo, zwłaszcza po doszlusowaniu Franciszka Mazura. W tych konwentykłach bierze nawet udział gen. Kazimierz Witaszewski, ale bardzo ostrożnie, aby nikt nie widział. Może to żart, ale słyszałem taką rzecz: Witaszewski wyrobił sobie prawo jazdy i sam prowadzi auto, aby pozbyć się świadka-szofera!

Ogólnie biorąc Chińczycy nie cieszą się sympatią w naszym kraju. Przeciwnie, ludzie panicznie ich się boją! Każdy przejaw

stalinizmu, pod przykrywką albańskiej „ortodoksyjności” czy „chińskiej rewolucji kulturalnej”, wzbudza w kraju niepokój. Zresztą reżymowa prasa robi wszystko co może, żeby Chińczyków ośmieszyć. Materiały opublikowane na łamach „Forum”, dotyczące pływackiego wyczynu Mao-Tse, wywołały w Polsce paroksyzm śmiechu. Sprawozdania korespondentów chińskich z Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, a także z Targów Lipskich, świadczą o chorobliwym schematyzmie i niesłychanej dyscyplinie politycznej tych ludzi. W tej sytuacji żadna aktywność ambasady chińskiej w Warszawie nie może wywołać dla nich pozytywnego oddźwięku.

Z drugiej strony społeczeństwo jest raczej zadowolone z zastrzegającego się konfliktu pomiędzy Pekinem a Moskwą, mimo że koncepcje polityczne Mao wzbudzają grozę.

Andrzej J. CHILECKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej J. CHILECKI, ur. w sierpniu 1935 r. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W okresie Października jeden z założycieli i członków Rady Rewolucyjnej Młodzieży w Zakopanem. Opuścił Polskę w 1959 roku uzyskując status uchodźcy politycznego w Austrii. Czynny jako publicysta w prasie austriackiej, zachodnio-niemieckiej i emigracyjnej. Mieszka stale we Wiedniu.

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Najnowsza historia Polski

Wywiad z gen. Bór-Komorowskim

Wywiad miał miejsce w Londynie, 42 Emperor's Gate, 17 maja 1965 r.

Zadający pytania: Prof. dr Janusz K. Zawodny — Profesor Nauk Politycznych, wykładowca Stosunki Międzynarodowe na Wydziale Nauk Politycznych. Wharton School, University of Pennsylvania, Philadelphia, U.S.A.

Odpowiadający na pytania: Generał Dywizji, Tadeusz Bór-Komorowski. Pseudonimy: „Lawina”, „Znicz”, „Bór”. — Dowódca Armii Krajowej, 3, Bowrons Avenue, Wembley, Middx., England.

Profesor: Panie Generale, jakie było założenie „Powstania Warszawskiego”?

Generał: Proszę Pana, to było kontynuowanie „Burzy” z liczeniem się z tym, że Rosjanie pod wpływem impetu i strat, z konieczności zajmą Warszawę.

Profesor: Na jakich podstawach Generał Monter oparł swój meldunek, że natarcie Rosjan na Warszawę jest faktem? Czy moje pytanie jest dobrze sformułowane?

Generał: Wypytywałem o podstawy meldunku. Monter mi powiedział, że miał te informacje „od wysuniętych patroli, znajdujących się na przedpolu”. Monter meldował zgodnie z sytuacją. Niech Pan spojrzy na Sowiecką Historię Wojny! Natarcie na Warszawę wyszło.

Profesor: Czy Generał rzeczowo, a raczej czy pesymistycznie czy optymistycznie przedstawiał gotowość materiałową oddziałów A.K. do akcji?

Generał: Ja Montera nie będę dezawuował. O to najłatwiej... On

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

oceny dawał rzeczowo. Ale niech Pan zważy, że rozdział broni między oddziały a taktyka natarć na umocnione obiekty i punkty, to inna historia. To co było ciężkim punktem oporu dla naszych oddziałów — to byłoby łatwym celem dla jednego działu przeciwpancernego, gdyby Rosja weszła.

Profesor: Czy były robione na Pana naciski, aby akcja w Warszawie zaczęła się wcześniej, jeśli tak, to przez kogo?

Generał: Takie presje były. Ze strony niektórych członków Sztabu A.K. Rzepecki i Okulicki, szczególnie Okulicki był za tym, jednak ja nie miałem (Generał podkreśla tonem głosu i powtórza), ja nie miałem wystarczających dowodów natarcia na Warszawę. Dopiero natarcie Sowieckie na Warszawę było momentem do wydania rozkazu na akcję wewnątrz miasta. Tylko koordynacja z zewnątrz z natarciem wewnątrz mogła zapewnić zwycięstwo. Proszę Pana, były ciągle wysiłki zapewnienia tej koordynacji bojowej; jednak wszystkie radiostacje i dowódcy A.K. na Wschodzie byli poaresztowani przez Sowieców. Poza tym Rząd w Londynie politycznie czynił to co powinien i co mógł.

Profesor: Panie Generale, dla czego Generał Sosnkowski, wiedząc o sytuacji w Warszawie i w Londynie nie wracał do Londynu z Włoch, mimo żądania Prezydenta?

Generał: Sosnkowski wyjechał, żeby tu nie być (w Londynie), o tym ciężko mówić. Jego stosunki z Mikołajczykiem i kwestia Powstania miały z tym związek. To że wyjechał to jest bajka w porównaniu z tym, że nie wrócił gdy Prezydent tego zażądał. To jest problem...

Sosnkowski powinien był przewidzieć, że walka o Warszawę przerodzi się w „Powstanie”. No i jak — dopiero po 8-10 dniach Rosjanie właściwie zadecydowali los Powstania.

Profesor: Panie Generale, czy Retinger miał jakiś wpływ na Sztab A.K. lub na decyzję o Powstaniu?

Generał: Nic podobnego, żadnego wpływu na decyzję o Powstaniu nie miał. Nawet mowy na ten temat z nim nie było. Myśmy mówili o sytuacji politycznej, wewnętrznej, w Kraju, ale nigdy o Powstaniu.

Profesor: Dlaczego Pan Generał nie zdecydował wcześniejszej kapitulacji?

Generał: Czekalem na pomyślniejsze okoliczności. Bezwarunkowo się poddać — to nie! Liczyłem, że Rosjanie zajmą Warszawę już od chwili, kiedy podjęli ofensywę na Pragę. No a później ich stanowisko uwypukliło się.

Profesor: Czy Pan Generał wiedział, i kiedy się Pan o tym dowiedział, że Alianci w Teheranie już oddali ziemie wschodnie Związkowi Sowieckiemu — to był listopad 1943?

Generał: Dowiedziałem się o tym już po Powstaniu, w obozie jeńców. Instrukcje Naczelnego Wodza zawierały jakieś aluzje ale bez szczegółów. Stanowczo stwierdzam, że w chwili wybuchu

Powstania w Warszawie nie wiedziałem, że Alianci już się zgodzili na oddanie naszych ziem. O tym że Rosja się ich domaga, tak, — o tym że już im to obiecano — nie.

Profesor: Panie Generale, gdyby Pan wiedział że Alianci już oddali ziemie wschodnie Związkowi Sowieckiemu i że Alianci nie udzielią efektywnej pomocy walczącej Warszawie, czy zdecydowałby Pan walkę w Warszawie?

Generał: „Burzę” bym kontynuował tak długo, jak Niemcy byli na naszych ziemiach, inaczej komuniści by nas posądzali o współpracę z Niemcami. Nie, walki bym nie skrócił nawet w Warszawie — bo myśmy nie byli przez Niemców uważani za żołnierzy przez długi czas — i byłaby rzeź.

Profesor: Jak Pan Generał ocenia Powstanie Warszawskie z perspektywy 21 lat?

Generał: Moim zdaniem, dziś jeszcze za wcześnie oceniać czy rezultat Powstania był dla sprawy polskiej pożyteczny czy też szkodliwy. Oceniać to przyszłe pokolenia. Nawet jeśli jest przegrana — to taki wysiłek moralny i fizyczny zostaje w pamięci społeczeństwa. Z tego wynikają siły i wartości kulturalne i moralne, których biernie społeczeństwo nie mogłoby z siebie wykrzesać. Jak dalece walki A.K. w Kraju wpłynęły na kształtowanie ducha i pozytywnych wartości Narodu polskiego, tego my nie możemy ocenić w tej chwili. To jest moje, proszę Pana, osobiste zdanie.

Profesor: Jaki krytycyzm zabolął Pana Generała najbardziej?

Generał: Tych ludzi, którzy w czasie okupacji byli w Kraju i którzy powinni wiedzieć o ówczesnych warunkach i sytuacji, a przekraczają istotę rzeczy. Bo to, że komuniści pyszczą, albo zagranica, to ja rozumiem. (Tu Generał zadumał się przez kilka minut. Widać było, że to, co chce powiedzieć, sprawia mu raczej ból).

Zarzut Sosnkowskiego nielojalności w stosunku do Naczelnego Wodza i działanie wbrew rozkazom Naczelnego Wodza. To bardzo bolesne. Jemu to chluby nie przeniesie, a zaciemnia obraz.

Wie Pan, co mnie także bardzo bolało, to ci, którzy przyjmowali naszych żołnierzy A.K. jako podpalaczy Warszawy, nawet na Zachodzie.

Profesor: Na Zachodzie? Czy może Pan Generał sprecyzować ten termin?

Generał: Mam na myśli wypadki w Dywizji Pancerniej oraz w 2 Korpusie.

Profesor: Panie Generale, jakie braki dotyczące historii Powstania Warszawskiego są najbardziej dotkliwe i co do tej pory nie było należycie opracowane przez historyków?

Generał: Materiały sowieckie oraz niemieckie powinny być więcej wykorzystane i cytowane. Dokładne opracowanie tematu „jaki był cel Powstania”, jest bardzo wskazane. Szczególnie, sprostowanie złośliwych tendencji. Widzi Pan, nie przegryziono różnicy

między „Powstaniem Warszawskim” a „Powstaniem Powszechnym”. Powstanie było jednym z największych wysiłków społeczeństwa na przestrzeni wielu lat i miało wpływ na formowanie wartości ideowych. Ten aspekt wkładu powinien być także opracowany.

Profesor: Pan Generał pozwoli na moją prywatną opinię. Patrząc na historię Warszawy na przestrzeni wieków — jest to bardzo bohaterskie miasto z własną tradycją rozwiązywania problemów. Czy uhonorowano to miasto w jakiś sposób?

Generał: Warszawa miała już nadane *Virtuti Militari* V klasy za 1939 rok. Nie ma precedensu nadawania innych klas miastom. Ja osobiście odmówiłem przyjęcia *Virtuti Militari* II klasy już po wojnie.

Profesor: Bardzo dziękuję Panu Generałowi za wywiad.

Generał: Służę Panu chętnie wszelkimi informacjami, kiedy tylko będą one Panu potrzebne.

Autor wywiadu dziękuje The Hoover Institution on War, Revolution, and Peace, Stanford University, Stanford, California, za pokrycie części wydatków, związanych z badaniami nad Powstaniem Warszawskim, przeprowadzonymi w Londynie w 1965 roku.

Wojna i pokój (IV)

Zakończyłem artykuł poprzedni streszczeniem poglądów Piłsudskiego na sytuację w początkach 1920 roku. Jego końcowa uwaga, że po incydencie dzienikinowskim „większe trudności stanęły na naszej drodze”, dotyczyła dwu faktów, które wówczas nastąpiły. Były to — po pierwsze — daleko idące zmiany w układzie stosunków wśród państw zwycięskiej koalicji i w ich polityce rosyjskiej; po drugie — podjęta równocześnie przez rząd sowiecki „ofensywa pokojowa” przeciw Polsce, która odniosła nadspodziewane sukcesy w Anglii, a — co dziwniejsze — znalazła dość niebezpieczny oddźwięk i w Polsce.

Już obrady Rady Najwyższej z dnia 8 grudnia 1918 r. przyniosły sensacyjne *novum*: przejście od aktywnych działań przeciwko bolszewizmowi do pasywnej taktyki otoczenia Rosji sowieckiej „pierścieniem drutów kolczastych”. Oznaczało to nie tylko zaniechanie czynnej pomocy dla antybolszewickich ruchów wewnętrznych, lecz i skazanie zagrożonych przez „rewolucję z

zewnątrz” sąsiadów Rosji na biernie wyczekiwanie, kiedy czerwona armia do tego zadania przystąpi.

Wkrótce odszedł od władzy we Francji Clémenceau; już o kilka miesięcy wcześniej skończył się wpływ prez. Wilsona w sprawach europejskich; wzmożło się więc niezmiernie znaczenie rządu brytyjskiego i — personalnie — premiera Lloyd George'a. Jego też stanowisko we wszystkich sprawach starego kontynentu zaczęło odgrywać przemożną rolę. Nie wróżyło to nic dobrego, boć ten człowiek, który przed pierwszą wojną światową wykazał niepospolite talenty męża stanu w wewnętrznej polityce swego kraju, a później przyczynił się w walnie do zwycięstwa 1918 roku — był po prostu kłęską żywiołową w polityce międzynarodowej. Nie mam tu bynajmniej na myśli jego słynnych lapsusów w dziedzinie geografii; nie był on jedynym politykiem angielskim któremu to się zdarzało, a ci co mu z tego robili zarzuty częstokroć sami nie wiele więcej wiedzieli; ale w dwu najważniejszych wówczas zagadnieniach o dalekosiężnym znaczeniu na przyszłość — w swej polityce niemieckiej i rosyjskiej — popełniał błędy kardynalne.

Zagadnienie pierwsze wykracza poza czasy które omawiam; natomiast drugie jest z historią lat 1918-20 najściślej związane. Zachodzi jednak wyraźna różnica: o ile w pierwszym, niemieckim, Lloyd George był trwale konsekwentny, o tyle w drugim — Rosji i bolszewizmowi — zmieniał wciąż stanowisko, z reguły na coraz gorsze. Deklarował publicznie, że jest wrogiem bolszewizmu; mówił, że swymi metodami masowego terroru i zagarniania władzy przemocą może on tylko zaszkodzić postępowi świata. Każdą swą kolejną zmianę w taktyce wobec Rosji sowieckiej przedstawiał jako najlepszą drogę do obalenia bolszewizmu. Zobaczmy za chwilę gdzie na tej drodze wylądował.

W ciągu stycznia i lutego 1920 r. Lloyd George przeprowadził szereg rozmów z przedstawicielami innych państw — między innymi z polskim ministrem spraw zagranicznych, St. Patkiem, na temat sytuacji w Rosji sowieckiej oraz położenia państw graniczących z nią od zachodu. Poglądy premiera brytyjskiego były następujące:

- 1) Rosja sowiecka jest już skłonna do liberalizmu i zaniechania terroru.
- 2) Rosja sowiecka nie jest zagrożeniem dla sąsiadujących z nią od zachodu państw — w szczególności dla Polski — bo są one zbyt ubogie, aby Rosja mogła ich potrzebować.
- 3) Państwa Europy zachodniej cierpią na brak żywności, którą Rosja sowiecka ma w nadmiarze.

Na podstawie tych przesłanek wystąpił Lloyd George — 14 stycznia 1920 r. — na posiedzeniu Rady Najwyższej, z następującą koncepcją: należy nie tylko przerwać wszelką interwencję przeciwko Rosji sowieckiej, ale nawet zaniechać jej blokady gospodarczej. Przeciwnie, należy podjąć handel z „narodem rosyjskim” za pośrednictwem rosyjskich organizacji kooperatywnych.

W ten sposób Rosja będzie zmuszona do zmiany swego ustroju na bardziej liberalny.

Konkluzję premiera brytyjskiego zacytuję dosłownie:

„Z punktu widzenia wymiany handlowej i cen rosyjskie dostawy (dla zachodu Europy) mają żywotne znaczenie. Z drugiej strony, ta metoda spowoduje zanik bolszewizmu. Z chwilą kiedy wprowadzimy handel z Rosją — komunizm upadnie” (podkr. moje).

Nie zdziwiłbym się, gdyby czytelnikowi wydała się moja reakcja w tym miejscu trudna do uwierzenia. Podam więc od razu gdzie może znaleźć odnośnią dokumentację: w pracy prof. T. Komarnickiego „The Rebirth of the Polish Republic”, str. 504-6 oraz 510-13.

Istotnie — zarówno konkluzja Lloyd George'a, jak i przesłanki na których się opierała, były wręcz sprzeczne z rzeczywistością. Quasi-kooperatywy, mające rzekomo reprezentować „naród rosyjski” a nie rząd sowiecki, były po prostu organem pozostającym pod rozkazami tego ostatniego. Żadne nadmiary żywności w Rosji ówczesnej nie istniały. Jej miasta były wygłodzone, najżyźniejsze obszary produkcji zbożowej leżały odłogiem. O liberalizacji ustroju nikomu się nie śniło. Czerezwyczałka Dzierżyńskiego szalała. Zapowiedzi marszu czerwonej armii na zachód proklamowane były szeroko i otwarcie. Jeśli co w tym wszystkim było realne, to perspektywa *dostaw angielskich dla Rosji*; ale w jaki sposób miało to przynieść niezwałoczny upadek bolszewizmu, pozostanie na zawsze tajemnicą Lloyd George'a i jego doradców.

Niestety, realne były również — i dotkliwe dla nas — skutki „handlowego” nastawienia rządu brytyjskiego. Już 5 stycznia, gdy pod obrady Rady Najwyższej wpłynął wniosek rządu polskiego o pozwolenie na zakup broni i amunicji w Niemczech, poparty przez marsz. Foch'a, reprezentant rządu brytyjskiego założył sprzeciw; uznał za konieczne zbadanie czy rzeczywiście Polska tego potrzebuje (udzielano poprzednio takiego pozwolenia innym państwom) i czy nie „ukrywa się za tym chęć nabywania *tanim kosztem* amunicji niemieckiej, co *byłoby sprzeczne z interesami handlowymi aliantów*”. Sir Eyre Crowe, wypowiadając ten splot ignorancji (sytuacja finansowa Polski była rządom zachodnim znana) i cynizmu w traktowaniu pomocy dla Polski jako *business'u* — wykroczył też poza swoje kompetencje; przypisał bowiem ten motyw wszystkim aliantom. Został natychmiast zdezwuowany przez G. Clémenceau, który oświadczył się za wzmocnieniem Polski, „jako najsilniejszej bariery przeciw bolszewizmowi”, biorąc też pod uwagę „znaczenie jej strategicznej pozycji w razie trudności ze strony Niemiec” (zob. w cytowanej już pracy T. Komarnickiego, str. 519-21).

Styczniowe koncepcje Lloyd-George'a nie oznaczały bynajmniej rzeczywistego uzgodnienia poglądów wśród państw sprzymierzonych. Nie mówię już o beznadziejnej koncepcji obalenia bolsze-

wizmu przez handel z Rosją, która dowodziła tylko jak poważne sukcesy odniosła w Anglii „ofensywa pokojowa”, skoro nie tylko ugrupowania lewicowe, ale i szef rządu poszedł na jej lep; nie kto inny, jak panowie Krassin i Kamieniew-Rosenfeld stali się jego pośrednimi doradcami. Chodzi mi o opinię i rady, które otrzymywała Polska, gdy w drugiej połowie stycznia minister spraw zagranicznych S. Patek odbył objazd stolic Europy Zachodniej, chcąc poznać ich stanowisko w polityce rosyjskiej. W każdym wypadku otrzymywał co innego.

W Paryżu Millerand obstawał stanowczo przy nieuznawaniu rządu sowieckiego i przeciw wdawaniu się z nim w układy pokojowe przez Polskę. Do podobnego stanowiska przychyłano się w Rzymie. Wprost przeciwne było zdanie premiera Lloyd George'a w Londynie.

Premier brytyjski zastrzegał się (26 stycznia 1920 r.), że decyzja o dalszej wojnie lub pokoju między Polską a Rosją sowiecką musi być powzięta przez Polskę na własne ryzyko i żadne rady ze strony rządu brytyjskiego nie mogą upoważniać jej do oczekiwania pomocy angielskiej. Udzielał jednak rady zaprzeczenia dalszej wojny, motywując to dość szczegółowymi argumentami. Jego zdaniem bolszewizm nie stanowi „poważnego niebezpieczeństwa militarnego” na zewnątrz. Twierdził, że to polskie wojska posunęły się poza swe narodowe granice i zajmują znaczne obszary zamieszkałe w poważnej większości przez Rosjan. Na uwagę Patka, że ludność tych obszarów wzywała Polskę do obrony od bolszewickiego ucisku, Lloyd George odrzekł, że oczywiście hasło samostanowienia jest bardzo pociągające i że rozumie iż każdy przed kim stoi wybór polskich czy bolszewickich rządów będzie wolał polskie, ale to nie jest miarodajne.

Znany też raport ambasadora Stanów Zjednoczonych, Davisa, o jego rozmowie z Lloyd George'm na temat sytuacji między Polską a Rosją w tym czasie. Lloyd George powtórzył w niej swe twierdzenie, że Polska obstaje przy zatrzymywaniu obszarów bezspornie rosyjskich, co jest sprzeczne z zasadami konferencji pokojowej; dodał, że jeżeli rząd bolszewicki z tego tytułu odmówi pokoju i zaatakuje Polskę w celu odebrania terytoriów rosyjskich — nie będzie możliwe dla rządu brytyjskiego otrzymanie zgody opinii publicznej na wojskową czy finansową pomoc dla Polski. Ale zapytany przez Davisa jakie są etnograficzne granice na odnośnym terytorium, Lloyd George przyznał się do braku znajomości tej sprawy (*he professed himself in ignorance*)...

Ujawnienie tak głębokich sprzeczności w rosyjskiej polityce mocarstw zachodnich, co przywiózł jako wynik swej podróży minister Patek, wykluczało po prostu osiągnięcie celu, do którego przez poprzednie półrocze uporczywie dążył Piłsudski oraz dyplomacja polska w czasie rządów Paderewskiego i Skulskiego. Celem tym było osiągnięcie wspólnego planu polityki mocarstw zachodnich oraz państw bezpośrednio z Rosją sąsiadujących tak, aby mogły one wziąć udział w wykonaniu tego planu i mogły wiedzieć czego mają od Europy Zachodniej oczekiwać. Sytuacja

wymagała szybkich decyzji, szczególnie w stosunku do Polski; nie tylko dlatego że była w pierwszym rządzie zagrożona, lecz i dlatego, że mogła być źródłem najlepszych informacji co do stanu rzeczy w Rosji i do istotnych zamierzeń jej władców; oraz dlatego, że do wykonania ewentualnego planu mogła wnieść najpoważniejszą potencjalnie siłę wojskową, pod warunkiem — oczywiście — należytej pomocy w uzbrojeniu i zaopatrzeniu materialnym. W tym kierunku działał Paderewski w Paryżu, E. Sapiaha w Londynie i sam Piłsudski w Warszawie w rozmowach z szefami dyplomatycznych placówek mocarstw zachodnich i ich misji wojskowych. Przy wzrastającej wciąż wadze polityki brytyjskiej — w tym kierunku zwrócony był największy wysiłek. Z punktu widzenia ściśle militarnego, Londyn był również niezmiernie ważny ze względu na Gdańsk; bo zarysowywały się już wyraźnie trudności dla lądowych dostaw dla nas z zachodu. W Gdańsku zaś rządził — oficjalnie z ramienia Ligi Narodów i Rady Najwyższej, a *de facto* z ramienia Lloyd George'a — Sir Reginald Tower. (Ten sam właśnie, który w kilka miesięcy później — 29 lipca 1920 r. — gdy armie Tuchaczewskiego przekraczały Bug, zakazał wyładowywania wszelkiego zaopatrzenia wojennego dla Polski w porcie gdańskim; nawet wtedy kiedy bolszewicy byli w pełnym odwrocie spod Warszawy, 23 sierpnia, nie wpuścił on do portu krążownika francuskiego „Guyedon”, wiozącego broń i amunicję dla armii polskiej).

Tak więc podboje propagandy sowieckiej w Anglii były dla nas zagrożeniem poważnym, bo utrudniały pomoc ze strony innych aliantów.

Trzeba tu zarejestrować, że niezwłocznie po obradach Rady Najwyższej z 14 stycznia, szefowie alianckich placówek dyplomatycznych w Warszawie — zapoznani już dostatecznie z sytuacją — przestrzegali swe rządy przed niebezpieczeństwem bolszewickim, podnosili znaczenie Polski dla obrony interesów Europy i domagali się szybkich decyzji. Czynił to poseł włoski Tomassini. Pisał też poseł Stanów Zjednoczonych, H. Gibson, prosząc o instrukcje Sekretariatu Stanu, dn. 17 stycznia 1920 r.:

„Sukces w kampanii przeciwko Polsce przyniósłby rządowi sowieckiemu tryumf w Europie Wschodniej i wielkiej części Azji i dałby zwiększony impet ruchowi bolszewickiemu w całym świecie”.

Nie znalazł jednak posłuchu u swego rządu.

Podkreślić warto, że również poseł angielski w Warszawie, Sir H. Rumbold pisał 19 stycznia w raporcie do Londynu:

„Wydaje się jasne, że gdyby Polska bariera przeciw bolszewizmowi przestała istnieć... stworzyłoby to bardzo poważny stan rzeczy dla Europy centralnej i mocarstw zachodnich”.

Nie wpłynęło to na politykę Lloyd George'a.

Co więcej — w miesiąc potem, 24 lutego 1920 r., potrafił on — w trudny do zrozumienia sposób przemycić swe własne poglądy w uchwałę Rady Najwyższej mocarstw sprzymierzonych, ma-

jącej być instrukcją dla narodów sąsiadujących z Rosją. Krótko mówiąc, był to elaborat pełen sprzeczności; wytknęła je natychmiast prasa zachodnia — „Temps” w Paryżu i „Times” w Londynie. Ponadto instrukcje te przestrzegały nie Rosję Sowiecką, lecz właśnie jej sąsiadów zachodnich, przed dążeniami agresywnymi; zaś w razie agresji bolszewickiej obiecywały ewentualną interwencję mocarstw dopiero wtedy, kiedy mogłaby ona — według starego przysłowia — pomóc tyle co umarłemu kadzidło. Uchwałę tę znajdzie czytelnik w cytowanej już pracy prof. T. Komarnickiego, str. 527; w związku z tym str. 522-3.



Data 24 lipca zbiega się z równie ważną datą w wewnętrznej polityce polskiej, co nas przenosi zarówno do decyzji militarynych, jakie stanęły wówczas przed Polską jak i do zagadnienia polityki federacyjnej.

Od frontu dyplomatycznego do wewnętrznego

Gdy bolszewicka propaganda pokojowa osiągnęła tak daleko idące wyniki w Anglii — nie uniknęliśmy jej wpływu i w Polsce. W ciągu lutego w Sejmie rozpoczęta została akcja za przystąpieniem do układów pokojowych z Rosją sowiecką, co mogło stworzyć dla rządu i naczelnego dowództwa poważne komplikacje. Przewodził w niej pos. Stan. Grabski, przewodniczący komisji Spraw Zagranicznych. Było to zastanawiające, gdyż musiał on wiedzieć o radach udzielonych min. Patkowi w Paryżu, a stronnictwo nar. dem., do którego należał, zwykle obserwowało zasadę stosowania się do polityki francuskiej.

Sądzić wolno, że przeważała inna zasada tegoż stronnictwa — stawianie oporu wszystkiemu, do czego dążył Piłsudski. A nie było tajemnicą dla górnych sfer sejmowych, że daleko już zostały posunięte przygotowania do realizacji polityki federacyjnej, od czasu uzyskania dla niej sankcji przez rząd Paderewskiego.

Kulminacyjnym punktem akcji St. Grabskiego stało się posiedzenie połączonych komisji Spraw Zagranicznych i Spraw Wojskowych, dnia 24 lutego. Nie osiągnął on jednak celu, którym było położenie przez Sejm ręki na pertraktacjach pokojowych. Rząd L. Skulskiego, w pełnym porozumieniu z naczelnymi władzami wojskowymi, bronił tezy następującej: Uchwała Sejmu z 23 maja poprzedniego roku akceptowała zasadnicze wytyczne polityki wschodniej Rzplitej, których rząd zamierza trzymać się niezmiennie. Domaga się więc w tych ramach oraz w ramach akcji strategicznej, niezbędnej dla bezpieczeństwa państwa — wolnej ręki do działania. W toku debaty rząd zadeklarował:

„Polska prowadzi działania wojenne wyłącznie w obronie żywotnych interesów państwa i narodu, a nie w celach zaborczych. Polska musi domagać

się ostatecznego unicestwienia rozbiorów i krzywd dziejowych, nie pozwalających na ustalenie dobrych stosunków sąsiedzkich w przyszłości między narodem polskich a rosyjskim; ma prawo i obowiązek upominać się aby na obszarze, objętym granicami z roku 1770, a więc i na ziemiach pozostających jeszcze pod władzą sowiecką, ludności dana była możliwość swobodnego wypowiedzenia się co do przynależności państwowej. Na tych zasadach i po porozumieniu się z mocarstwami sprzymierzonymi i państwami współzainteresowanymi — oprze rząd polski odpowiedź dla rządu sowieckiego” (podkreślenia moje).

Gdy stanowisko rządu poparł również, z prawego skrzydła, „Klub Pracy Konstytucyjnej” — rząd miał większość zapewnioną. St. Grabski musiał oporu zaniechać. Zapadła uchwała, że komisja „przyjmuje do wiadomości zasady projektowanej przez rząd odpowiedzi”.

Pozostała zatem w nienaruszonej mocy akceptacja przez Sejm polityki federacyjnej. Ponadto — rzecz w owej chwili najważniejsza — uzyskał rząd dla siebie, a przede wszystkim dla Naczelnego Wodza, na następne dwa miesiące, swobodę działań wojskowych i politycznych, nierozłącznie z nimi związanych.

Rząd L. Skulskiego wygrał więc ważką batalię na froncie wewnętrznym. W Sejmie panowała wówczas powszechna opinia, że rząd zawdzięczał ten sukces głównie gen. K. Sosnkowskiemu; rozwinął on znakomitą i przykonywującą argumentację na decydującym posiedzeniu połączonych komisji; ale i w ciągu kilku tygodni poprzednich, gdy sprawa była przedmiotem narad i rozmów wśród starszyny parlamentarnej, jego niezwykły dar perswazji, zawsze głęboko sięgającej w dane zagadnienie, wywarł wpływ należyty. Nie można zapominać, że walcząc w Sejmie o wolną rękę dla Naczelnego Wodza, Sosnkowski miał ciężki handicap: nie mógł wytaczać tych argumentów, które ujawniałyby nasze własne braki w przygotowaniach do bliskiej już ostatniej fazy rozprawy wojennej. Przez pewien czas zatem i nam — nie tylko Moskwie — potrzebna była zwłoka. Ale w ten aspekt sprawy nie mógł być, rzecz prosta, wtajemniczany nikt oprócz tych, w rządzie i w wojsku, którzy niezbędnie wiedzieć musieli.

W ciągu najbliższych dwu miesięcy wszystkie działania po obu stronach frontu — włącznie z „dymną zasłoną” pokojowych ofert sowieckich — stały już pod znakiem strategii i precyzyjnej gry o czas. Do Naczelnego Wodza należały więc decyzje; ale rozważania do nich prowadzące musiały się odbywać w Sztapie Generalnym, nie zaś w Sejmie czy jego komisjach. Jednakże wykazane jak gdyby w dniu 24 lutego zrozumienie dla tego stanu rzeczy — nie przetrwało długo. Gdy Naczelnny Wódz i rząd przystąpili w ciągu marca i kwietnia do wykonania kolejnych zadań, mieszczących się całkowicie w ramach złożonych w Sejmie i akceptowanych deklaracji — podniosła się przeciwko temu burza w opozycyjnej prasie i na terenie parlamentarnym.

W pierwszej połowie marca Naczelnny Wódz zarządził niezbędną i ważną operację na Kalenkowicze i Mozyrz, przeprowadzoną zwycięsko przez Gen. Wł. Sikorskiego; w końcu marca rząd

odpowiedział na sowiecką propozycję rozpoczęcia pertraktacji, stawiając jako warunek miejscowe tylko zawieszenie broni na odcinku Borysowa, gdzie miały się spotkać układające się strony. Zostało to odrzucone przez Moskwę, która domagała się zawieszenia broni na czas pertraktacji wzdłuż całego frontu. W rezultacie, 20 kwietnia zapadła i ogłoszona została decyzja rządu polskiego zaniechania pertraktacji; konieczność tego kroku naświetla za chwilę. Wreszcie podpisany został układ polityczny i wojskowy z rządem Ukrainy Naddnieprzańskiej atamana Petlury — ogłoszony dnia 22 kwietnia, a w trzy dni później Piłsudski na czele wojsk polskich i ukraińskich ruszył na Kijów.

Strategia i polityka; program federacyjny a wyprawa kijowska

Znaną jest rzeczą, że naginanie strategii do polityki prowadzić może do ciężkich błędów w prowadzeniu wojny. Otóż — w sytuacji z 20 kwietnia 1920 r. — te same decyzje były konieczne dla celów strategii obronnej, jak i dla dalej sięgającej polityki Rzplitej; te, które zostały powzięte, w żadnym wypadku nie zaszkodziły w drodze do końcowego zwycięstwa; przeciwnie, przyczyniły się doń.

Jak wiemy — generalny cel Moskwy „operacja Wisła” z dalszymi perspektywami na zachód — pozostał bez zmiany; rok doświadczeń pouczył tylko Lenina i jego fachowych doradców, że płonne są rachuby na rewolucję wewnętrzną w Polsce, czy słabość jej sił zbrojnych; że tylko ilość i siła czerwonych dywizji zadecyduje. Toteż za „zasłoną dymną” dyplomatycznych ofert od początku i z rosnącą szybkością trwała koncentracja ich dywizji na naszym froncie. W początku stycznia były tu 4 dywizje piechoty i 1 brygada kawalerii; z początkiem marca stało już 8 dywizji piechoty i 4 brygady kawalerii; w połowie kwietnia siły sowieckie wzrosły czterokrotnie — do 16 dywizji piechoty. Zaś około 20 kwietnia pięciokrotnie — do 20 dywizji piechoty i 3 dywizji kawalerii. Z później ogłoszonych źródeł sowieckich wiemy, że osiągnięto w ten sposób ilość wojsk potrzebnych według planu sztabu generalnego czerwonej armii do skutecznej inwazji, z warunkiem inicjatywy po ich stronie. Wiemy też, że plan operacji i jej kierunek był ustalony definitywnie już 10 marca, w Smoleńsku, przez ówczesnego wodza naczelnego Serg. Kamieniewa. Ale, według informacji polskiego sztabu generalnego, wojska te potrzebowały jeszcze czasu na odpoczynek po forsowanych marszach, uzupełnienia i pełne wyekwipowanie.

Tu dochodzimy do zagadnienia, dlaczego Lenin nie chciał się zgodzić na warunek polski — miejscowego tylko zawieszenia broni — i żądał rozciągnięcia go na całą długość frontu. Mianowicie, warunki zawieszenia broni na odcinku Borysowa mogły zostać ustalone w ciągu jednego lub paru dni; natomiast pertraktacje o to samo na przestrzeni 1000 km. — z zapewnieniem należytej kontroli — mogli bolszewicy przeciągać przez całe tygodnie.

Tego czasu nie mógł już polski wódz naczelny nieprzyjacielowi przyzwolić. Byłoby to ryzyko zbyt niebezpieczne. Stąd decyzja przerwania przebiegłej gry Lenina i zerwanie pertraktacji. To jednak nie wystarczało; podjęcie inicjatywy prewencyjnej z naszej strony wymagało wyboru miejsca w ten sposób, aby nieprzyjaciel nie mógł zastosować klasycznej dla Rosji gry przestrzenia, aby musiał przyjąć przedwczesną dla siebie rozprawę natychmiast. Piłsudski miał wszystkie dane, włącznie z wynikiem pertraktacji mikaszewickich, że niezawodnym wrażliwym miejscem jest ukraiński odcinek frontu. Taki więc był *strategiczny* sens operacji kijowskiej. Znajdziemy bez trudu potwierdzenie i zrozumienie tego w następujących wypowiedziach, od oficjalnej historii sowieckiej poczynając:

„Chcąc uprzędzić swoją ofensywą atak wojsk sowieckich, Połsudski postanowił skierować swój atak na Ukrainę” (*Graždanskaja wojna*, t. III, str. 318).

Dowódca 4 armii sowieckiej E. N. Siergiejew wypowiada się obszerniej:

„Inicjatywa była w rękach Polaków. Szeroko rozwinięty ruch armii polskiej na południowo-zachodnim froncie, wzięcie Kijowa i owdładnienie przeprawą przez Dniepr, zastały nasze wojska zachodniego frontu w stanie niegotowości do natarcia — były one niedostatecznie jeszcze uzupełnione, źle wyekwipowane” (*Od Dźwiny do Wisły*, str. 5).

Ze strony angielskiej, marsz. W. E. Ironside, w *Encyclopaedia Britannica*, tak pisze o ówczesnej sytuacji na froncie polsko-rosyjskim:

„Sowiety rozpoczęły koncentrację swych wojsk ku zachodowi... doprowadziły w marcu liczbę swoich wojsk skierowanych przeciw Polakom do dwudziestu dywizji oraz trzech dywizji kawalerii. Polska zdecydowała, że nie może czekać spokojnie na nieunikniony atak sowiecki, przez który mogły być jej siły zniszczone i że musi działać natychmiast” (podkreślenia w cytatach — moje).

W. Churchill, minister wojny w rządzie Lloyd George'a pisząc wspólnie (21 maja 1920 r.) dla swego szefa i kolegów memorandum o stanie rzeczy w Europie wschodniej — podając stan bojowy wojsk sowieckich na froncie polskim w połowie kwietnia, zaznacza że ta koncentracja nastąpiła właśnie w czasie pokojowych propozycji Moskwy i konkluduje:

„Wszystko wskazywało na to, że ofensywa przeciwko Polsce miała być podjęta. Polacy wnioskowali zatem, że sowieckiemu rządowi chodziło tylko o zwłokę i że pragnął w tym czasie podrywać przez propagandę ducha w szeregach polskiej armii i ludności. Rząd polski pod kierownictwem Piłsudskiego, dawnego działacza rewolucyjnego przeciw rządowi carskim, rozumiał oczywiście bardzo wnikliwie politykę Rosjan” (W. Churchill *The Aftermath*, str. 264).

Zupełnie ściśle też stwierdza, ze strony polskiej, prof. M. Kukiel:

„Klęska poniesiona na Ukrainie skłoniła Kremlin do uderzenia na północy, nie czekając na ukończenie koncentracji” (*Dzieje Pol. porob.*, str. 577).

Przytaczam te cytaty, podkreślając, że wszystkie one, nie biorąc zupełnie pod uwagę momentów natury politycznej (program federacyjny), potwierdzają, że wyprawa kijowska nie była akcją zaczepną lecz strategiczną koniecznością obronną, która cel swój osiągnęła.

Równie niewątpliwą koniecznością były towarzyszące temu kroki polityczne. Wojska polskie nie mogły iść na Kijów same i bez wezwania ze strony narodu ukraińskiego. Przypominam czytelnikom przestrożę Clémenceau i Foch'a z września 1919 r. o niebezpieczeństwach takiego kroku. Rozumiał to wcześniej Piłsudski, bo już w lipcu tegoż roku podjął odnośne działania. Pisze o tym w cytowanej książce prof. M. Kukiel:

„Dramat wojny polsko-ukraińskiej się skończył. Myśl Naczelnika Państwa już się zwracała ku zamianie wrogów w przyjaciół i towarzyszy broni w walce o naszą i ich wolność” (str. 566).

Istotnie, natychmiast po zakończeniu walk o Małopolskę wschodnią nawiązane zostały pertraktacje poufne z atamanem S. Petlurą. Już we wrześniu 1919 r. potoczyły się pomyślnie rokowania z „Dyrektoriatem Ukraińskiej Narodowej Republiki”. Jednocześnie rozpoczęte zostało formowanie kadrowych dywizji ukraińskich. Po ogłoszeniu ugody, w kwietniu 1920 r., ataman S. Petlura w odezwie do „narodu Ukrainy” mówił:

„Dotychczas naród ukraiński walczył sam, dzisiaj bezprzykładne czyny poświęcenia znalazły oddźwięk w sercach wolnego już narodu polskiego, który, w osobie Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego i swego rządu, uznał niezawisłość państwową Ukrainy i wszedł na drogę okazania pomocy Ukrainie. Pomiędzy rządami republiki ukraińskiej i polskiej nastąpiło zgodne porozumienie, na którego podstawie wojska polskie wkroczą wraz z ukraińskimi na teren Ukrainy jako sojusznicy przeciw wspólnemu wrogowi, a po skończonej walce z bolszewikami wrócą do swej ojczyzny”.

Odezwa Naczelnego Wodza Wojsk Polskich z dn. 26 kwietnia „Do wszystkich mieszkańców Ukrainy” mówiła:

„Z chwilą gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe i gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić ten kraj przed najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen — żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów”.

Jakież był reakcje w polskiej polityce na decyzje Naczelnego Wodza i rządu? Ich niezbędności z przesłanek czysto wojennych

nie rozumiano należycie; na równie niezbędne kroki polityczne odpowiedziała opozycja parlamentarna burzliwie.

Już w okresie zerwania pertraktacji, zwanych „borysowskimi” pojawiły się rysy, chwilowe wprawdzie i tylko jednostkowe w dotychczasowym stanowisku P.P.S., przez cały czas wojny popierającej politykę wschodnią Piłsudskiego; w obradach Komisji Spraw Zagran. i w „Robotniku” poseł F. Perl ironizował na temat prowadzenia wojny o miejsce rokowań pokojowych. Następnie zaś, po ogłoszeniu konwencji polsko-ukraińskiej, przewodniczący tej Komisji poseł nar.-dem. St. Grabski złożył przewodnictwo na znak protestu. Grabski oskarżał rząd i Naczelnika Państwa — w Sejmie i prasie — o zawieranie układów w tajemnicy przed Sejmem i bez jego uprzedniej zgody. Oba zarzuty były niesłuszne: utrzymanie w poufności tego układu do ostatniej chwili, było koniecznością państwową; fakt jego zawarcia uprzedzał bowiem nieprzyjaciela zarówno o kierunku jak i o niezwłoczności polskiej ofensywy zapobiegawczej. Przede wszystkim zaś — treść konwencji polsko-ukraińskiej była ściśle dostosowana do Uchwały Sejmowej z dnia 23 maja 1919 roku. Przypominam postanowienia tej uchwały co do sprawy ukraińskiej:

„Sejm nie mając zamiaru sprzeciwiać się dążeniu Ukraińców do stworzenia własnej państwowości na terytorium państwa rosyjskiego, daje wyraz przekonaniu, że Małopolska Wschodnia musi należeć do państwa polskiego z tym, że ludności ruskiej w granicach Rzplitej będą dane takie same prawa, jakie dane będą ludności polskiej na Ukrainie”.

A zatem Naczelnik Państwa i rząd miał „uprzednią zgodę” sejmu na traktat z rządem Ukrainy Nadnieprzańskiej, pod warunkami, które zostały wypełnione. Mimo niepospolitych trudności ze strony galicyjskich polityków ukraińskich, rząd ten uznał przynależność Małopolski Wschodniej do Rzplitej i uzgodniona została granica na ziemiach Wołynia i Podola, odpowiadająca niemal całkowicie późniejszej granicy traktatu ryskiego.

Wbrew temu prasa prawicowej opozycji sejmowej podtrzymywała protest St. Grabskiego argumentami świadomie ignorującymi treść uchwały z 23 maja 1919 r.; zarzucano Naczelnikowi Państwa i Naczelnemu Wodzowi, że „chce tworzyć jakąś Ukrainę, chce ją budować kosztem krwi polskiego żołnierza, kosztem polskiego skarbu, kosztem dalszej wojny z Rosją”; zarzucano mu też, że wiąże się z kontrahentem ukraińskim, który jest bez znaczenia i któremu ufać nie można.

Na ten ostatni zarzut zacytuje kompetentne zdanie prof. gen. M. Kukiela:

„Co do Ukraińców, formacje ich, zarówno organizowane w Polsce gen. Bezruczki i Udowiczki jak te, które pod rozkazami gen. Omelianowicza-Pawlenki jeszcze się trzymały na tyłach sowieckich okazały się sojusznikiem cennym, bitnym i pewnym... Siła ich przekroczyła niebawem 30.000” (*Dzieje Polski porozbiorowe*, str. 575, Londyn 1961 r.).

Tyle o ściśle wojskowym aspekcie ugody polsko-ukraińskiej.

Na oskarżenia poprzednie, że była ona jakimś osobistym, tajnym działaniem Piłsudskiego, sprzecznym z interesami narodu — odpowiedzi udzieli niebawem Sejm suwerenny, w sposób najbardziej miarodajny i uroczysty. Nie zaniedbam jej przytoczyć. Rzeczą, na którą w tej chwili chcę zwrócić uwagę, jest szkodliwy wpływ tej akcji na wojsko, które właśnie stawało już w gotowości bojowej na froncie południowym. Trudno doprawdy zrozumieć ślepotę, z jaką zaciętrzewienie partyjne biło wówczas w dwa podstawowe dla psychiki żołnierza czynniki: przekonanie o *potrzebie* wojny i zaufanie do Naczelnego Wodza, który ją prowadzi.

Oto wypowiedzi z tym związane: gen. Wł. Sikorski pisze w swej książce *La Campagne Polono-Russe de 1920* (str. 259):

„Doskonały duch wojsk był skrycie podrywany przez dwa elementy subtelne ale bardzo niebezpieczne. Pierwszym z nich była niewczesna i zbyt głośna dyskusja na temat naszych celów wojennych podjęta przez polskie partie polityczne, której rząd Rzplitej nie był w stanie zapobiec, ani jej umiarkować. Drugim była umiejętna i niezwykle zręczna propaganda, podjęta przez Sowiety w końcu 1919 r. na rzecz pokoju rzekomo uczciwego i korzystnego dla Polski”.

A teraz potwierdzenie tej opinii ze strony przeciwnej: historyk sowiecki, P. Susłow, w książce *Polit. przegląd sowiecko-polskiej kampanii 1920 r.* — przechwala się:

„Rozkładający wynik naszej propagandy pokojowej dawał się wyczuć nawet w szeregach najbardziej krzepkich oddziałów poznańskich” (str. 360).

Przechwałka wątpliwej wartości, boć w kilka miesięcy po tym krzepkie poznaniaki popędziły krasnoarmiejców znad Wieprza za Niemen aż się kurzyło, ale to przyznanie się do celów propagandy „pokojowej” Lenina ma swoją wymowę.

Sejm suwerenny uznaje hasła federacyjne za sztandar narodu. Dziękuje wojsku za zdobycie Kijowa.

Jak się rzekło — odpowiedzi na zarzuty i oskarżenia, wysuwane między datą zerwania pertraktacji z bolszewikami, a wyprawą kijowską — udzielił Sejm suwerenny. Już dnia 4 maja, po zdobyciu Żytomierza i Koziatyna, Marszałek Sejmu W. Trąpczyński wystąpił z wnioskiem wystąpienia w imieniu Sejmu depechy do Naczelnego Wodza, treści następującej:

„Wieść o świetnym zwycięstwie jakie odnosi żołnierz polski pod twoim, Naczelniku, dowództwem, napawa radosną dumą cały naród polski; za ten krwawy i bohaterski trud, który zbliża nas do upragnionego pokoju i kładzie nowe podwaliny pod potęgę państwa polskiego — sejm w imieniu wdzięcznej ojczyzny śle Tobie Wodzu Naczelnemu i bohaterskiej armii serdeczną podziękę”.

Przemawiając do izby sejmowej powiedział W. Trąpczyński:

„Jeżeli z powodu postępu wojsk naszych posiadają nas o zaborczość — zapewnić możemy, że nie mielibyśmy sumienia poświęcać krwi choćby jednego polskiego żołnierza na to, ażeby się mieszać do wewnętrznych stosunków sąsiednich narodów i aby gwałtem przyłączać do Rzplitej choćby jeden powiat którego ludność w swej większości należy do niej nie chce... *prowadząc narzuconą nam wojnę walczyliśmy o to aby nadal nie ciążyła nad nami ciągła zhora*”...

W dwa tygodnie później, 18 maja, witał znowu marsz. Trąpczyński Naczelnego Wodza, wracającego ze zdobytego Kijowa, następującymi słowami:

„Od czasu Chocimia naród polski takiego tryumfu oręża nie przeżywał... Zwycięski pochód na Kijów dał narodowi poczucie siły, wzmocnił wiarę w wolną przyszłość... Czynnem orężnym zaświadczyłeś nie tylko o dzielności polskiego ramienia, ale *wyrwałeś z piersi narodu i zamieniłeś w sztandar jego najlepszą tęsknotę, jego rycerstwo w służbie narodów. Cała Polska jest zgodna w pragnieniu, aby ludność przez naszą armię uwolniona stanowiła sama o swoim losie...* Naczelnemu Wodzowi naszej armii — cześć!” (podkreślenia moje).

W obu tych wystąpieniach, jak widzimy, marsz. Trąpczyński przemawiał w imieniu nie tylko całego Sejmu, ale i całego narodu. Nie tylko nie spotkało się to z żadnym protestem, ale przyjęte było z entuzjastycznym aplauzem. On sam, zwykle daleki od okazywania emocji, mówił z widocznym wzruszeniem. Jeśli wybrałem i podkreśliłem spośród jego słów te, które zawierały treść polityczną, to nie dlatego abym miał jakiegokolwiek wątpliwości co do szczerości uczuć lub nie przywiązywał należytej wagi do serdeczności i wdzięczności skierowanej do wojska i Naczelnego Wodza. Mimo późniejszego nawrotu do oskarżeń i żalów, należał się młodej armii polskiej ten trybut. I to nie tylko za wstępne zwycięstwa w wyprawie kijowskiej, lecz i za Lwów, za Wilno, za całą pracę żołnierską od listopada 1918 roku; można też było uważać to za zaliczkę na spłatę długu wdzięczności za ostateczne i wspaniałe — po kilku miesiącach — zwycięstwa nad Wisłą i Niemnem, za które nie tylko pełnej spłaty poskąpiono lecz nawet uwolniano zasługę pomniejszyć...

Emocje, nawet najszersze, zmieniają się jednak: natomiast polityczna treść oświadczeń marsz. Trąpczyńskiego pozostaje dobitnym i najbardziej miarodajnym — w ówczesnym układzie konstytucyjnym państwa — zaprzeczeniem oskarżeń rzucanych zaledwie przed miesiącem przeciw Naczelnikowi państwa i rządowi. Wołano wówczas, że przedłuża on wojnę z Rosją; że polityka federacyjna, szczególnie ugodą z Ukrainą, jest jego osobistą fanaberią przez którą żołnierz polski ma płacić swoją krew za cudze interesy, narodowi polskiemu obce; przestrzegano, że jego plany są „awanturą bez planu i myśli”. Punkt po punkcie znaleźliśmy na to wszystko odpowiedź.

Wprawdzie już dwukrotnie przedtem Sejm dawał swą aprobatę dla polityki federacyjnej ale z wahaniem, oporami i nawrotami niechęci. Tym razem wyraził ją w szczególnie uroczystej formie, w imieniu Sejmu jako całości; i niemało ważną jest rzeczą, że była to sankcja już nie zasad i planów, lecz *faktów dokonanych*: układu z Ukrainą i wyprawy kijowskiej.

Po owych majowych dniach jedności i harmonii, tak bardzo potrzebnej wśród najwyższych władz państwowych, powróciła jednak rozterka — a nawet doszła do większej niż kiedykolwiek ostrości. Stało się tak, gdy odwróciło się na pewien czas szczęście w kolejach wojny; przyszło kilka miesięcy porażek, przeplatanych zresztą sukcesami; a nawet kilka tygodni pełnego i nieopanowanego — na północnej części frontu — odwrotu. Po czym dopiero nastąpił tryumf ostateczny. Ale tymczasem nie szczędzono wojsku gorzkich żalów, nieprzemyślanych krytyk i pretensji.

Wyjątkowe w historii są wojny będące nieprzerwanym łańcuchem zwycięstw; wystarczy przypomnieć sobie te, które toczyły się do zwycięstwa jeszcze dziś pokolenia. Ileż w nich było niepowodzeń i klęsk po tej właśnie stronie, która odniosła w końcu pełne zwycięstwo, a zawdzięczano je głównie wytrwałości w okresie przeciwności. Działo się tak gdy zmagaly się z sobą wielkie mocarstwa, przez dziesiątki lat gotujące swe armie do wojny. Cóż więc dziwnego, że miało to miejsce gdy Polska stała do walki po stu latach niewoli, improwizując wszystkie gałęzie życia państwowego, a przede wszystkim swą siłę zbrojną.

Wielką rację miał marsz. Trąpczyński mówiąc 18 maja: „Historia nie widziała jeszcze kraju, który by w tak trudnych warunkach, ja nasze, stworzył swą państwowość”. Na pewno też najtrudniejszym dziełem było zaimprovizowanie, w ciągu kilkunastu miesięcy, wojska które potrafiło odbudowę państwa osłonić.

Młoda polska polityka, z parlamentem włącznie, nie wykazała sama należytej wytrwałości wobec przeciwności. Jednocześnie zaś za wiele żądała od swej młodej armii: zwycięstw bez przerwy.

Niewątpliwie najważniejszym zadaniem stojącym wówczas przed państwem była wojna, a przeciw politycy wykazywali uderzająco małe zrozumienie dla jej prawd fundamentalnych. Ilekroć wspominam przebieg wypadków — od operacji kijowskiej do bojów nad Wisłą i Niemnem — przychodzi mi na myśl jak wiele męki i zbędnych zmaganiań zoszczędziłoby się ludziom odpowiedzialnym wówczas za losy Rzplitej, gdyby nad trybuną w izbie sejmowej i w gabinetach czołowych polityków wypisane były na ścianie wielkimi literami dwa krótkie zdania:

„Wojna jest działaniem w niebezpieczeństwie i niepewności”.
„Sytuacja nigdy nie jest tak dobra jak się wydaje — ani też tak zła jak się wydaje”.

Pierwszą maksymę wypowiedział najmędrszy teoretyk i filozof wojny, Clausewitz. Drugą — Napoleon, największy jej praktyk w historii nowożytnej. W niewielu słowach ujęta tu jest treść ogromnej wagi.

Niepewność równie jak *niebezpieczeństwo* jest współczynnikiem stałym i naturalnym w prowadzeniu działań wojennych i musi być brana w rachubę, bo działania te dokonywane są przez ludzi, a nie przez nieomyłne „komputery”; może inaczej będzie jutro, ale na pewno tak było pół wieku temu. W postępowaniu ludzi działają elementy psychiczne, zmienne, niezawsze dające się przewidzieć. W przebiegu wydarzeń zawsze mogą zajść niespodzianki, przypadki po prostu, bądź ze strony sił własnych, bądź nieprzyjacielskich. Rozkaz który nie doszedł na czas, instrukcja źle zrozumiana — może zaważyć na szali, jak to stało się właśnie w czasie operacji kijowskiej. I okaże się, że „sytuacja wcale nie jest tak dobra jak się wydawała”. Bynajmniej nie wynika z tego, że trzeba ręce opuszczać bezradnie. Na odwrót, jak zobaczymy po kilku miesiącach tej samej kampanii — w pierwszych dniach sierpnia 1920 roku — sytuacja „nie była też tak zła” jak się wydawało niemal całemu światu. Wojsko wówczas nie zawiodło: wytrzymało porażki, zachowało gotowość i zdolność do błyskawicznego odwetu.

Nie miejsce tutaj na pełną historię, ani kronikę zdarzeń wojennych; naświetlę tylko dalej kilka kluczowych momentów, zanim zakończę moje rozważania nad przejściem od wojny do pokoju.

Bogusław MIEDZIŃSKI

(Dok. nastąpi)

Sprawy i troski

Młodość w kolorach

Nie ma nic przyjemniejszego niż wernisaż. Sztuka piękna, dobre wino, przyjemne rozmowy i to uczucie, gdy się stanie przed świeżo pachnącym obrazem i przymrużywszy oczy myśli o tym, co by tu powiedzieć mądrego.

Przypuszczam, że na „Pierwszej Wystawie Młodych Artystów Malarzy” urządzanej przez Ośrodek Młodzieżowy w lokalu Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie większość publiczności była właśnie mojego gatunku.

Po przyjrzeniu się trzydziestu ośmiu obrazom siedmiu artystów-malarzy i po wypiciu kilkunastu kieliszków sherry powinno się chwalić nawet zamykając oczy. Cóż kiedy przygodny krytyk w moim rodzaju doznaje bardzo rzadko olśnienia na nowoczesnych wystawach. Owszem, trzeba przyznać, że kolory, i kształty, i plamy, i wysiłki w rodzaju „Tropic of cancer” młodej panny Nowakówny, uczennicy gimnazjalnej, lub „Chrzest Polski” drugiej uczennicy, wraz z kompozycją piętnastoletniej Hani „Qu'est-ce que je fouci” (dokładnie wedle katalogu!) i inne obrazy robiły niemałe wrażenie na laikach. Jednak od zawodowego krytyka, profesora Szyszko Bohusza, nie otrzymaliśmy żadnego uzupełnienia owych wrażen laickich. Profesor bronił się ilością wypitego sherry.

Naturalnie jestem niesprawiedliwy, nie tylko ignorant. Prawie wszystkie obrazy wykazywały talent młodych malarzy. Jeżeli nie było wybitnej odwagi wypowiedzenia się i rozmachu młodości, to już może wina środowiska w jakim przyszłe polskie sławy wyrastają.

Wystawa zorganizowana przez utalentowaną absolwentkę Akademii Sztuki, dział tekstylny, Barbarę Gutman zgromadziła dość przypadkowy zespół malarzy i bardzo różne dzieła. Od piętnastoletniej Hani Lubelskiej, po dojrzałą Barbarę Zielińską, pojętą uczennicę profesora Szyszko Bohusza z Akademii Malarstwa Sztalugowego.

Profesor, jako przewodniczący Jury, rozdawał nagrody, przy czym pierwsza przypadła za grafikę Karolowi Osten Sacken, druga Barbarze Zielińskiej, trzecia Hani Lubelskiej. Nagrody ufundował i wypłacił Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Polski Ośrodek Młodzieżowy zorganizował wystawę.

Warto przy tej sposobności powiedzieć kilka słów o działalności Ośrodka, który tak niedawno otworzył swój lokal. Ten poświęcony i zakropiony przez starszych patronów Klub funkcjonuje wspaniale. Tymczasem działanie młodych ogranicza się do tańca i towarzyskich zebrań. Projekty na przyszłość przewidują rozwinięcie działalności kulturalnej. Filmy, wieczory dyskusyjne, kursy języka, teatr amatorski — wszystko to zapisane jest w planach szeroko zakrojonych.

„... upłyńcie dużo wody zanim to wszystko co zamierzamy zostanie zrealizowane. Są jednak dobre chęci i są chętni do pracy. Trzeba tylko czasu, doświadczenia i pomocy (ale nie dyktowania) ze strony starszych...”

Tak powiada sprawozdanie Ośrodka Młodzieżowego. Zaraz dalej dowiadujemy się kim są członkowie Ośrodka: 95% Polacy, 38% dziewczęta; 41% w wieku od 15 do 20 lat, 13% ponad trzydziestkę; około 15% to młodzież z Polski, czasowo przebywająca w Londynie.

„Wielu z naszych członków, gdy pierwszy raz przybyło do Klubu, rozmawiało ze sobą wyłącznie po angielsku. Obecnie słyszy się coraz mniej mowy angielskiej”.

Własny lokal stworzył zupełnie nowe możliwości dla polskiej młodzieży w Londynie. Pomoc starszych, ograniczająca się właściwie do Pomocy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, działa sprawnie. Jakoś dotąd nikt nie „dyktuje”.

Wystawa malarska, jej pomysł, zorganizowanie, zebranie malarzy — to dzieło wyłącznie młodzieży. Dlatego może niesprawiedliwe były słowa na początku, słowa nie chwalaące młodych wyślików *en gros*. Jednak trzeba mieć nadzieję, że następna wystawa „Młodych Artystów Malarzy” przyniesie więcej materiału, nadającego się do entuzjastycznej krytyki.

Wydaje się, że wadą owych malarzy jest silenie się na dojrzałość, i trochę za mało łączności ze współczesnym malarstwem.

Mimo woli przypomina się inna impreza młodzieżowa w Londynie — „Kontynenty”. To pismo, obecnie prowadzone przez starsze pokolenie i oddalające się coraz bardziej od młodości, było założone przez grupę młodzieży, która sama, bez pomocy i „dyktowania”, szukała możliwości wypowiedzi artystycznej. „Kontynenty” nie tylko wydały kilku dobrych pisarzy, ale w tradycyjalistyczną, konserwatywną literaturę emigracyjną wlały sporo burzącej się młodej krwi.

C. D.

Kronika francuska

Początek nowego roku akademickiego zachęcił mnie do zwrócenia uwagi na Stowarzyszenie Studentów Polskich. Wiemy na ogół o nim bardzo mało, chociaż we Francji studiuje duża ilość młodzieży pochodzenia polskiego, która Stowarzyszenie obejmuje w zbyt małym stopniu.

Tymczasem zaś okazuje się, że właśnie to mało znane Stowarzyszenie Studentów Polskich we Francji odniosło bardzo duży sukces, zdobywając w czerwcu pierwszą nagrodę na „Garden Party des Nations” za urządzenie stoiska.

„Garden Party des Nations” odbywa się co roku już od 20-tu lat. I Stowarzyszenie Studentów Polskich we Francji zawsze bierze w niej udział. Początkowo ten udział polegał w pierwszym rzędzie na tańcach ludowych. W tym roku natomiast główna nagroda przypadła Polakom nie za tańce, lecz za całość stoiska. Poświęcono je Tysiącleciu Chrztu i Państwowości Polskiej. Dlatego stoisko przybrano bardzo udanymi obrazami, raczej symbolizującymi niż przedstawiającymi niektóre wzloty i upadki dziejowe Polski. Na resztę dekoracji złożył się „Poczet zasłużonych Polaków”, oraz sprowadzona z Londynu wystawa polskich Orłów Białych, ulegających przemianom i stylizacji na przestrzeni Tysiąclecia.

W stoisku można było nabyć — i nabywano — także książki francuskie, dotyczące tematyki polskiej lub książki polskie. Sprzedawano też płyty gramofonowe z polskimi pieśniami ludowymi i piosenkami.

Pierwszą nagrodę ufundowała „Air France”. Był nią bezpłatny bilet z Paryża do Nowego Jorku i z powrotem. Wykorzystał go p. Leszek Załuski, prezes Stowarzyszenia który z pewnością najbardziej się napracował przy budowie stoiska.

Obroty handlowe Francji ze Wschodem

Francja już od kilku lat — a specjalnie w roku bieżącym — usiłuje w jak największym stopniu rozwinąć wymianę kulturalną i handlową z krajami Europy Wschodniej.

Prasa informuje nas niemal codziennie o najrozmaitszych wizytach oficjalnych składanych przez osobistości francuskie w krajach z Żelazną Kurliną, a m.in. w Polsce. Ostatnio udała się tam wycieczka parlamentarzystów. Tuż przed nimi w Polsce bawił belgijski minister spraw zagranicznych Harmel. Był on zresztą bardziej powściągliwy po powrocie, niż Francuzi.

Wydaje mi się, że byłoby chyba rzeczą ciekawą znać wyniki dotychczasowych zabiegów w dziedzinie wymiany handlowej. Niestety nie znalazłem tego rodzaju danych, dotyczących Polski. Natomiast latem dziennik „France-Soir” podał mimochodem, że francusko-sowiecki układ handlowy z roku 1964-go przewidywał sowieckie zamówienia we Francji na maszyny i gotowe fabryki na ogólną kwotę 1.780 milionów franków. Do lipca rb. zamówienia sowieckie we Francji dotyczyły jedynie kwoty 650 milionów franków, a więc nieco powyżej jednej trzeciej przewidzianej sumy.

Wydaje się więc, że wymiana nie rozwinęła się jeszcze tak, jak to sobie wyobrażano w Paryżu.

Zagadnienia wymiany handlowej między Francją i Polską stanowią pewien swoisty rozdział. W tej bowiem wymianie dotychczas górował węgiel,

sprowadzany z Polski niezawsze dlatego, że był niezbędny, lecz w dużym stopniu dlatego, że tym węglem Polska regulowała należności, przypadające Francuzom za skonfiskowane mienie w Polsce.

Co jest obecnie przedmiotem wymiany — lub raczej co Polska eksportuje do Francji — jest rzeczą mało znaną. Oczywiście dla szerokiej publiczności. Nie mamy tu — jak w Wielkiej Brytanii — „sklepów kontynentalnych”, trudno jest więc zorientować się nawet co do tak prostej dziedziny, jak np. produkty żywnościowe.

Poza tym zaś nie wiemy, gdzie takie produkty można kupować. I dlatego wydaje mi się, że byłoby słuszne, gdyby np. Związek Kupców Polskich, który, nawiasem mówiąc, w Paryżu zaczął od roku nieco się ożywiać, wydał w formie broszury (nawet na powielaczu) spis polskich sklepów w stolicy Francji.

W kołach polskich Paryża chodzą słuchy o tendencjach Związku Kupców Polskich do ufundowania kilku stypendiów kupieckich dla młodzieży pochodzenia polskiego. Jest to projekt godny ze wszech miar poparcia i uwagi. Równocześnie jednak, jeśli chodzi o — powtarzam: drobne — rozszerzenie zasięgu kupiectwa polskiego na klientelę polską, dobrze byłoby wiedzieć gdzie i jakie sklepy polskie się znajdują.

PARYŻANIN

TOM CXXIX BIBLIOTEKI « KULTURY »

BORYS LEWIŃKIJ

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA W ZSSR

w okresie Chruszczowa

Przekład z niemieckiego Mieczysława Zarzyckiego

POSŁOWIE WSEWOŁODA HOŁUBNYCZEGO

Str. 312.

Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

Kronika kulturalna

Mama i Dada

Jaka jest różnica między futurystami, dadaistami i nadrealistami? Skłonni jesteśmy używać tych terminów wymiennie dla oznaczenia po prostu ugrupowań artystyczno-literackich, których hasłem jest bezkompromisowy bunt przeciw ustalonym kanonom sztuki, przeciw całej konwencjonalnie przyjętej metodzie przeżywania dzieł sztuki. Hasło jest tu zresztą określeniem zbyt słabym: ci zbuntowani artyści zdążyli bowiem do zaszokowania publiki, do wzbudzenia w niej ostrej reakcji gniewu.

Dadaści jednak, choć zawdzięczają coś swym futurystycznym poprzednikom, i choć stali się inspiracją nadrealizmu — niektórzy dadaści, jak Picabia, Ernst czy Breton, po prostu przekształcili się w nadrealistów — posiadają jedną zasadniczą wyróżniającą cechę. Futuryści postanowili zerwać zupełnie z przeszłością w imię rodzącej się właśnie wspaniałej przyszłości, w imię „miasa, masy i maszyny”, nadrealiści zaś, choć wierzyli w nadrzędną siłę podświadomości, potrafili jednak systematycznie skodyfikować swą irracjonalną wiarę w licznych manifestach. Dadaści natomiast głosili kompletną negację sztuki: tworzyli dzieła, które są jakby zaprzeczeniem sztuki w ogóle. Zamiast wiersza, tak zwany utwór fonetyczny, którego sylaby wyrażają bełkot, zamiast rzeźby w marmurze, koło rowerowe przymocowane do stołka, zamiast obrazu, wycinki z gazet, bilety kolejowe, karty do gry, poszatowane zdjęcia i kawałki sznurka przyklejone do płótna.

Dada nie była więc określonym kierunkiem artystycznym, głosiła raczej, z założenia wrogi, stosunek do sztuki. A raczej może nie stosunek do samej sztuki, ile do przyjętych powszechnie kanonów odbierania sztuki. Dlatego futuryzm i nadrealizm są historycznymi już dziś szkołami literackimi, a Dada, zrodzona w Zurychu podczas pierwszej wojny światowej, odradza się od czasu do czasu tam, gdzie młodzi, znudzeni zachwytem nad Mona Lisą, dorabiają jej wąsy.

Malarz i reżyser filmowy Hans Richter który należał do grupy zurychskich dadaistów, w swej historii *Dada* (Kolonia 1964, Lon-

dyn 1965) uwzględnia nie tylko początki dadaizmu w Zurychu z udziałem Hugo Balla, Hülsenbecka, Tzary i Arpa, ale także jego odrodzenia w okresie międzywojennym w Berlinie, Hanowerze, Kolonii i Paryżu oraz dzisiejsze kontynuacje. Richter nazywa Herostrata, który spalił świątynię Diany w Efezie, pierwszym dadaistą. Ale Richter nie wyjaśnia dlaczego po tym odizolowanym incydencie w starożytności, nie mającym zresztą żadnego związku ze sztuką, ludzkość musiała czekać aż do naszych czasów na całą serię dadaistycznych demonstracji. Nad tym faktem warto się zastanowić.

Starożytni Grecy dobrze wiedzieli, że kontemplacja sztuki wymaga dogodnych warunków: tylko człowiek wolny od zajęć fizycznych może sobie na ten luksus pozwolić. Taką uprzywilejowaną pozycję mieli właśnie obywatele ateńscy: mogli poświęcić czas sztuce, co powodowało, że artyści nie czuli się wyrzutkami społeczeństwa. Podobną sytuację widzimy na przykład w okresie Renesansu, kiedy istniał naturalny związek między arystokratycznym mecenasem a artystą, który wykonywał dla niego na zamówienie obrazy, sonety i madrygały. Mecenas wiedział, czego chciał i za to płacił. Nie w każdym wypadku oczywiście były to warunki dla artysty idealne ale obie strony rozumiały wzajemne wymagania i potrzebowały się wzajemnie.

Postępująca od XIX wieku demokratyzacja europejskiego społeczeństwa zerwała tę bezpośrednią więź między odbiorcą a artystą, który musiał teraz zwrócić się do anonimowych czytelników, słuchaczy i widzów. Ci zaś mieli do sztuki stosunek albo wręcz obojętny, albo traktowali ją z nabożeństwem, jakim zazwyczaj traktuje się rzeczy, które się słabo rozumie, a które jednak zgodnie z obowiązującą konwencją należy czcić. W tym celu powstają muzea, do których ściągają potulni obywatele, by się posłusznie zachwycać kilkoma landszaftami aprobowanymi przez uznane autorytety.

Oto sytuacja, która doprowadza artystę do dadaistycznej furii. Zdaje on sobie sprawę, że zachwyt nad Leonardem jest wyuczony i mechaniczny, że nie jest przeżyciem, lecz biernym odruchem. Dadaści obrali więc sobie za cel zgalwanizowanie biernego miłośnika sztuki. Chcieli mu sztukę obrzydzić, chcieli by sam niezależnie odkrył piękno i brzydotę, by nie zakładał bezmyślnie, że coś jest piękne tylko dlatego, że wisi na haku w sali, w której ludzie stąpają na palcach.

Picabia pisał w swoim manifestie: „Sztuka powinna być kompletnie nieestetyczna, bezwartościowa, nie dająca się uzasadnić”, a Hugo Ball: „Kiedy sztuka zrównuje się z życiem codziennym i doświadczeniem osobistym... wtedy przestaje być poważna, brzemienista w znaczeniu, przestaje być bodźcem uczuciowym czy sentymentalną tragedią — przemienia się w owoc doświadczenia i radości życia”.

Że dadaizm miał takie silne podłoże społeczne, że dadaistom zależało może bardziej na sprowokowaniu apatycznych mieszczan niż na tworzeniu nowej sztuki, widać jasno z drobnego, zano-

owanego przez Richtera epizodu w Paryżu, kiedy dadaści wystąpili przed gromem złożonym przeważnie z robotników dokształcających się na paryskiej wyższej uczelni. Richter podkreśla, że tu po raz pierwszy dadaści zaniechali wszelkich skandalizujących występów, wszelkich prowokacji. I słusznie, bo jak można wystawiać na ciężką próbę predylekcje estetyczne ludzi, którzy nie zdążyli jeszcze uformować sobie jakichkolwiek sądów o sztuce?

Richter wielokrotnie zwraca uwagę na paradoks, że dadaści zwalczali sztukę dziełami sztuki pojętymi w zupełnie nowy sposób i dlatego, choć potępiali sztukę, mimochodem sami stawali się twórcami. Dlatego już w roku 1919 w manifestie zatytułowanym *Dada przepowiada*, pisali, że „Dada przetrwa tylko, jeżeli przestanie istnieć”. Taki właśnie wniosek wyciągnęli malarze Ernst i Arp, którzy po wyczerpaniu się pierwszego impetu Dada, zachowali skrajny stosunek do sztuki ale jej nie porzucili. Nie wyciągnął tego wniosku na przykład Kurt Schwitters, który w swym proteście posunął się do pisania wierszy „abstrakcyjnych”, pozbawionych wszelkiego sensu. Tristan Tzara wkładał więcej energii w podjudzanie publiczności niż w pisanie wierszy, a Marcel Duchamp porzucił malarstwo dla gry w szachy. Wszyscy oni stali się męczennikami logicznych konsekwencji obrazoburczego stosunku do sztuki.

Można żyć w zupełnej obojętności wobec sztuki, można jej też życie poświęcić, ale czy ma sens życie poświęcone protestowi przeciw sztuce? Czy mamy więc do czynienia z męczennikami, czy tylko z ofiarami szaleństwa?

Myślę jednak, że Duchamp, Tzara i Schwitters zasługują na miano męczenników. Z ich poczynań i dzieł, czy raczej anty-dzieł, promieniuje humor, żywotność, energia, dowcip. Ich eksperymenty wyzwalały nas z przesądów, są kopalnią, z której mniej radykalni twórcy wyciągali i wyciągać będą pomysły garściami.

Dadaści pokazali nam granice sztuki. Nie musimy za nimi iść, gdyż wiemy, na podstawie ich doświadczeń, że powiodą nas do nikąd. Dlatego ich absurd ma charakter bohaterski.



W *Esejach dla Kassandry* Pawła Hostowca znajdujemy szkic o futurystach, dadaistach i nadrealistach, który powstał w 1933 r. A więc dzieli go od nas przeszło 30 lat i ten fakt pozwala nam oglądać te awangardowe formacje artystyczne z dwóch perspektyw.

Otóż w cztery lata po drugim manifestie nadrealistów, kilkanaście lat po pierwszych eksplozjach futuryzmu i dadaizmu, Hostowiec dochodzi do takiego wniosku: „Nikt nie zamierza więcej pisać według recept futuryzmu... Jeszcze krótsze było życie dadaizmu... W tej chwili schodzi ze sceny podzielony na odłamy surrealizm paryski...”. Stwierdziwszy również, że „Futurysty, da-

daiści i surrealiści... pozostają niejako na marginesie literatury swego czasu", Hostowiec dodaje jednak proroczco, że „... dzieła ekstremistów literackich początku obecnego stulecia będą jeszcze odkrywane i czytane na nowo... zapewne zjawia się raz jeszcze grupy nowatorów i eksperymentatorów, którzy odkryją swych wczorajszych prekursorów i zapoznają z nimi czytelników”.

I rzeczywiście tak się stało. Teatr absurdu we Francji i Anglii, dadaistyczne inspiracje najnowszego malarstwa amerykańskiego, poezja Andrzeja Bursy, Stanisława Czycza, Swena Czachorowskiego, Jerzego Harasymowicza, wczesne wiersze Herberta — cała ta twórczość zdradza silne związki z przedwojennymi eksperymentatorami. Jan Prokop utrzymuje nawet (przesadnie) w szkicu drukowanym w *Twórczości* (marzec, 1965), że nadrealizm znalazł w Polsce żyzny grunt właśnie dopiero w utworach Mrożka, Czycza i Harasymowicza. A to dlatego, pisze Prokop, że „Bunt nadrealistyczny wyrósł z przeświadczenia o kryzysie cywilizacji współczesnego świata. Dla pokolenia Bretona i jego zurychowskich poprzedników wojna była doświadczeniem decydującym negatywnie. Wojna ta ukazywała się jako szczyt absurdu, była dowodem klęski określonej cywilizacji. Polsce jednak wojna ta przyniosła niepodległość”. Innym powodem różnicy między Polską a Zachodem był wedle Prokopa fakt, że „Nadrealizm wyrósł z przesytu racjonalizowaną kulturą, był buntem przeciw skonwencjonalizowaniu życia społecznego, był buntem przeciw mentalności mieszczańskiej w imię pojmowanej anarchicznie wolności jednostki”.

Dlaczego więc nadrealizm pojawił się w Polsce po ostatniej wojnie? Kontynuując socjologiczną argumentację Prokopa, należałoby uzasadnić ten fenomen tym, że dekada po drugiej wojnie światowej pobudzała Polaków do fermentu i buntu w tej samej mierze, co dekada po pierwszej wojnie w wypadku artystów na Zachodzie. Jest jeszcze inne, prostsze wytłumaczenie, które znajdujemy już u Mickiewicza: „Co Francuz wymyśli, to Polak polubi”.

Tak czy inaczej, zainteresowanie artystyczną awangardą międzywojenną nie słabnie. Razem z historią *Dada* Richtera ukazała się podobna historia *Nadrealizmu* (Kolonja i Londyn, 1965). Autorem jej jest Amerykanin Patrick Waldberg, który związany był przed wojną z paryskim ruchem nadrealistycznym i uważa się za kronikarza tej grupy. Opublikował także biografię Maxa Ernsta i pracuje nad biografią belgijskiego nadrealisty René Magritte'a.

Praca Waldberga różni się zasadniczo od książki Richtera. Richter napisał własną biografię, która w dużej mierze pokrywa się z biografią Dada. Waldberg natomiast ogranicza się do krótkiego wstępu, a resztę książki, poza bardzo bogatym materiałem ilustracyjnym, zajmują teksty manifestów i wypowiedzi czołowych nadrealistów, tak malarzy jak i poetów. Ta różnica jest bardzo charakterystyczna: dadaiści stworzyli niewiele dzieł trwałych, tak w dosłownym jak i przenośnym znaczeniu. Dzieło sztu-

ki było dla nich po prostu jednym z elementów stylu życia, składnikiem fantazji, humoru, komiczno-groteskowego protestu przeciw rzeczywistości. Do wskrzeszenia atmosfery tych lat świetnie nadaje się właśnie pamiętnikarska metoda Richtera, dzięki której więcej miejsca przypada sylwetkom i aspiracjom bohaterów dadaizmu, niż stworzonym przez nich dziełom.

A dzieje nadrealizmu, to już nie indywidualistyczne harce wybitnie pomysłowych jednostek, lecz dość monotonna kronika sekty. Jej kapłan André Breton ogłaszał bulle, które jego zwolennicy albo pokornie przyjmowali, albo odrzucali i wówczas bywali z hukiem wydalani za rewizjonizm. Bretonowi i jego przyjaciółom brakło poczucia humoru: traktowali siebie i swą sztukę z nieznośną powagą i nabożeństwem, mimo, że niektórzy z nich rekrutowali się ze środowiska dadaistów. Ciekawe, że ludzie, którzy twórczość swą opierali wyłącznie na przypadkowości skojarzeń podświadomych, nigdy nie osiągnęli spontanicznej wesołości.

Ciekawe są też powinowactwa polityczne nadrealizmu. Dadaści w swym pierwszym manifestie ogłoszonym w czasie trwania pierwszej wojny światowej, wyrażali politycznie niesprecyzowany protest przeciw szowinizmowi, które wojnę rozpętały. W późniejszych latach także dadaiści nie wykazywali zdecydowanej lojalności politycznej, ich humanizm miał podłoże raczej czysto społeczne. Natomiast nadrealiści, jak wiadomo, związali się z ruchem komunistycznym.

Waldberg komentuje: „Paradoksalnie wyglądała próba połączenia na racjonalnych przesłankach opartego marksizmu ze snami oraz irracjonalnymi sposobami poznania, którym nadrealizm wyznaczył pierwszeństwo. A poza tym ruchy robotnicze odnosiły się podejrzliwie do poetów, którzy wszyscy byli pochodzenia mieszczańskiego...”. Breton wstąpił do partii komunistycznej, a w ślad za nim poszli Aragon i Eluard, ale nie inni członkowie grupy. Na tym tle wybuchły scysje i rekryminacje, ale jak pisze Waldberg, Bretonowi także z biegiem czasu sprzykrzyła się „totalitarna dyscyplina partii”.

W świetle tych oczywistych związków z lewicą, warto znów powrócić do szkicu Hostowca, który niespodziewanie dostrzega bliskie podobieństwo między artystycznymi burzycielami starego systemu, a nowym typem kapitalistycznego przedsiębiorcy, którego zawrotne spekulacje giełdowe były dla starszych, konserwatywnie myślących mieszczan, tak szokujące, jak obrazoburcze poczynania dadaistów i nadrealistów.

„Wszyscy pamiętają — pisze Hostowiec — ów rodzaj zawistnego niedowierzania, jakim konserwatywna opinia spokojnych obywateli otaczała niezrozumiałe ewolucje tak zwanych spekulantów powojennych, obracających się swobodnie w nieprzejrzanim chaosie gospodarczym. Była to prawie ta sama atmosfera oburzonego zdziwienia, jaka otaczała bohemę artystyczną... wytworzyły się uderzające zbieżności tendencji i mniej lub więcej mimowolna współpraca między awangardą gospodarczą i awangardą literacką Europy kapitalistycznej”. Co więcej, Hostowiec

nie poprzestaje na ustaleniu wspólnoty samych źródeł przemian gospodarczych i artystycznych, widzi także bardziej zasadnicze podobieństwa: „Proza i wiersze noszące pozory największej abstrakcji i formalizmu, mogą znajdować się z procesami gospodarczymi w związkach bardziej bliskich i bezpośrednich, niż powieści zbliżające się do socjologii opisowej”.

Zdarza się nieraz, że zbuntowany artysta ginie uduszony serdecznym uściskiem reakcyjnego mecenasa. Taki przecież los spotkał znanego malarza nadrealistycznego Salvadora Dali.

Adam CZERNIAWSKI

Tadeusz Sinko

Zmarły w Krakowie 22 lipca br. w sędziwym wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat Tadeusz Sinko był ostatnim z pokolenia wielkich polskich filologów klasycznych, które nie tylko odwojowało nauce polskiej miejsce w światowej filologii klasycznej, ale także ma wielkie zasługi w dziedzinie badań nad dziejami kultury i literatury polskiej.

Choć w obcowaniu nie przypominał benedyktyna, raczej rubachę bernardyna, odznaczał się benedyktyńską pracowitością. I umiał pracować szybko, tym szybciej, że mógł polegać na swojej wyjątkowo chłonnej i pojemnej pamięci. Nic też dziwnego, że pozostawił po sobie szczególnie obfity i różnorodny dorobek naukowy i literacko-publicystyczny. Przed wojną w dodatku literackim *Ilustrowanego Kuriera Codziennego* stale omawiał bieżącą polską produkcję literacką, z tygodnia na tydzień po kilka, jeśli nie kilkanaście książek. Te notatki recenzenckie były, co tu dużo gadać, powierzchowne, a czasem robiły takie wrażenie, jakby autor ich nie tyle czytał, ile kartkował, omawiane przez siebie książki. Warto je jednak przypomnieć, bo są świadectwem gargantuicznego apetytu intelektualnego Sinki, jego ambicji polihistora. Tego rodzaju pasja lektury, rozstrzelanie zainteresowań zazwyczaj dają w rezultacie małą wydajność pisarską. U Sinki było inaczej. Robota paliła mu się w rękę.

Karierę naukową zrobił szybko. W trzydziestym roku życia był już profesorem filologii klasycznej w Krakowie. Na katedrze tej pozostał — z wyjątkiem dwuletniego interludium, 1911-1913, kiedy to wykładał we Lwowie — przez z górą pół wieku, bo do r. 1960. Też nie było jaki rekord.

Zaczął jako latynista. Jego pracą habilitacyjną była rozprawa *De Romanorum viro bono* (1904). Szybko jednak przeczucił się do

badań przede wszystkim nad literaturą grecką. Poza granicami Polski był znany głównie ze swych studiów z patrystyki, jako specjalista — tak jak i jego krakowski kolega Sternbach — od Grzegorza z Nazjansu. Ukoronowaniem jego studiów greco-tycznych jest wielka — trzy tomy w sześciu pękatach woluminach, tym pakowniejszych, że drukowanych bez interlinij — *Literatura grecka*. Pracował nad nią przez bez mała ćwierć wieku: pierwszy jej tom wyszedł w r. 1931, ostatni — w r. 1954. Po ukończeniu jej zabrał się do przygotowania popularnego jej skrótu, obliczonego na szerszą publiczność. Jako wielkie dzieło syntezy *Literatura grecka* jest w nauce polskiej odpowiednikiem monumentalnej, wielotomowej *Historii literatury rzymskiej* Kazimierza Morawskiego. A choć nie może się mierzyć z dziełem Morawskiego, tęgiego pisarza, walorami literackimi, imponuje jako pomnik masywnej wiedzy. Jej rysem wyróżniającym i szczególnie cennym są erudycyjne rozdziały, poświęcone dziejom recepcji autorów greckich w świecie w ogóle, a w szczególności w Polsce. Zebrane razem złożyłyby się one na pokaźną, bogato udokumentowaną książkę o „Nachleben” pisarzy greckich.

Do opracowania takich rozdziałów był Sinko przygotowany jak nikt drugi w Polsce. Badaniem bowiem dziejów tradycji klasycznej w literaturze polskiej szczególnie się pasjonował. I zdziałał w tym zakresie zaskakująco dużo. Najcenniejsze są tu dwie jego wczesne książki, *Hellenizm Juliusza Słowackiego* (1910, 2-gie wyd. 1925) i *Antyk Wyspiańskiego* (1916, 2-gie wyd. 1922). Po nich przyszedł niewielki tomik, złożony z pięciu studiów *O tradycjach klasycznych Adama Mickiewicza* (1923). Z czasem wrócił do tej tematyki w przygotowanym na Rok Mickiewiczowski obszernym tomie *Mickiewicz i antyk* (1957). Ta ambitna w zamierzeniach książka była, niestety, najsłabszą z jego studiów polonistycznych. Dwanaście z kolei studiów o pisarzach staropolskich złożyło się na książkę *Echa klasyczne w literaturze polskiej* (1923), a raczej popularnie napisany przegląd utworów literatury dziewiętnastego wieku na tematy klasyczne przyniosła książka *Hellada i Roma w Polsce* (1933). Nie doczekały się zebrania w tom rozproszone studia — są wśród nich bardzo cenne — o tradycji klasycznej u Długosza, Orzechowskiego, łańcińskiego Szymonowica, w *Silwidiach* (pisząc o nich przed wojną, nie wiedział jeszcze Sinko, że ocenia w rzeczy samej utwór nie Sarbiewskiego a Włocha Bettiniego), o „polskim anti-Lukrecjuszu” Ignacym Wilczku.

Osobno wymienić trzeba jego prace o Kochanowskim, Szarzyńskim, o *Rękopisie znalezionym w Saragocie* Jana Potockiego (po dziś dzień najsolidniejsze to studium o kulturalnym zapleczu tego enigmatycznego romansu fantastycznego), o komediach Norwida, rapsodach historycznych Wyspiańskiego oraz w Wyspiańskim i Krasińskim. W zbiorowych akademickich *Dziejach literatury pięknej w Polsce* dał zarys literatury polsko-łacińskiej. Wraz z Adamem Chmielem opracował pierwsze pięć tomów pierwszego wydania zbiorowego Wyspiańskiego (1924-1929), które, doprowadzone do końca przez Leona Płoszewskiego, było jednym z naj-

cenniejszych osiągnięć nieodżałowanego Instytutu Wydawniczego Biblioteka Polska. Był jednym z najaktywniejszych współpracowników znanej serii Biblioteki Narodowej. Opracował tam Homera, Plutarcha, Wergiliusza (któremu poświęcił też popularną książeczkę *Nasz przyjaciel Maro*), poetyki klasycznej Apuleusza, a w serii polskiej — Kochanowskiego, Szarzyńskiego i *Irydiona*.

W r. 1928 ogłosił książkę *Od Olimpu do Olimpii*, ni to wrażenia z podróży, ni to przewodnik po greckich starożytnościach. Pendant do niej jest wcześniej napisane studium historyczne *Polscy podróżnicy w Grecji i Troi* (1925).

Kto wreszcie uczył się łaciny w latach przedwojennych, ten, nawet jeśli nie zaczynał nauki języka od jego podręczników, które pojawiły się na krótko przed wojną, najprawdopodobniej zawierał swą pierwszą znajomość z Horacym, Wergiliuszem i Owidiuszem od jego czytanek i zazwyczaj też starał się uporać z zawłościami łacińskiej składni przy pomocy jego *Gramatyki łacińskiej*.

Sinko nie miał daru pióra. A w dodatku pisał zawsze w pośpiechu. Stąd jego studia i książki na ogół nie są dobrze zorganizowane, często robią wrażenie oddanych do druku brulionów, czasem drażnią zatarciem proporcji między sprawami ważnymi a drugorzędnymi, a trafiają się w nich i partie, które się czyta jak pozszywane razem notatki. Mimo to trud ich lektury się z reguły opłaca. I to nie tylko dzięki olbrzymiemu ładunkowi wiedzy, w nich zawartemu. Przynoszą one także oryginalne, wnikliwe uwagi krytyczne. Zwłaszcza dużo ich w jego studiach o Wyspiańskim. A w dziedzinie badań nad „żywym spadkiem po Grecji i Rzymie” — jak brzmi tytuł jednego z jego studiów — w piśmiennictwie polskim wykonał on olbrzymią, niejednokrotnie pionierską pracę, która dziś czeka na podjęcie przez kontynuatorów.

ww

Literatura słowiańska w Kanadzie

Na konferencji w Banff, Alberta, która odbyła się w czerwcu 1965 r. i nosiła nazwę *First National Conference on CANADIAN SLAVS*, jednym z referentów był Yar Slavutych, profesor literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Alberta. Należał on zresztą do organizatorów tej konferencji i został przewodniczącym komitetu redakcyjnego, który opublikował obecnie tom

Slavs in Canada — sprawozdanie z przebiegu konferencji. Niektóre referaty zostały opublikowane w całości, inne w streszczeniu, a niektórych w ogóle nie zamieszczono.

Konferencję w Banff omawialiśmy w Nrze 11 „Kultury” z 1965 r. i nie będziemy do niej wracać. Przypominamy jedynie, iż zauważyliśmy wówczas, że referat prof. Slavutycha była „bardzo schematyczny, ogólnikowy, nie dający właściwie żadnego obrazu. Referent zastrzegł się, że jest to praca nieukończona”.

Ale prof. Slavutych postanowił jednak tę pracę ogłosić. Wielka szkoda gdyż na pewno nie przysporzy mu chwały. Nie zamierzamy zajmować się całym referatem, lecz wyłącznie rozdziałem poświęconym omówieniu „polskiej literatury”.

Zasób wiadomości prof. Slavutycha o publikacjach polskich w Kanadzie i pisarzach żyjących w tym kraju jest tak niedostateczny, iż należy podziwiać jego odwagę.

Dlaczego zbiorek popularnych i ludowych wierszy stanowi pozycję w literaturze polskiej, skoro nie powstały tutaj? Bo jedynie wówczas podpadałyby pod definicję Autora. Owszem jest to pozycja w bibliografii druków wydanych w języku polskim w Kanadzie ale nie w literaturze!

Jako pierwszy autor figuruje Arkady Fiedler. Tylko przy jego nazwisku widnieje data urodzin — 1894 — oraz niepełna data (19?) a więc znak iż uśmiercił go, ale nie zdołał ustalić dokładnego terminu.

To bardzo nieładnie, gdyż Arkady Fiedler żyje i niedawno obchodził uroczyste jakiś tam jubileusz. Oczywiście „Kanada pachnąca żywicą” podpada pod definicję prof. Slavutycha, ale chyba nie „Dywizjon 303” i „Dziękuję ci kapitanie”, ale doskonale mieszczą się w *Polonica Canadiana*, gdyż ukazały się w Montrealu.

Następny autor zwie się: *Alexander Grobnicki*. Nieznany. Ale tytuł książki „Wojenne błyski” znamy i to pozwala ustalić, że chodzi o *Aleksandra Grobickiego*. Jeśli to błąd korektorski to raczej przykry, ale wobec tego iż nie jest jedyny, to raczej skłonni jesteśmy przypuszczać, że to wina Autora, świadectwa jego — powiedzmy delikatnie — nieświadomości.

Natomiast wręcz skandalicznie brzmi ustęp o Wańkowiczu:

„Melchior Wańkowicz napisał powieść *TWORZYWO* (Nowy Jork 1954), opartą na życiu polskich pionierskich osadników. Wkrótce potem powrócił do Polski i został aresztowany za zbyt swobodne używanie swego pióra. Brak informacji o miejscu jego pobytu”.

Imponująca ścisłość!

Kto zmuszał prof. Slavutycha do mówienia o pisarzach o których nie ma zielonego pojęcia?

Nie kwestionujemy pozycji wymienionych, jakkolwiek nie wszystkie mieszczą się w jego własnej definicji, ale przerażające są braki.

Cytuje np. strofkę z wiersza Danuty Bienkowskiej, ogłoszonego w „Kulturze” ubolewając iż takie wiersze nie ukazały się dotychczas w formie książkowej, nie dodał natomiast — czego wymagałaby profesorska ścisłość — iż Bienkowska ogłosiła już jeden tom poezji.

To bardzo ładny gest, godny podkreślenia, kiedy wymienia się autorkę i jej prace, które ukazały się przed wojną w Polsce, a jedna poza Kanadą, ale to znowu nie odpowiada definicji. Niewątpliwie dobrze stało się, iż prof. Slavutych wymienił wśród autorów polskich panią Izabellę z Lutosławskich Wolikowską i byłby nawet zmieścić się w ramach swojej definicji, gdyby mówił o jej opowiadaniach, ogłoszonych w prasie polonijnej i napisanych w Kanadzie.

Interesujące byłoby dowiedzieć się dlaczego prof. Slavutych nie dostrzegł twórczości Zofii Bohdanowiczowej? Od 1960 r. mieszkała w Toronto. Nie ukrywała się. Publikowała swoje utwory zarówno na łamach prasy literackiej

w Wielkiej Brytanii jak i „Związkowca”. A prof. Slavutych wymienia to pismo obok „Głosu Polskiego” i „Czasu” jako publikujące utwory literackie.

O Wacławie Iwaniu prof. Slavutych wie, że „mieszka w Kanadzie i opublikował w Londynie, Anglia, w 1960 r. 'Pieśń nad pieśniami'”... Jak więc widzimy prof. Slavutych wykazuje wręcz imponującą „znajomość” twórczości Polaków w Kanadzie.

Prof. Domaradzki ma duże zasługi jako organizator studiów słowiańskich w Ottawie i Montrealu natomiast twierdzenie, że „krytyka literacka spoczywa w rękach” jego i prof. Williama Johna Rosego jest li-tylko uprzejmościowym ukłonem jednego profesora — który nie zna tematu — pod adresem dwóch, którzy w jego przekonaniu powinni się tymi sprawami zajmować. Dra Wiktora Turka wymienia jedynie jako bibliografa aczkolwiek był on autorem licznych artykułów, szkiców o dziejach Polonii i napisał obszernie dzieło o prasie polskiej w Kanadzie.

Trzeba by zastanowić się, dlaczego profesorowie — Polacy, obecni na konferencji i obeznani z literaturą, nie przekonali prof. Slavutycha, że powinien być raczej rozdział o polskiej literaturze opuścić. Wydaje się że byli zbyt koleżeńscy, powściągliwi i uprzejmi.

Benedykt HEYDENKORN

Książki

Ostatni okop Graham Greene'a

„Komedianci” — to końcowa stacja drogi, po której Graham Greene szedł konsekwentnie i nieodwracalnie od czasów „Wspólnego pokoju” (*The Living Room*), w którym książdź inwalida staje bezradny wobec ludzkiego nieszczęścia i grzechu — poprzez „Spokojnego Amerykanina”, pierwszą zapowiedź zobojętnienia, „Morin'a”, opowiadanie o katolickim pisarzu, który traci wiarę, *Burnt-out Case* („Próchno” byłoby może najwłaściwszym spolszczeniem tytułu) — aż po tę swoją ostatnią powieść o aktorach życia.

Gdy człowiek jest „wypalony”, gdy nie ma już w co wierzyć ani czego kochać, pozostaje jeszcze tylko jedno: grać rolę, udawać, że jest się nadal tym, czym się było lub być pragnęło i — śmiać się „bo nie wiadomo czy świat potrwia trzy tygodnie”. *As long as the play parts — we escape*¹ (przed grozą zupełnej pustki, przed unicestwieniem). Jest w tym jakby odwrotność powiedzenia Goethego *Lass mich scheinen — biss ich werde*². Człowiek zaczyna i kończy na graniu ról; najpierw gra je, zanim stanie się kimś; pod koniec, gdy nim być przestaje. Oto sens „Komediantów” — rozszerzony, bo powieść opowiada tylko o końcu drogi.

Niegdyś omawiając „Spokojnego Amerykanina”, stawiałem hipotezę że Greene po napisaniu „Sedna rzeczy”, nie mógł już, bez ryzykowania jawnego buntu, pójść dalej w nierozwiązalnym targu między swoją litością dla człowieka a Bożą sprawiedliwością — że musi się wycofywać. Nie przypuszczałem tylko, że uczyni to najłatwiejszą drogą. „Komedianci” są jego ostatnim okopem.

Sytuacja wydaje się tak spodziewana i oczywista, że nie budzi nawet tego dreszczu pasjonującego odkrycia, jakim wstrząsała dawniej każda nowa powieść Greene'a. Po „Próchnie” „Ko-

1. Dopóki gramy rolę — wymykamy się.
2. Niech się wydam, nim się stanę.

TOM CXXX

BIBLIOTEKI « KULTURY »

Seria « Archiwum Rewolucji »

MIHAJLO MIHAJLOV

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY — LATO MOSKIEWSKIE 1964 — DOSTOJEWSKI DZIŚ — LITERATURA ROSYJSKA: NA ROZDROŻU — KILKA SKOJARZEŃ HISTORYCZNYCH NA CZASIE — WNIOSKI Z PEWNEJ POLEMIKI — MARTWY DOM SOŁŻENICYNA I DOSTOJEWSKIEGO — ZNACZENIE POWIEŚCI „CISZA” — JEWGIENIJ ZAMIATIN — CHAGALL LITERATURY — SYNTEZA ZARATUSTRY I OSTAPA BENDERA.

Str. 224.

Cena 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

medianci" nie zaskakują; tak chyba musiało być — jedno stadium predestynuje drugie.

Autor w krótkim przedśłowiu do „Komediantów” podkreśla z naciskiem, że bohater powieści Brown to nie on. Dlaczego ten nacisk? Flaubert mówił inaczej: „Pani Bovary to ja”. We wszystkim, co pisarz tworzy, bywa zawsze jakaś część z niego. Lecz, gdy życie zaczyna zacieśniać się tylko do grania ról — cóż ma się jeszcze naprawdę nowego do powiedzenia? Wbrew zachwytom wielu krytyków (zapamiętałem, bodajże z *Observera*, „najlepsza powieść Greene'a od czasu „Mocy i chwały”) „Komedianci” wydają mi się powieścią chybiącą a przede wszystkim próżną. Stary mistrz potrafił oczywiście wziąć jeszcze na kawał czytelników. Władza nadal świetnie swoim rzemiosłem, oszczędnym, celnym opisem, jasnością wyrazu, sztuką prowadzenia żywego, ciągłego dialogu — ale pod tą błyszczącą powierzchnią wszystko właściwie jest już w tej powieści odgrzewane i drugorzędne: konstrukcja, prawdopodobieństwo, psychologia postaci i zasadniczy sens utworu. Chciałoby się chwilami powiedzieć: galwanizowany trup.

Zacznę od konstrukcji, elementu zdawałoby się najłatwiejszego do opanowania, jeśli się tak, jak Greene, poznało tajemnice rzemiosła. Autor „Sedna rzeczy” był w tej dziedzinie mistrzem. Nie znam chyba powieści związanej bardziej logicznie, w której jeden element akcji wynikałby z taką nieubłaganą koniecznością z poprzedniego, niż właśnie „Sedno rzeczy”. Jeśli idzie o „Komediantów” trudno w ogóle mówić o jakiejś konsekwentnej budowie. Po prostu narrator i protagonista powieści Brown zjawia się wszędzie tam, gdzie dzieje się coś, co autor pragnie czytelnikom pokazać. Można by określić, że powieść jest nanizaną na obecność owego Browna szeregiem luźnych scen. Na domiar całość została przełamana na dwa prawie niezwiązane z sobą epizody: niefortunna misja apostoła wegeterianizmu Smitha i niespodziewanie wzniosły kres wędrówki aferzysty Jonesa. „Bohater” Brown ma, co prawda, także swoją własną niłą sprawę — romans z Martą, ale temat ten nie stanowi ani osi ani głównego sensu „Komediantów”. Brown przez cały czas pozostaje bardziej świadkiem niż aktorem zdarzeń i jak próżnia odbrzmiewa martwo przede wszystkim życiem innych.

Przy tym Greene bardzo uprościł sobie zadanie wszechwiedzy narratora o wszystkim, co czynią i myślą osoby powieści — kosztem życiowego prawdopodobieństwa. W cieniu okrutnej dyktatury „Papy Doc'a” w Haiti, gdzie każdy ruch i słowo może przynieść zglębę — wszyscy zwierają się bohaterowi (który niczym sobie na takie zaufanie nie zasłużył) ze swoich antydyktatorskich uczuć i zamierzeń, a sam bohater — bynajmniej nie bohaterski — także nie waha się robić i mówić cały czas, co mu się żywnie podoba. Taka nagminna szczerość ułatwia oczywiście narysowanie jasnego obrazu akcji i kierujących nią motywów, ale podcina u czytelnika zasadniczo poczucie realności tej całej ponurej *commedia dell'arte*.

Wszystko to niestety nosi znamiona literackiego niedbalstwa czy pośpiechu albo, co byłoby gorsze, zgrabienia rzemiosła. Gdybyż przynajmniej te zaniedbania formy czy życiowego prawdopodobieństwa, wynagradzała treść utworu: ciekawy sens, celna psychologia postaci. Ale z psychologią „komediantów” także nie jest o wiele lepiej.

Autor zdaje się stale wahać pomiędzy prawdą życia a parodią, między *novel* i *entertainment*. Większość postaci jest uproszczona i przejawiona w swym rysunku — to na jasno to na ciemno, a przełomy psychiczne tych figurek, powierzchowne i nieprzygotowane, zaskakują i nie przekonywają. Nie bardzo możemy zrozumieć, jakim sposobem poetyzujący snob Philipot potrafił przemienić się z miejsca w mściciela krzywdy zaszczutego przez dyktaturę wuja i w przywódcę antydyktatorskiej partyzantki, ani łatwości, z którą łgarz i kombinator Jones, dla samej chętki zagrania zaszczytnej roli, poszedł bez oporu w ślady przemienionego poety. Nie łatwo także przyjąć jako zjawisko naturalne, gdy sam Brown, samolub i obojętniak, wplątuje się w cały szereg akcji ryzykownych lub zgoła dla niego groźnych, bez żadnej istotnej dla siebie korzyści ani uzasadnienia. Nawet zasadniczo dla sensu powieści element — owo „wypalenie” Browna, niezdolność do jakiegokolwiek głębszego zaangażowania uczuć, zostało raczej podane do wierzenia, niż opatrzone dostatecznym psychologicznym rodowodem. Bo nie wystarczy przecież fakt, że Brown urodził się symbolicznie w międzynarodowym Monaco — nigdzie nie przynależny już od kołyski. Żywi ludzie czy wycinanki z kartonu, potrzebne autorowi do takich lub innych celów — miałyby się chwilami ochotę pytać.

Granie dawnego siebie, przeżuwanie zużytych wątków, tasowanie w innym porządku tych samych kart. Niewiele znajdzie w tej powieści naprawdę nowego — poza dość banalnym stwierdzeniem, wyznaczonym przez tytuł, że ludzie to przeważnie *comedians*.

Egocentryczny, nie związany z nikim i z niczym, wewnętrznie wystygły bohater powieści — to jeszcze jeden *burnt-out case* (tyle, że nigdy nie płonął) a zarazem daleki kuzyn rozczarowanego i niezaangażowanego Fowlera z „Spokojnego Amerykanina”. Nawet pozbycie się przez obu bohaterów rywali — w „Spokojnym Amerykaninie” Pyle'a, tu zaś Jonesa — odbywa się według podobnego wzoru. Dzieje maniackiej zazdrości Browna — właściwie jedyne uczucie, na jakie go było stać — splecione są z tych samych prawie objawów i nieraz po prostu wyrażen, co „Koniec romansu” (*The End of the Affair*). Są i pożyczki z zewnątrz. Jones, obok Browna czołowa osoba powieści — zadziwiająco przypomina (na co zwrócił uwagę znakomity krytyk angielski Connolly) kapitana Grimes'a z *Decline and Fall* niedawno zmarłego Evelynna Waugh. A czyż wegetariańska para Smithów, w swym pobłażliwym skarykaturowaniu, nie jest jakby wyjęta prosto z kart Dickensa?

Tyle o osobach. To samo chyba można powiedzieć o sensie za-

sadniczym powieści. Dramat niezaangażowania, jałowego spływania z prądem życia bez brania w nim udziału (obwoluta „Komediantów” głosi, że jest to *a story about the committed and uncommitted*) poznaliśmy już w „Spokojnym Amerykaninie” i to w wersji ciekawszej i subtelniejszej, zarówno treścią jak i formą.

Zapewne, że każdy pisarz powtarza się, wraca raz po raz do tego, co go najbardziej boli lub urzeka. Nie w fakcie powracania kryje się główna skaza „Komediantów” lecz w tym, że są to powroty sztuczne, tylko pół żywe; dyktuje je przede wszystkim pisarska rutyna, nie pasja. Greene wypala się. *Burnt-out case* był tytułem znamionym.

A jednak wydaje mi się, że słyszę przynajmniej jeden szczery i żywy ton w tej czczej i wyschłej książce — i ten ton jedynie przybliżyła mi ją, czyni bardziej ciepłą i ludzką. Jest nim, utajona w gorzkim tekście, tęsknota do jakiejś ożywczej nieudawanej wiary, niemal do *jakiegokolwiek* wiary. Zaprzestać wreszcie grania ról, jałowej zabawy w życie, znowu oddać czemuś umysł swój i serce, zaangażować się, *to get involved* — to, przed czym niegdyś uchodził Fowler, co utracił Querry, czego nigdy nie zaznał i czego innym zazdrościł Brown. W coś raz jeszcze wierzyć, czemuś służyć z miłością, choćby to miała być naiwna wiara Smitha w zbawczą rolę wegetarianizmu albo doktora Magiota w komunizm. Właśnie wygasłego i niezaangażowanego Browna Graham Greene odsłania i kompromituje w swej powieści najboleśniej (możemy zapomnieć o tym, że zapewniał nas w wstępie: „Nie jestem Brownem”). Tylko zaangażowani, ci, którzy uwierzyli, wychodzą cało spod obstrzału autorskiej ironii i niechęci w tej ironicznnej i smutnej książce.

Przed wszystkim Magiot. Lecz ów lekarz-Murzyn, który jest najbardziej pozytywną postacią „wierzącego” w powieści — i trzeba przyznać zrazu doskonale zarysowaną — w końcu wymyka się także z rąk pisarza.

Przedśmiertny list Magiota, głoszący jednocześnie pochwałę komunizmu i katolicyzmu jako ideologii zaangażowanych („dla których popełniano nawet wielkie zbrodnie, lecz które nie umywają jak Piłat rąk od spraw tego świata”) pojawia się pod koniec powieści najzupełniej nieoczekiwanie i nie na miejscu. Trudno orzec, czy i w jakim stopniu jest on wyrazem zwrotu na lewo własnych poglądów katolickiego pisarza — lecz jakkolwiek by było, akcent tego rodzaju brzmi w tym miejscu książki nienaturalnie i podejrzenie głośno i nie jest w żaden sposób dostosowany do tonu całości; wydaje się bardziej deklaracją ideową niż elementem fabuły. Jest to zdumiewająca omyłka artystyczna tak doświadczonego pisarza, która może najjaskrawiej świadczy o kostnieniu talentu. Dawny Greene byłby na pewno inaczej, a przede wszystkim dyskretniej taki akcent położył.

Kończąc pytam siebie, czy sądzę sprawiedliwie? Powieść Greene’a czyta się bądź co bądź w napięciu do ostatniej strony, posiada ona co najmniej kilka świetnych scen, ostro narysowanych typów, mnogość pamiętnych powiedzeń. Rzemiosło literackie, po-

jęte jako sztuka prowadzenia opisu i dialogu, pozostało w „Komediantach” nienagane. To wszystko prawda, lecz coś więcej? Może u innego pisarza zadowolilibym się tym, co powieść daje, może bym ją nawet podziwiał. Lecz Greene sam ustalił swoimi dziełami miarę, jaką należy go mierzyć. Była to miara najwyższa.

Wit TARNAWSKI

Dom Crocego

(W setną rocznicę urodzin Crocego)

„Nie rozumiem co się stało, wszyscy moi rówieśnicy zdecydowali się nagle pisać wspomnienia” — mówi mi Rosjanka, przyjaciółka z dawnych, dawnych lat jeszcze petersburskiej młodości. Zastanowiły mnie te słowa.

Ileż my już mamy książek — wspomnień osobistych (choćby z moich stron rodzinnych, od Czarnyszewicza, Żółtowskiej, Lednickiego, Pawlikowskiego), gdybyż tylko ludzie mojej generacji pisali wspomnienia, ale piszą i inni o dobre pokolenie młodszy, a ile wspomnień rodzinnych przetransponowanych: „Apokryf rodzinny” Malewskiej, „Dolina Issy” Miłosza, „Pierścień z papieru” Haupta; ile leży w rękopisach i czeka na wydawcę.

Wszyscy mamy za sobą Atlantydy, o wojnach, katastrofach, spisano już tomy historii, ale tu chodzi o uratowanie z niepamięci wypadków, tak jak się przełamywały w oczach jednostek tym wypadkom współczesnych. Te wspomnienia osobiste to bunt przeciw *znijaczeniu* przeszłości, *naszej* przeszłości, która już przez historyków rozmieszczona w odpowiednie szufladki, pożarta statystykami, milionowymi cyframi, staje się abstrakcyjna, prawie obojętna dla następnego pokolenia.

„Och będę musiał jeszcze cały tom historii wykuć do matury” — mówi mi dorastający Krakowianin.

„Jakiej historii?”

„No polskiej, od 1914 do 1945!”

Nie tylko rozjechany przez autobus w naszych oczach pies wzrusza nas bardziej niż wieść o spaleniu napalmem wsi w Wietnamie, ale śmierć wiewiórki widziana oczami dziecka w „Dolinie Issy” mówi nam więcej o grozie istnienia, niż uszeregowane w podręczniku historii cyfry ofiar i mordów ostatniej wojny.



Te myśli wiążą mi się z tak przecie pogodną książeczką, prze-

czytaną tego lata, jak „Wspomnienia rodzinne” Eleny Croce¹. Wzór wspomnień bezpretensjonalnych, bez cienia egzageracji czy nudnej pompy. Ukazały się one w stuletnią rocznicę urodzin Benedetto Croce, ojca autorki, historyka, filozofa, estetyka.

Croce sam napisał coś w rodzaju własnej biografii: „Contribution à ma propre critique” — tak brzmi tytuł w tłumaczeniu francuskim².

Croce zastrzega się w tej książce, że nie myśli pisać o swoim życiu. Dla niego chronologia i bibliografia jego dzieł są jedyną kroniką, o której warto wspomnieć. Książka Eleny Croce daje nam to, czego u pisarza darmo byśmy szukali, daje nam obraz ojca autorki, wrośniętego w Neapol, miasto którego historię napisał, obywatela świata, dla którego domem były nie tylko Włochy południowe, Abruzzi z których pochodził, ale *całe* Włochy. Opisuje ona obyczaje, stosunki, związki, gusty tego niełatwego we współżyciu człowieka, jego miłość do Turynu, który tak kochać umiało tylko pierwsze pokolenie po *Risorgimento*. Książka ta zdaje mi się tłumaczona świetnie, bo czytając ją nie miałem wcale uczucia tłumaczenia, a prędeż, że to Elena Croce pisze piękną bogatą polszczyzną.

Widzimy tu pisarza w kręgu domowym, jego tempo i rygor pracy któremu całkiem pasował znany przepis Niccoliniego „Czternaście godzin przy biurku i potem półmisek makaronu”, Crocego, który pozostawił po sobie koło 600 pozycji bibliograficznych w tym ponad 50 dzieł zakrojonych na dużą skalę. Nikt ze współczesnych nie miał takiego wpływu jak on na życie intelektualne swojego kraju. Wstręt do marnowania czasu, rygor panujący w domu, rozszerzał się poza pracą na stosunki z przyjaciółmi, odwiedzającymi dom w te, a nie inne, godziny, te a nie inne dni tygodnia, na najściślejsze przestrzeganie godzin posiłków, nawet na podawane potrawy (tu jednak pani Croce umiała wprowadzać pewną elastyczność w regułach kulinarno-ascetycznych męża). Elena Croce opisuje pierwszych gości, najbliższych przyjaciół rodziny, potem przygodnych, zmiany które zaszły w otoczeniu w okresie faszystów, gdy za przywitanie się z Crocem na ulicy można było ciężko zapłacić; pisze o przyjaciółach z tego okresu podając nazwiska tych, którzy poszli do więzienia. Galeria tak barwna opisana jest z humorem i dyskretną czułością, jak zresztą i postać jej ojca bez cienia brązownictwa. Zastanawiający był stosunek Crocego do młodych. Oceniał stare powiedzonko że „najlepszą rzeczą, którą może uczynić dla młodych, to szybko się zestarzeć”, brzydził się demagogią, którą niektórzy jego rówieśnicy posługiwali się wobec młodych. Jakże mi to przypomina Degasa: *Ces jeunes, ils nous cassent les pieds*. Nie dopuszczał również cackania się z dziećmi, sam zresztą pisząc o sobie-dziecku, zbywa ten okres uwagą, że był „nie pozbawionym perfidii młodym nicponiem”. Ale przy tym jak mądrze budził we włas-

nych dzieciach świadomość społeczną, jak starannie i oryginalnie dobierał ich lektury. Elena Croce notuje jak ojciec tępił wszelką rozrzutność, jak nienawidził luksusu, nawet książek ozdobnych, a w okresie kiedy był ministrem oświaty żądał od podwładnych by oszczędzali papier pisząc na skrawkach papieru i coraz to przebiegał gmach ministerstwa, jak również własny dom, gasząc żyrandole i lampy, niepotrzebnie zapalone. O sobie samej pisze Elena z tą samą pogodną szczerością: jak dławili ją nieraz te zbyt surowe ramy życia w których żyć musiała młoda dziewczyna, wzruszająca się oczywiście kierunkami najbardziej awangardowymi wobec których ojciec był sceptyczny, jak pociągał ją luksus wielkich hoteli do których Croce w swych podróżach nie lubił się nawet zbliżyć, wybierając miejsca postojów na podstawie wskazówek przestarzałych tomów Baedekera i myśli nie dopuszczał o jakichś tam dodatkowych wygodach. Ciepło, żywo jest narysowana matka autorki, jej temperament aktywny, takt i serce niezawodne, a także Maria-Krystyna opiekunka domu, przywieziona z Turynu, dla której „wierność” była z gatunku tych gdzie „skoczenie w ogień jest czynkiem naturalnym, zaś surowość jako strażniczki domu, nie miała sobie równych”. Pełno w książce tego rodzaju drobnych odnotowań ludzi i zdarzeń, i na tym tle urasta postać tytana pracy, który sam nie zauważał jak umiał w nią wpruć całe swoje otoczenie, a przede wszystkim córki. Croce w walce o wolny świat w najtrudniejszych okresach historii swego kraju ani przez chwilę nie tracił wiary w cenę całkiem bezinteresownej pracy naukowej — bo wprowadza ona „element ogólnoludzki, kontrastujący z poszukiwaniem wyłącznej korzyści natychmiastowej, i tę wyłączność łagodzi”.

Jeżeli chciałbym coś tej książce zarzucić to to, że mówi nam autorka zbyt mało o ostatnich latach i miesiącach życia Crocego, co mu przyniosły te lata „gdzie dni więcej nie przychodzą, a odchodzą”? Co mu dał okres, który Michelet nazwał *le long suplice de la vieillesse*? Czy do końca późnego wieku los oszczędził mu nędzy starości: sklerozy pamięci, beśsiły?

Młodość jest skłonna do ekshibicjonizmu, iluż Werterów mamy w literaturze, ale starość swój świat intymny, choroby i nędzę, ukrywa. Ten świat jest tym ciekawszy gdy chodzi o ludzi miary Micheleta czy Crocego.

Ale zdaje się, że Croce, który zmarł w 87 roku życia, nie zaciął nic z wigoru myśli i świadomości. Świadczy o tym chociażby jego książka, o której już wspominałem wyżej, a w której w 80-tym roku życia kończy swój rachunek sumienia pisarza.

Pomimo że zaznacza na wstępie, że o swoim życiu pisać nie będzie, bo tylko jego dzieło jest ważne, książka ta daje nam całą miarę nie pisarza tylko, ale właśnie miarę człowieka.

Croce mając 17 lat stracił ojca, matkę i jedyną siostrę w czasie trzęsienia ziemi; sam wówczas przeleżał z połamanymi kośćmi wiele godzin pod gruzami rodzinnego domu. Wspomina on lakonicznie o tym fakcie, ale w całym późniejszym biegu jego bio-

1. „Libella, Paryż, 1966. Tłum. z włoskiego T. Jeleńska.

2. Les Editions Nagel, Paris, 1949.

grafii nie zapominamy o tym początku, śledząc jak pomału młody Croce z mroku, z pragnienia śmierci wydzwigał się, jak każdy nowy etap uświadomień, odkryć, nowych możliwości twórczych myśli, zbliżał go do światła.

Książeczkę Crocego czytamy jak romans, bo pisarstwo było przygodą miłosną tego życia, jego dramatem. Sam Croce pisze, że tylko dramat przeżyty jako dramat własny, dla niego dramat myśli Hegla czy Marksa, Vica czy stu innych, może być dla naszej myśli płodny, do czegoś nas zaprowadzić. Inaczej jest to martwy i szkodliwy balast wiedzy.

Czytając po raz drugi ten „Przyczynek do mojej własnej krytyki” powracam do swojej pracy trochę zmieniony, z ładunkiem nadziei, woli życia, której mi było brak, zawdzięczam to osiemdziesięcioletniemu starcowi, który tak kończy ostatni rozdział swej książki:

„Czemu zamierzałem zaprzeczyć, to idylli, którą jakoby człowiek odkrywa w starości. Nigdy życie nie doprowadza nas do idylli, starość jest zawsze życiem z jego trudem i wypoczynkiem, smutkiem i radością, rozpaczą i nadzieją, życiem które u najlepszych rozszerza się, aż obejmuje poza swą własną osobą świat, który ich otacza i przyszłość świata”.

To co Croce w tej książce pisze o narastaniu pewnych myśli i ich powolnym w nas dojrzywaniu, nagłych wybuchach uświadomienia prawd, zadań, wybuchach które porównać można z nagłym zakochaniem, a może nawet z nagłym światłem łaski natury religijnej, a co nigdy nie zapłodni człowieka, jeżeli nie ma w nim podkładu, trudu, woli upartej, pracy, która w nas akumuluje siły, i daje nam możliwość wykorzystania twórczo tych sekund natchnienia.

Croce pisze o zarozumiałości filozofów, wyobrażających sobie, że stworzyli gmach myśli wszystko ogarniający, definitywny, kiedy w rzeczywistości każdy problem rozwiązany wtedy tylko znaczy, jeżeli rodzi natychmiast nowe i nowe problemy — bo kto myśli, że wszystko rozwiązał, już nie żyje a jest martwy. Z jakim przekonaniem, powiedziałbym pasją, podkreśla, że każdy z nas jest nikłym ogniwem łańcucha, że nic *sam* stworzyć nie potrafi, a tylko prowadzi dalej, przekazuje innym pewien nie do zastąpienia odkrywczy nurt myśli, odziedziczonej po innych, i na nowo przeżyty i rozwinięty.

W okresie Włoch liberalnych, kiedy był wieloletnim ministrem oświaty, za faszyzmu, kiedy opuszczony przez wielu przyjaciół zdobywa nowych, kiedy dom jego jest zdewastowany, a głos jego, myśl jego, jeżeli nie zduszone, to przecie całkowicie osaczone przez wroga, wszędzie widzimy Crocego tam, gdzie zdawało mu się, że jego głos, jego czyn, jest najpotrzebniejszy. Miłość kraju, wierność włoskiemu *Risorgimento*, która w nim bez śladu nacjonalizmu łączy się z myślą o Europie i o świecie — wszystko to gra i błyszczą w tej pozornie suchej książeczce, która by powinna i po polsku w Polsce się ukazać.

Choć jestem ostatnim, który by mógł wnieść coś nowego o

Crocem pisząc o nim, chciałbym jednak pójść w ślad jego córki i z równą prostotą — i choć bardzo z daleka — wspomnieć o człowieku, o którym ona pisze z tak bliska.

Trafiłem do domu Crocego wiosną 1944 roku w Sorrento. Chyba przez Gustawa Herling-Grudzińskiego, który temu domowi był już wtedy bliski. Cóż mogło mnie, zabieganego oficera polskiego, wówczas kierownika Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu, łączyć z tym uczonym światowej sławy, który wówczas w na pół oswobodzonych Włoszech grał pierwszoplanową rolę polityczną?

Styl domu Crocego, cała jego rodzina, żony i czterech córek był stylem, o którym prawie że nie wyobrażaliśmy sobie, by mógł jeszcze istnieć.

Czemu zawdzięczaliśmy to zaufanie, którym tam natychmiast nas obdarzono? Grały tu na pewno historyczne związki Włoch i Polski, pokrewieństwo temperamentów i wspólny pień kulturalny, wspólna, odruchowa, hierarchia wartości, ponad wszystko jednak rzadka hojność serca mieszkańców tego domu. Croce dał nam wówczas artykuł o nieznanym polskim węglarzu w Neapolu, poza tym córka jego, Lidia, o Mazzinim i Polakach. Parę lat później artykuł Crocego „Zmierzch kultury” otwierał wraz ze studium Valery’ego pierwszy numer „Kultury”.

Croce mieszkał wtedy w Sorrento, w willi na skale, pionowo spadającej w morze. Wszystkie nowe węzły po-faszystowskich Włoch ze światem aliantów tam się zawiązywały, tam odbywały się narady z De Niccola, Sforzą, Badogliem, ale ten dom jednocześnie miał drzwi otwarte zdawałoby się dla każdego, kto był w potrzebie, wśród nich byli i żołnierze polscy. Croce nie znosił tylko gadułów i nudziarzy. Przed nimi wymykał się lub zapadał w głęboki sen, gorszył go, moralnie gorszył, czas stracony nie tylko jego czas, ale i czas jego rozmówcy.

Słońce na oszklonym tarasie z widokiem na morze, prostota przyjęcia skromnego dworku w Polsce, a przy tym rzadka kultura i nieustanna czujność, nastawiona na to co istotne, czy w danej chwili potrzebne.

Zostało mi w pamięci ostatnie spotkanie z Crocem, już w Neapolu. Duży gmach w centrum miasta, który rodzina ofiarowała miastu po śmierci Crocego. Stary człowiek robił jakieś porządki, krzątał się krokami rześkim, ale nieśpiesznym po pokoju, wąski korytarz dzielił ten pokój od wielkiej sali bibliotecznej z ustawionymi po sufit książkami. Czy dobrze Crocego pamiętam? Miał zbrudzoną zmarszczkami czerstwą twarz, był bez kurtki, w staromodnej kamizelce na której znać było ślady łupieżu. Musiał tylko co wyczesywać swą mocną siwą szczeninę. Zwykły był zawsze pytać o sprawy dla nas aktualne: o wojsko, o Rosję, interesowały go fakty, szczegóły konkretne, ale wstyd mi, że nawet nie pamiętam o czym mówiliśmy w czasie tego ostatniego spotkania. Chyba jednak wtedy właśnie Croce wezwał mnie do siebie pytając czy mógłbym pomóc oficerowi włoskiemu, uwikłanemu w skomplikowaną sprawę. Nazywał się Castellani. Był, jako oficer włoski, dłuższy czas tłumaczem w garnizonie

lwowskim i tak przyłgnął całą duszą do Polski, do konspiracyjnego Lwowa w którym dosłownie się zakochał, że zdecydował służyć wyłącznie Polsce w wojsku polskim, nawet przestał się nazywać Castellani, a nazwał się... Zamkowskim. Skierowany przez Crocego, spotkałem go w źle oświetlonym pokoiku w Sorrento, miałem wrażenie że rozmawiam z zahipnotyzowanym. Wszystkimi drogami próbował plan swój zrealizować. Doszedł aż do Crocego, ale dla władz włoskich był zwykłym dezertorem, a polskie przepisy nie pozwalały na przyjęcie cudzoziemca do wojska³.

Croce gorąco się zajął tą sprawą, poruszał ją z ówczesnym premierem, z Badoglią. Pomóc w potrzebie nieznanemu młodzieńcowi, którego intencjom zaufał, było dla Crocego równie ważne jak włoskie sprawy państwowe, czy pisarskie dzieło jego życia. Crocemu zawsze chodziło o człowieka.

W owe czasy jeszcze mieliśmy w kościach Rosję Sowiecką, ten co krok wyczuwalny chłód, podejrzliwość, każde słowo niebaczne mogło być przeciwko każdemu z nas wykorzystane; ale nie tylko o wspomnienia rosyjskie chodziło. Nasz stosunek z Anglikami już niezawsze był łatwy: sprawa Katynia, o której kazano nam milczeć w prasie, sprawa granic wschodnich, kładły się wpoprzek między nimi a nami. Stosunek z Crocem i jego rodziną jakby nas moralnie prostował, uwalniał od zmory. Żadnego wysiłku nie mieliśmy w ich domu aby znaleźć wspólny język. Chodziło o jedno — o język prawdy.

Czy stary człowiek, czy jego żona i jego cztery córki mogli się wówczas domyślać czym dla nas był ten dom na skale w Sorrento?

Józef CZAPSKI

Wspólna ziemia

Moi rodzice nie żyją! Zginęli oboje w koncentracyjnym obozie albo zdradzeni przez nieznanego człowieka na ulicy miasta. I nie będę nigdy wiedziała jak i kiedy, i gdzie dokładnie zaskoczyła ich śmierć i gdzie ich pochowano. Nie znajdę grobu strzegącego ich szczątki. Cały kraj jest jednym grobem, cała ziemia to wielki wspólny grób i gdzieś w jej wnętrzu oni jako cząstka jedna z wielu. Mogę teraz odejść stąd, ale ilekroć dotknę ziemi, tyle razy zawsze będę dotykała ich.

Jest to zakończenie z drugiej książki Janiny Dawidowicz:

3. Gustaw Herling Grudziński opisuje szerzej ten epizod w opowiadaniu „Willa Tritone”.

„A Touch of Earth”. Obie książki* opisują przeżycia małej dziewczynki żydowskiej w Polsce w czasie ostatniej wojny. Janina Dawidowicz opowiada o swoim życiu, o dziejach własnych i jej rodziny. W pierwszej książce: „A Square of Sky” opisywała swoje szczęśliwe dzieciństwo w Kaliszu przed wojną, początki wojny i zamknięcie w getcie warszawskim. Pierwsza część kończy się wyjściem jedenastoletniej dziewczynki z getta w przeddzień wielkich łapanek i wywożenia. Rodzice, z którymi dzieliła dotychczasowe trudne życie, czynią z siebie ofiarę, pozostają za murami wysyłając dziecko do „polskiej”, albo raczej do „aryjskiej” Warszawy, do przyjaciół mających się dziewczynką opiekować.

Odchodząc za bramę getta Janka żegna rodziców, aby ich nigdy nie zobaczyć. Nie wie o tym jednak; wierzy wciąż w ich ocalenie i czeka na nich. Tym ciągłym oczekiwaniem i zarazem ukrywaniem się przed Niemcami wypełniona jest treść drugiej książki. Najpierw pod opieką Eryka, z pochodzenia Niemca, cierpiącego z powodu swej historycznej i amoralnej żony, Lydii, potem, gdy właśnie Lydia grozi zdradzeniem sekretu Janki, przebywanie pod skrzydłami jednego, później drugiego klasztoru.

Kończy się razem z końcem wojny. Wszyscy powracają, oprócz rodziców; znajduje się wuj z niewoli, i kuzyni, i przyjaciółki. Następuje długie oczekiwanie zakończone świadomością, że ojciec i matka nie żyją.

Pisząc o książkach Janiny Dawidowicz Zbigniew Grabowski stwierdził, że są to wspomnienia wykazujące wiele talentu literackiego i obecnie należy od autorki oczekiwać „prawdziwej powieści”. Trudno zgodzić się z tym powiedzeniem. Opowieść o losach dziewczynki żydowskiej w czasie wojny nie jest tylko osobistym wspomnieniem, to jednak „prawdziwa” powieść. Ma wszelkie cechy dobrego dzieła literackiego i czyta się te książki nie jak relację, ale jak głęboką, prawdziwą epopeję ogarniającą nie jedno życie, ale całe zagadnienie doli żydowskich dzieci w czasie wojny.

Było tych dzieci tysiące. Nieraz zamykane na strychach, nieraz chowane w szafach. Najczęściej łapane na ulicach przez Niemców, wydawane przez niecnym „współobywateli”, walczące o kawałek chleba w getcie, męczone i palone w Tremblince, Oświęcimiu, Bełżcu i z dziecinną mocą przeżycia i wytrwania tęskniące za „skrawkiem nieba”, aż ich zmoże dotyk ziemi cmentarnej.

Podejmując opowiadanie o swym życiu Janina Dawidowicz miała przed sobą bardzo trudne zadanie; miała poprzedniczki, a przede wszystkim wzór Anny Frank, której pamiętnik stał się klasykiem.

Cała kompozycja i temat opowiadania są inne, właśnie powieściowe, a nie relacyjne, ale nastrój jakżeż często przypomina chłodny, spokojny ton pamiętników Anny Frank i jej dziecinne patetyczne spojrzenie na ogarnięty szaleństwem świat.

* *A Square of Sky*. Janina David, New Authors Limited, Hutchinson, London, 1964.

A Touch of Earth. Janina David, Hutchinson, London, 1966.

Dwie cechy czynią z Janiny Dawidowicz pisarza rasowego, wartego poznania: oszczędność słów i umiejętność epickiego spojżenia na rzeczy bolesne.

Zacytowane na wstępie zdania jakże przypominają scenę z „Urody życia”, kiedy Piotr Rozłucki dotyka ręką ziemi na mogile swego ojca. Ta ziemia wciąga go, przekazuje mu dziedzictwo polskiego powstańca rozstrzelanego w lesie.

Dotknięcie ziemi przez Janinę Dawidowicz, to zbliżenie się do prawdy wiecznej obejmującej całą ludzkość: śmierć łączą wszystkich.

Kiedy zła i histeryczna Lydia zagroziła Jance wydaniem w ręce Gestapo, nieszczęśliwy Eryk, oddaje dziewczynkę do katolickiego konwentu opiekującego się dziewczętami. Janka zmienia imię, na „Danka”, „przestaje być” Żydówką i po wielu perypetiach, poszukiwaniach i próbach zrozumienia wiary zakonnice zostaje katoliczką.

Trzymając rękę siostry Zofii kroczyłam pełnymi ludzi ulicami Warszawy wdychając ostre wiosenne powietrze. W parku otwierały się paki bzu. Młoda trawa zieleniała na trawnikach, niebo było nieskończenie wysoko, blade i czyste z matymi piórkami chmur, każda jak nowonarodzone jagnię. Szłam z podniesioną wysoko głową i mówiłam nieustannie. Teraz nikt nie może mnie skrzywdzić. Zostałam ochrzczona i otrzymałam odpuszczenie grzechów. Moja dusza była biała jak śnieg. Gdybym teraz umarła, szłabym do nieba jak rakieta.

Tak wyglądała w umyśle małej dziewczynki żydowskiej chwila po chrzcie. Pierwsza komunია sprowadziła inny nastrój —

Wiedziałam, że powinnam być bardziej podniecona i głębiej szczęśliwa zbliżając się do Komunii, jednak nagle poczułam się niepewna swych uczuć. Gdybyż ktoś z mego innego — z mego prawdziwego życia był ze mną, myślałam. Eryk, chłopcy, Zofia, albo ze wszystkich innych, choć to wymagałoby prawdziwego cudu, gdyby zjawili się moi rodzice. Ale cud się nie stał.

To była sprawa ściśle między mną a Bogiem i miałam nadzieję, że On da mi znak, że da mi odczuć swoją obecność przedtem nim msza się skończy i pokaże mi, że nie jestem całkowicie samotna.

Gdy uklękałam przy ołtarzu, nie objawił mi się żaden Znak.

Janina Dawidowicz nie mówi nam o tym, przeciwnie pokazuje nie raz swoją żarliwość w poszukiwaniu Boga katolickiego, ale przecież cały czas zastanawiamy się, ile w tym dążeniu do chrztu i komunii prawdziwej pobożności, a ile chęci włączenia się w społeczeństwo katolickie i ucieczki od niebezpieczeństwa. Ile wiary w to, że ów nowy potężny Bóg będzie mógł sprawić ten cud połączenia się z rodzicami.

Cud nie nastąpił.

Przebywanie w dwu klasztorach opisuje Janina Dawidowicz spokojnie i sprawiedliwie. Siostry są różne: są dobre i są złe. Jeden ksiądz pełen żarliwości, oddany ludziom, chcący dać im

wszystko, drugi sybaryta nie umiejący zrozumieć swych podopiecznych.

Brutalna, nie umiejąca zrozumieć zwykłego bólu ludzkiego siostra Blanka z pierwszego klasztoru i rozumna, mądra siostra Zofia robiąca sobie wyrzuty, że za mało daje dziewczynkom miłości...

Ten drugi klasztor ma swoją wzruszającą historię. Miał on swą siedzibę na kresach, skąd wojna wygoniła siostry razem z dziewczynkami, którymi klasztor się opiekował. Kilka najstarszych zostało zgwałconych i poniosło śmierć. Reszta uciekła, szczęśliwa że im pozwalają żyć —

„Gdy wdrapywaliśmy się na wozy — opowiada Jance (Dance) jedna z dziewczynek — siostra Zofia przyciągnęła dwa kufry i upierała się, że musimy je zabrać. I Ukraińcy pozwolili. To były nasze kostiumy teatralne i nuty siostry Zofii. Powiedziała nam, że na pewno inne klasztory pomogą nam, dając żywność i ubranie, ale nikt nigdy nie da nam już takich kostiumów”.

To były kostiumy ludowe — łowickie, krakowskie, ukraińskie. Dziewczynki umiały tańczyć i śpiewać, i w Warszawie, w czasie głodu, strachu i walki o przeżycie, siostra Zofia siadała do fortepianu i zespół dziewcząt z wygnanego z kresów klasztoru dawał przedstawienie.

Podopieczne sióstr w obu klasztorach są przeważnie sierotami, dziewczynkami, którym klasztor zapewniał utrzymanie, naukę i przygotowanie do życia w czasach przed wojną. Wojna zmieniła życie klasztorne przede wszystkim przez ubóstwo, dręczące zakonnice. Brak pożywienia, brak sił nauczycielskich, brak lekarstw i opatrunków. Zwłaszcza ten drugi, kresowy konwent cierpiał z powodu tych braków żyjąc z dosłownie żebranego chleba.

W tych warunkach stosunki między dziewczętami stawały się trudne, występowały różnice między starszymi, silniejszymi i najmłodszymi. Dziewczęta spoza klasztoru, dochodzące, i te, które posiadały rodzinę przysyłającą paczki, były uprzewilejowane. Małe intrzygi, walka o pierwszeństwo, staranie się o pochwały występowały tu tak jak w każdym internacie w czasie pokoju czy wojny.

Największą zmianą, jaką przyniosła wojna, były dziewczynki ukrywające się przed Niemcami — ciemne, z twardymi włosami, rude, z twarzami Arabek czy Persjanek, czy Włoszek. Nikt nie przyznawał się do pochodzenia żydowskiego. Pozmieniane imiona, włosy upięte, aby nie znać było ich odmienności, głowy pochylone i ciągły strach przed pytaniem: Dziecko, kiedy ty byłaś ochrzczona?

Kończy się wojna. Następuje „oswobodzenie” Polski przez armię sowiecką. Strach, kurczenie się, na dźwięk imienia rosyjskiego żołnierza pomału rozwiewa się. Niemców już nie ma, zniknęła groza, ale pozostała pochylona głowa.

Janka spotyka dawną koleżankę, Sabę. Ta dziewczynka miała wielkie szczęście; nie tylko przetrwała wojnę, ale i rodzice jej ocaleli. Wszyscy troje byli przechowywani przez Polaków, każde

w innych warunkach. Zdaniem Janki wciąż czekającej na rodziców i nie mogącej uwierzyć w bezcelowość tego czekania, Saba jest, powinna być szczęśliwa.

Czasami chodziłyśmy z Sabą na spacer i właśnie w czasie przechadzek uświadomiłam sobie jej obsesję. Sabina chodziła z głową schyloną, twarz chowała w kołnierzu palta, podniesiony nawet wtedy, gdy świeciło słońce. Jej czarne, wypukłe oczy rzucały szybkie, przestraszone spojrzenia na przechodniów. Potrafiła nagle przystanąć przy wystawie sklepowej odwracając się tyłem do ulicy, jakby ją niespodziewanie coś zainteresowało. I potem ruszała dalej ostrożnie i jeszcze bardziej pełna lęku oglądała się na wszystkie strony. Czasem wciągała mnie do bramy i stała tam blada i ciężko dysząca z oczyma przerażonymi. I znów ostrożnie ruszała dalej.

Gdy pytałam ją, co znaczy jej dziwne zachowanie się, odpowiadała jakby zdziwiona moją niewiedzą.

— Nie rozumiesz? Przecież oni nas obserwują?

— Kto?

— Wszyscy!

Na okładce książki Janiny Dawidowicz jest narysowana żydowska dziewczynka. Wielkie czarne bez białek oczy zieją na nas tragicznym wołaniem.

Cała książka jest tym krzykiem dziecka, któremu zabrano nie tylko dzieciństwo, ale i godność. Jakże trudno z tego się podnieść.

Janina Dawidowicz nie oskarża w swych obu książkach ani Niemców, ani Rosjan, ani Polaków. Notując fakty, pokazując żywych ludzi, takich jacy istnieli, odsłania nam najczarniejsze strony nie tylko wojny, ale stosunków między ludźmi.

Podobno obecnie w Polsce pod wpływem nowych, nacjonalistycznych idei czy tylko „roboczych pseudo-idej” Moczara narasta fala antysemityzmu. Dlatego też książka Janiny Dawidowicz nie będzie przetłumaczona na polski, nie pójdzie z powrotem do Warszawy straszyć tych, którzy w swej bezmyślności potrafili grać na tym strachu dziecięcym i dali prawo napisania jakże gorzkich słów:

Mama była pewnie sama, gdy umierała. Jak? Gdzie? Czy naprawdę szukała nas wydostawszy się z Getta? Czy zginęła na tej krótkiej przestrzeni kilku uliczek z Getta do domu Eryka? Co się stało? Kto ją wydał na ulicy Warszawy? Jak umarła?

Kto ją wydał?

Mimo że to tragiczne pytanie powtarza się, książka nie jest oskarżeniem polskiego narodu. Janina Dawidowicz opisuje zdarzenia z wielką wyrozumiałością. Jest sprawiedliwa, widzi wszystko i nie waha się notować błędów swojej rodziny. Jej kuzyni: Irena i Adam przyjmują ją po wojnie jak wroga. Atakują jej religię katolicką, obniżają wartość jej nowej wiary:

Możesz z tym skończyć teraz. Nie ma potrzeby tego mumbujumbo. Wojna się skończyła.

Nie pozwalają jej chodzić do kościoła.

Ale nie oni stali się powodem zerwania Janki z wiarą. Żyjąca w wiecznym oczekiwaniu na niemożliwe, marząca tylko o jednym, dziewczynka zaczyna chodzić do kina, aby zapomnieć, zagłuszyć wołanie serca o powrót rodziców. Ogląda stare kicze filmowe, podarte taśmy obrazów sprzed wojny. I nagle pewnego wieczoru widzi na ekranie film z Majdanka, z tego obozu, w którym przebywał jej ojciec. Góry trupów, szkielety chodzące, komora gazowa, piec krematorium, prycze, wszy, stopy okularów, butów, zabawek dzieciennych.

Oni są tam, zaraz ich zobaczę, myślałam i odrażający obraz na ekranie kazał mi zasłonić oczy, ale zaraz opuściłam ręce. Nie miałam prawa odwracać się. Nigdy więcej nie będę mogła nie widzieć, cofnąć się przed tym, odwrócić twarzy w trwodze, czy z odrazą. Oni tą śmiercią umierali i ten obraz będą nosiła w sercu tak długo, jak życia wystarczy.

W kinie na widowni płakano, ludzie mdleli i modlili się na głos. Ja wyszłam na chłodny wiatr zimowej nocy zaciskając mocno zęby, czując w sercu nienawiść. Moje ostatnie dzieciinne marzenie umarło: Boga nie ma.

„A Square of Sky”, pierwsza książka Janiny Dawidowicz, była wydana w serii „Młodzi autorzy”, drugą książkę ten sam wydawca londyński Hutchinson wydał poza tą serią, jako normalną „prawdziwą” powieść.

Pierwsza książka otrzymała nagrodę: *Jewish Chronicle Book Award* na rok 1965.

Janina Dawidowicz pisze doskonałym językiem angielskim.

Jak to dobrze, że z tej zawieruchy, z tej nocy udręki, nienawiści i błagania o cud uratował się człowiek obdarzony nie tylko inteligencją, ale też spokojnym, rzetelnym talentem epickim.

Czesław DOBEK

Nadesłane nowości wydawnicze

ŁUKASIEWICZ (Jacek). *Zagłoba w piekle*. Str. 240. Tom 15 „Biblioteki 'Więzi'”. (Wyd. Społeczny Instytut Wyd. „Znak”, Kraków, 1965).

MĘKARSKA (Józefa). *Wędrownia po Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej*. Str. 124. Mapa i ilustracje. Mapy opr. i wykonał mjr. St. Gruca, okładka T. Terleckiego.

- (Nakł. Stow. Polskich Kombatan-
tów, Zjedn. Polek na Emigracji
i Zw. Harcerstwa Polskiego, Lon-
dyn, 1966).
- CZUCHNOWSKI (Marian). *Angielska zima 1947*. Poemat z szuflady. Str. 32. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- BRODA (Joseph). *W cieniu kanadyjskiego klonu*. Str. 116. Biblioteczka kieszonkowa. (Nakładem autora, Ottawa, 1966).
- Sprawozdanie Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego za okres od dnia 9 maja 1964 roku do dnia 25 czerwca 1966 roku*. Przemówienie Adama Ciołkosza na posiedzeniu Rady Jedności Narodowej w Londynie 26 czerwca 1966 roku. Str. 28. (Drukowane jako rękopis. Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar., Londyn, 1966).
- STRZEMBOSZ (Tomasz). *Wolność woli w doświadczeniu wewnętrznym*. Odczyt wygłoszony w Polskim Tow. Psychologicznym w Krakowie 22 października 1965 r. Str. 34. (Wyd. Kraków, 1966).
- PANKOWSKI (Marian). *Le Royaume*. Traduit du polonais par Yolande Lamy. Str. 40 i 4 nlb. (Extrait de la revue „Marginales”, Bruxelles, nos 107-108, 1966).
- KORWIN-RHODES (Marta). *The Mask of Warriors*. The siege of Warsaw, September, 1939. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Libra Publishers, Inc., New York, 1964).
- ANGARSKY (Andrew). *Eighty-seven Days*. Str. 640 i 6 nlb. (Ed. Alfred Knopf, New York, 1963).
- TERTZ (Abram). *The Makepeace Experiment*. Str. 191 i 3 nlb. Tłumaczone z rosyjskiego przez Manę Harari. (Ed. Vintage Books, New York, September 1966, cena dol. 1,65).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Tomorrow's Agenda*. Str. 662-670. (Odbitka z „Foreign Affairs”, July, 1966).
- JORDAN (Z. A.). *The Dialectical Materialism of Lenin*. Str. 259-286. (Odbitka z „Slavic Review”, Vol. XXV, No 2, June 1966).
- HELTAI (George G.). *Changes in the Social Structure of the East Central European Countries*. Str. 165-171. (Odbitka z „Journal of International Affairs”, Vol. XX, No 1, 1966).
- DELVIN (Kevin). *The Catholic Communist „Dialogue”*. Str. 31-38 i 6 nlb. suppl. (Odbitka z „Problems of Communism”, May-June, 1966).
- POLIANSKI (Alexei N.). *In memoriam Romualda Bromke. Andrzej Manteuffel*. Str. 233-245. (Odbitka z Canadian Slavonic Papers).
- SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Nativistic Movements and Modern Nationalism*. Str. 236-240. (Odbitka z „Transactions of the Illinois State Academy of Science, Vol. 59, No 3, 1966).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy) A.). *Slavic Ethnic Cultures within the Canadian Framework*. Str. 8. (Odbitka z „Slavs in Canada. The Proceedings of the First National Conference on Canadian Slavs”, June 9-12, 1965).
- TERZ (Abram). *Ljubimow*. Roman. Str. 240. Z 14 ilustracjami Rudolfa Angerera. (Wyd. Paul Zsolnay Verlag, Wien-Hamburg, 1966).
- DONZOW (Dmytro). *Der Geist Russlands*. Str. 96. Nr 5 „Dokumentar-Reihe” (Schild-Verlag, München).
- GRABOWSKI (Z. A.). *Die polnische Literatur der Gegenwart*. Str. 268-279. (Odbitka z „Stimmen der Zeit”, Monatschrift für das Geistesleben der Gegenwart, Heft 10, Październik 1966).
- SINIAWSKIJ (Andrej) (Abram Terts). *Retten er sat*. Str. 119 i 9 nlb. (II wydanie, Det Schöninghske Forlag, Kopenhaga, 1966).

- FERTZ (Abram). *Mysli w rozpłoch*. (W jęz. rosyjskim, esej wstępny Andrew Fielda w jęz. angielskim. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Rausen Publishers & Distributors, New York, 1966).
- Siniawskij i Daniel na skamie pod-sudnych*. Stenogram z procesu. W jęz. rosyjskim. Słowo wstępne Helène Zamoyskiej w jęz. francuskim. Str. 128 i 8 nlb. (Wyd. Inter-Language Literary Associates, New York, 1966).
- TERZ (Abram). *Der Prozess beginnt und andere Prosa*. Str. 155. (Wyd. Fischer Bücherei, Frankfurt/M, 1966).
- HEN (Jozef). *Der Boxer und der Tod*. Erzählungen. Str. 304. Przekład z polskiego Renate Lachmann. (Wyd. Albert Langen — Georg Müller, München — Wien, 1964).
- Polonica w wydawnictwach Niemieckiej Republiki Federalnej 1946-1966*. Wybór wystawiony na XI Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. (Ausstellungs- und Messe-GMBH, Frankfurt/M, 1966).

KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE

- BAHRIANYJ (Iwan). *Ludyna bi-zyt' nad prirwoju*. Roman. Str. 332. (Wyd. „Ukraina”, Neu Ulm-New York 1965, cena 6 dol.).
- KOSACZ (Jurij). *Zołoti Worota*. Poezji. Str. 48. (Wyd. „Nowi Obriji”. New York 1966).
- Hej, tam na hori „Sicz” ide...* Propamiatna knyha „Siczej”. Zibraw i uporiadkuwaw P. Tryliowskyj. Str. 432. Edmonton 1965).
- DANYLENKO - SŁOBIDSKYJ (Kost'). *Nedospiwana pisnia*. Zbirka liryczno-epicznych poezij. Str. 76. (Neu Ulm, 1966, cena 1 dol.).
- SAMCZUK (Ułas). *Na biłomu koni*. Str. 234. (Bibl. „Suczasnosti”. New York-München 1965).
- JURYNIAK (Anatol). *Zasoby i sposoby poetycznoho wystowu*. Str. 69. (Neu Ulm 1966).
- ROMANENCZUK (Bohdan). *Azbu-kownyk*. Korotka Encyklopedia Ukrainkoji Literatury. Zszytok 1. Str. 56. (Kyiw. Filadelfia 1966).
- CZAPLENKO (Wasyl). *Dramatyczni twory*. Str. 307. (New York 1964).
- SIRYJ (Osyp). *Opowidannia*. Str. 80. (Nakładem awtora, Winnipeg).
- KOSTEČKYJ (Ihor). *Zbirnyk pry-swiaczenyj 50-ij ricznyci z dnia narodzennia pyśmennyka*. (Wyd. „Na Hori”, München 1963-1964).
- KOSTEČKYJ (Ihor). *Teatr pered twojim porohom*. Str. 254. (Wyd. „Na Hori”, München).
- CLAUDEL (Paul). *Błahowist' Mariji*. Str. 87. Przekład i wstępna stattia Marty Kałytowskoji. (Wyd. „Na Hori”, München 1962).
- LU-HSUN. *Dostemenna istoria Ah-Q*. Str. 63. Przekład z kytajskoji mowy i wstępna stattia Lidiji Hołub-nyczkoji. (Wyd. „Na Hori”, München 1963).
- Dijstwo pro kožnoho*. Moralite. Przekład Zenon Tarnawskyj. Str. 38. (Wyd. „Na Hori”, München 1964).
- EURYPIDES. *Medea*. Str. 52. Przekład St. W. Jankowski (Wyd. „Na Hori”, München 1966).
- Izbrannyj Kasymyr Edschmid*. Str. 135. Zredahuwaw Ihor Kostečkyj.
- Papa, jakyj zdo buw serce switu*. Pid-hotowano praciwnykamy Żurnału „Ukraina i Swit” za redakcijeju Iliji Saphy. Str. 91. (Wyd. „Na Hori”, München 1966).

Humor krajowy

O EMIGRACJI I WYJAZDACH ZA GRANICĘ

Automobiliście zepsuł się samochód przed samą bramą szpitala dla wariatów — zwraca się więc do strażnika z zapytaniem czy nie zna jakiegoś mechanika. Strażnik odpowiedział, że mechanika wprawdzie w pobliżu nie ma, ale że on zaraz przyśle jednego z pacjentów, który na pewno potrafi pomóc.

Po chwili zjawił się młody człowiek w szpitalnym pasiaku i szybko i zręcznie zreperował samochód. Jego zachowanie było zupełnie normalne, tak że zaintrygowany automobilista zapytał dlaczego zamknięto go do szpitala dla wariatów.

— Za ucieczkę przez zieloną granicę — odpowiedział młody człowiek.

— Jak to — zdziwił się automobilista — przecież za to zamykają zwykle w więzieniu a nie w zakładzie dla umysłowo chorych?

— Tak, to prawda, ale ja uciekałem na Wschód...



Partyjny Żyd chciał wyjechać na stałe do Izraela. Złożył podanie. Po kilku dniach wezwała go egzekutywa partyjna i pyta dlaczego on, członek partii, chce emigrować do kraju kapitalistycznego.

— Bo u nas, w partii, nie lubią Żydów i cyklistów — odpowiedział zapytany.

— Nie rozumiem, dlaczego cyklistów? — mówi sekretarz partii.

— Właśnie dlatego chcę emigrować — odpowiedział Żyd.



Do Gomułki przyszedł chłop z prośbą, żeby pozwolono mu emigrować z Polski do Ameryki.

— Po co chcecie tam jechać? — pyta Gomułka. — Znacie chyba przysłówie, że „wszędzie dobrze gdzie nas nie ma”.

— Właśnie dlatego chcę wyjechać, że was tam nie ma — odpowiedział chłop.



Do biura paszportowego w Warszawie przyszedł stary Żyd i pyta dlaczego odrzucono jego podanie o paszport do Stanów Zjednoczonych.

— A po co chcecie tam jechać?

— Do brata — odpowiada zapytany. — On jest bardzo ciężko chory na oczy, muszę się nim zaopiekować, prowadzić do lekarza...

— To nie jest żaden powód — mówi urzędnik. — W Polsce mamy doskonałych okulistów. Niech wasz brat przyjedzie do was to będziecie mogli się nim stale opiekować.

— Panie dyrektorze, pan mnie źle zrozumiał. Mój brat jest chory na oczy a nie na głowę...

W Warszawie opowiadają:

...że do Gomułki przysłała delegacja robotników skarżąc się na coraz cięższe warunki życia w Polsce Ludowej. Gomułka wysłuchał skarg i odpowiedział:

— Proszę towarzyszy! 10 lat temu niczego wam nie obiecywałem i słowa dotrzymałem...

...że podobno partia chciała zaproponować Kardynałowi Wyszyńskiemu porozumienie i zgodne współżycie pod dwoma warunkami: 1) że kazania wygłaszać będą nie księża, ale sekretarze partii i 2) że na tacę w kościele zbierać będą nie kościelni, ale funkcjonariusze urzędu Skarbowego...

...że premier Cyrankiewicz w czasie swojej wizyty we Francji zapytał gen. De Gaulle'a jak często we Francji zmieniają się premierzy.

— Bardzo często — odpowiedział Generał — czasem nawet co kilka miesięcy. A u was, w Polsce, premierzy się nie zmieniają?

— Oczywiście — odparł Cyrankiewicz — ja też się zmieniam.

...że w związku z toczącą się walką Partii z Kościołem polska marynarka wojenna nadała Gomułce honorowy tytuł: „kontrkardynał”.

...że w ramach upamiętniania narodowi ważniejszych wydarzeń historycznych ma być w Warszawie wzniesiony U-belisk...

...że w NRD wprowadzono nowe odznaki dla milicji, mianowicie trupa czaszkę gołąbka pokoju...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

PÓŁ ROKU

Właśnie tyle czasu upłynęło od ukazania się pierwszego artykułu w „Kulturze” podpisanego tym pseudonimem. Przez te pół roku nabierało się sporo uwag, krytyk, plotek, domysłów — do Polski różnymi drogami przedostało się chyba paręset egzemplarzy książki, nie licząc „Kultury”, która i tak dochodzi do rozmaitych bibliotek. I należy się pewnie parę wyjaśnień, żeby mnie na próżno nie szukano tam gdzie mnie się nie znajdzie. Nie jestem dziennikarzem — to raz. Nie miałem i nie mam nic wspólnego z Paxem, chociaż znam Bolesława Piaseckiego — to dwa. Poza tym nie jestem pisarzem katolickim, ani członkiem partii, ani nie mieszkam w Warszawie — ale za to dobrze znam środowiska o których piszę.

Dwa pierwsze zastrzeżenia w powyższym zdaniu potrzebne mi są dla podyskutowania ze współobywatelami podpisanym Walczak, który uważa, że zbyt łagodnie potraktowałem Pax i dziennikarzy.

O *how the desire doth outrun performance*, czyli inaczej pomyślano, a inaczej wyszło. Cała moja książka była opisem rezultatów — przecież chyba nie zamierzonych — i tak samo rzecz się ma z Paxem. Mnie chodziło i chodzi o to, że czymkolwiek Pax miał być i czymkolwiek się stał, to wynikiem pozytywnym jest, że poprzez fakt jego istnienia znajdują się na rynku księgarskim publikacje, które w innym wypadku mogłyby się wcale nie ukazać. I to w danych warunkach — chyba wystarczy.

Dłużej zatrzymać się wypadnie nad sprawą dziennikarzy i ich roli w PRL. Nie ma wątpliwości — i co do tego się z p. Walczakiem zgodzimy, że środowisko dziennikarskie jest bardzo zróżnicowane. Taki na przykład Grzegorz Jaszunski skarżył się mi kiedyś (też nie miał komu...) na swych kolegów, przy czym niektórych obdarzał mianem czarnosecińców. O ile dobrze rozumiałem miał na myśli nawet członków prezydium Stowarzyszenia. Po szczegóły odsyłam zainteresowanych do samych siebie: niech się posprzecząją. Ze dziennikarze inaczej myślą i mówią, a inaczej piszą? A czy my wszyscy nie skandowaliśmy kiedyś Sta-lin-Sta-lin, podglądani przez lokalnych donosicieli i personalników? Ja wiem, że to łatwo powiedzieć dziś, ale chciałbym wyłączyć siebie. Nie byłem nigdy w życiu na pochodzie pierwszomajowym i nigdy nie wznosiłem wiernopoddanych okrzyków. Ale ja mogłem sobie na to pozwolić. Już nic by nie mogło mi zaszkodzić. Ale nie o to chodzi.

Wystarczy przejrzeć tysiące listów nadchodzących do redakcji dzienników, do radia i telewizji, — wystarczy przeczytać tylko część, by przekonać się, że prasa jest nieraz ostatnią deską ratunku dla ludzi poniewiernych i niszczonej przez powiatowych kacyków. Ustawa o interwencji prasowej jest w warunkach PRL najwyższym dobrem, skoro inaczej nie można byłoby dojść sprawiedliwości w ustroju, gdzie tak łatwo krzywdzić. Ile dobrego, wyrządził ludziom, ile krzywd naprawił na przykład Józef Muszkat (Jotem) zanim dosięgło jego samego fałszywe oskarżenie. XYZa, PALa, Wójcickiego, Korotyńskiego nikt nie czyta, a jeżeli czyta to nie bierze na serio — i czy wobec tego działalność pozytywna nie przeważa szali na korzyść skądinąd wcale nie ciekawego i raczej niesympatycznego środowiska

dziennikarzy? Mnie zawsze interesują przede wszystkim skutki. Pouczął mnie kiedyś mój niezapomniany polonista w gimnazjum, że są trzy zawody cyniczne: księdza, dziennikarza i lekarza — i chyba tak rzeczywiście — z pewnymi poprawkami — jest!

Jak może być, kim są dziennikarze (znowu przecież nie wszyscy) pokazało „Po Prostu”. Tak, to byli dziennikarze, którzy w sprzyjających okolicznościach stali się działaczami politycznymi, a nie odwrotnie. Rzecz jest do sprawdzenia choćby w kartotece członkowskiej SDP: kto i od kiedy tam figuruje.

Gdyby znowu powstały okoliczności sprzyjające, okazałyby się może ilu z tego środowiska poparłoby nowe idee, wcale nie dlatego, że „rząd się zmienił”, i nie zapominajmy, że to co jest w Polsce dziś, trwa dwadzieścia lat. A żyć trzeba. Rzecz tylko w tym, by żyć możliwie jak najuczciwiej.

Na przeciwnym biegunie znaleźliby się ludzie tej profesji tacy jak choćby Henryk Kollat. Doszły mnie słuchy z Polskiego Radia, że poczuł się on dotknięty wymienieniem go przeze mnie w mojej książce. Mam nadzieję, że jego partyjni przełożeni pouczą go o obowiązkach dobrego członka partii i obywatela PRL. I że jeżeli takie obowiązki spełnia dobrze, to chyba nie powinien się tego wstydić. Bo jeżeli się wstydi, to nie jest dobrym członkiem partii. (Wyszedł mi syllogizm).

W ogóle moja książka trochę narozrabiała w Polsce, i to chyba dobrze, bo było za spokojnie i za cicho i na zbyt wiele pozwalała sobie partia i rząd. Rozmawiałem ostatnio o Flemmingu z dwoma wysoko postawionymi panami i obaj cieszyli się, że dostało się temu lub tamtemu. Zwykła ludzka radość. Nawet sam nie wiem dlaczego ich samych, moich rozmówców, w swej książce pominąłem. Trzeba będzie to naprawić.

Nie rezygnuję z dalszego pisania, i wiem, że jest kilka osób, które miałyby ochotę pójść w moje ślady. Szczęść im Boże.

Tarca i miecz proletariatu też się mną interesuje. A wiem to od jednego z nich. Podobno wyznaczono nawet jakieś nagrody. Dla mnie nie nowego: Gestapo szukało mnie przez trzy lata. Nie odznaczam się niczym szczególnym: noszę spodnie, marynarkę, nawet krawat, a w zimie jesionkę. Używam komunikacji miejskiej, stoję w ogonkach, jadam w restauracji i nawet poglądy mam takie, jak większość obywateli PRL. Różnica jest tylko taka, że oni wypowiadając je mają twarz ławą do zidentyfikowania, a ja albo mam twarz, albo nazwisko...

„Polska mała znana” jest książką nie tyle z kluczem, ile z wieloma kluczami — ale wytrych do niej mam tylko ja. Mogę przy tym podać odpowiednim władzom niezawodny sposób znalezienia mnie. Należy w tym celu zebrać wszystkich niewymienionych w mojej książce (nie wymienionych z nazwiska) — a takie plenum musiałyby nieomylnie wskazać na mnie. Natomiast łązenie po tych, których pokazałem palcem — do niczego nie doprowadzi: w większości nie znają mnie. A zresztą mam wielką ochotę sam zgłosić się po wyznaczoną nagrodę, bo w końcu ktoś bardziej na jej podjęcie zasłużył, niż

George J. FLEMMING.

Chicago, Ill., 15 czerwca 1966.

Do redakcji „Kultury” w Paryżu.

W majowym zeszycie „Kultury” Nr 5/223 rb. na stronie 115 u samego dołu Bogusław Miedziński w artykule „Wojna i Pokój” pisze:

„Przeznaczony byłem do przeprowady na wschód, przez Piłsudskiego, jeszcze wcześniej, w lipcu 1917 r., gdy postanowił on że sam pozostanie, aby

dzielić los swych żołnierzy, idących z jego rozkazu za kraty więzienne i druty kolczaste obozów internowania”.

Zaś gen. Kazimierz Sosnkowski w zeszycie 36 „Kombatanta w Ameryce” z grudnia 1964 roku na ten sam temat pisze, że Piłsudski miał „zamiar przedostania się do oddziałów polskich formowanych w Rosji”, lecz „zamiaru tego wykonać nie zdążył”, będąc „aresztowany i osadzony w więzieniach niemieckich”.

W związku z tymi wypowiedziami powstają dwa pytania: jedno „kto z nich mówi prawdę” i drugie „dlaczego jeden z nich mówi nieprawdę”? Obaj byli najbliższymi współpracownikami marszałka i każdy z nich musi wiedzieć dlaczego w rzeczywistości Piłsudski nie przedostał się do Rosji, a pozostał w kraju czekając na zaarrestowanie przez Niemców?

Przypuszczam, że nie ja jeden ciekaw jestem wyjaśnienia tej kontrowersji.

Jan OPTAT SOKOŁOWSKI

Londyn, 19 września 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Anatol Walczak (z Warszawy) w liście swym („Kultura”, nr 9/227, str. 157), omawiając zespół współpracowników „Tygodnika Powszechnego” i grupę PAXu, na marginesie znakomitej Pańskiej publikacji G. J. Flemminga „Polska mało znana” zalicza prof. Juliusza Kleinera do „neutralnych uczonych”. Z jego nieco niejasnego kontekstu zdaje się wynikać, że chodzi tu o neutralny stosunek do religii, względnie o neutralny stosunek do systemu rządzącego.

W jednym i drugim wypadku jest to jednak jaskrawe nieporozumienie. Jako były słuchacz prof. Kleinera na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w latach 1934-39, pragnę stwierdzić, że prof. Kleiner był bardzo żarliwym katolikiem — i zapewne takim pozostał w latach powojennych. Z wielu znanych dowodów na to przytoczę tylko jeden, ale jakże wymowny fakt: w ostatnich dniach stycznia 1940 r. podczas okupacji sowieckiej Lwowa na tablicy wydziału Humanistycznego U.J.K. pojawiło się takie obwieszczenie prof. Kleinera:

„Z powodu święta Matki Boskiej Gromnicznej zawieszam wykłady w dniu 2 lutego. J. Kleiner”.

Ogłoszenie to wywołało nie tylko sensację wśród studentów-Polaków na U.J.K., ale także wzbudziło wielki szacunek dla prof. Kleinera. Miało ono bowiem wielką wówczas wymowę — religijną, ale i polityczną i świadczyło o odwadze cywilnej prof. Kleinera, wszak było to jedyne tego rodzaju zawieszenie wykładów z powodu święta kościelnego, wówczas już nie uznawanego.

Nastanie zaś „nowych czasów” na ziemi polskiej po latach okrutnej okupacji hitlerowskiej powitał prof. Kleiner artykułem w „Tygodniku Powszechnym” (1945 r.) pt. „Zagubiliśmy człowieka”. Pisał w nim m.in.:

„Zrozumienie i uznanie człowieka — jednostki, poszanowanie dla człowieka, rozwijanie walorów osobowości musi być postulatem nowej Polski i nowego świata”.

Jak uzasadniony był niepokój prof. Kleinera o człowieka, dowodzą tego 22 lata rządów komunistycznych i ich praktyk w tzw. „Polsce Ludowej”.

Artykuł prof. Kleinera nic nie uronił do dziś ze swej aktualności. Na urzeczywistnienie postawionego przezeń w roku 1945 postulatu: „zrozumienie i uznanie człowieka — jednostki i poszanowanie dla człowieka” czeka-

my daremnie do dziś i nie wiadomo, jak długo jeszcze trzeba będzie nam czekać. I o to toczy się cała walka w kraju, bo — jak pisał prof. Kleiner — „zagubiliśmy człowieka”.

Prof. Kleiner nie był nigdy, jak pisze p. Walczak, „neutralnym uczonym”. Wręcz przeciwnie, był zawsze jak najbardziej ideowo zaangażowany po stronie — Boga i człowieka, jak dowodzą przytoczone tu dwa drobne, ale bardzo wymowne przykłady.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku i najlepsze pozdrowienia,

Franciszek WILK

Madrid we wrześniu 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że nie odmówi mi Pan zamieszczenia na Swoich pozytywnych łamach poniższego apelu w formie listu do Redakcji.

Mój śp. mąż, Wojciech Zaleski, przygotował przed śmiercią do druku główne swoje dzieło, owoc kilkunastu lat pracy, pt. „Dzieje górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku”. Podstawą tego dzieła są badania archiwalne i biblioteczne przedsięwzięte przez autora jeszcze przed wojną na Śląsku polskim i ówczesnym niemieckim.

Wnioski autora są rewelacyjne. Twierdzi on, że pierwotne podwaliny górnictwa i hutnictwa śląskiego, średniowieczne, a nawet wczesnonowożytnie, były polskie. Że naród polski jest historycznie nie tylko narodem rolników, ale rolników i górników. Że przez utratę Śląska przez Polskę rozwój przemysłowy Śląska nie został przyspieszony, ale opóźniony. Że jednak, z drugiej strony, Śląsk stał się jedną z głównych podstaw potęgi Prus.

Książka ma charakter ściśle naukowy, historyczny i ekonomiczny, zawiera jednak akcenty polemiczne, zwrócone zarówno przeciwko nauce niemieckiej, jak nauce komunistycznej w Polsce.

Mój śp. mąż był jednym z czołowych polskich ekonomistów. Nazwisko jego znane było także i czytelnikom polskiej prasy emigracyjnej. Ostatnią jego rolą życiową była funkcja kierownika polskiej sekcji Radia w Madrycie.

Jest moim obowiązkiem, jako wdowy, nie dopuścić by dorobek pracy mego męża został zmarnowany i dzieło jego wydać. Przez kilka lat usiłowałam znaleźć wydawcę, ale bezskutecznie. Wobec tego chcę spróbować wydać książkę własnym nakładem, na zasadzie przedpłaty. Poświęcam na koszt wydania tej książki moje osobiste oszczędności, ale wystarczą one do pokrycia tylko jednej trzeciej części kosztów. Resztę pokryć muszą czytelnicy.

Książka obejmie około 400 stron druku, z obfitymi przypisami. Cena książki w przedpłacie wyniesie 6 dolarów US lub 2 funty angielskie. W sprzedaży księgarskiej cena książki zostanie podwyższona o 50%.

Apeluję do społeczeństwa emigracyjnego o nadesłanie pod moim adresem jak największej liczby deklaracji następującej treści: „Zobowiązuję się wpłacić przedpłatę (w wyżej podanej wysokości) na książkę Wojciecha Zaleskiego, o ile przedpłata zostanie rozpisana”. Deklaracje te, z wyraźnymi podpisami i adresami proszę przysłać, możliwie natychmiast, pod moim adresem, Arturo Soria 239, Madrid 16, Espana.

Jeżeli otrzymam nie mniej niż 250 takich deklaracji przystąpię do rozpoczęcia druku.

Łączę wyrazy poważania,

Antonina ZALESKA

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIESIĄTY

(Wrzesień 1966)

zawiera m.in. prace:

Wacława LEDNICKIEGO: *Rosyjsko-Polska Entente Cordiale 1903-1905.*

Wacława JĘDRZEJEWICZA: *Wojna przewencyjna z Niemcami.*

Edwarda PUACZA: *Powstanie Warszawskie w Protokółach PKWN. oraz działy: RECENZJI I POLEMIK.*

Janusza LASKOWSKIEGO: *Radiostacja „Świt” (dokończenie).*

Str. 240 Cena 15 F (22/-; dol. 3.00)

PRENUMERATORÓW „ZESZYTÓW” PROSIMY O ODNAWIANIE ABONAMENTU NA ROK 1967 RAZEM Z ODNAWIANIEM ABONAMENTU „KULTURY”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1966.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakzowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallsjärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave, N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr. Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa. 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R.J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit, Mich. 48210 Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXXI

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164.

Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXII - Seria « Dokumenty »

JACEK KUROŃ I KAROL MODZELEWSKI

LIST OTWARTY

Do Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR
przy Uniwersytecie Warszawskim

List zawiera streszczenie Memoriału, który stał się powodem aresztowania i skazania autorów i ich zwolenników na ciężkie kary więzienia. Jest to pierwsza próba sformułowania z pozycji marksistowskich programu alternatywnego nie tylko dla Polski Ludowej, ale dla całego bloku komunistycznego. Jest to program narastającej nowej rewolucji.

Str. 96.

Cena 7 F (dol. 1,50; 11/-)

TOM CXXXV

ADAM CZERNIAWSKI

SEN-CYTADELA-GAJ

P o e z j e

Str. 64.

Cena 6 F (9/-; dol. 1,25)

TOM CXXXVI - Seria « Dokumenty »

SCHIZMY

Wytyczne ideowo polityczne Stowarzyszenia PAX
Odbudowa Komunistycznej Partii Polski
Wstęp Juliusza Mieroszewskiego

Str. 80.

Cena 7 F (9/-; dol. 1,25)

Cena 5,00 F